

Doświadczając ubóstwa i wykluczenia



Doświadczając ubóstwa i wykluczenia

Doświadczając ubóstwa i wykluczenia

Wydawca:  WRZOS



MINISTERSTWO
PRACY I POLITYKI SPOŁECZNEJ

Wspólnota Robocza Związków Organizacji Socjalnych przy wsparciu
Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej

ul. Nowy Świat 49
00-042 Warszawa
tel.: /22/ 826-52-46
fax: /22/ 55-15-455
eapn@wrzos.org.pl
www.wrzos.org.pl
www.eapn.org.pl

Redakcja i korekta:
Katarzyna Gierczycka:

Skład i projekt graficzny:

Ro To Co
www.rotoco.pl



Druk:

Copyright by WRZOS,
Warszawa 2010

Przedruk materiałów w całości lub części możliwy jest wyłącznie za
zgoda Wspólnoty Roboczej Związków Organizacji Socjalnych WRZOS.
Cytowanie oraz wykorzystanie danych empirycznych dozwolone jest
z podaniem źródła.

Spis treści

Wstęp	3
Victor - Szczur miasta	14
Krystyna K. „Moja historia życia“	22
Teresa M	26
Arek „Przemyslenia Arka“	32
Andrzej	39
Weronika „Życie w ukryciu“	42
Olimpia	50
Bogusław	54
BR	56
Leszek „Krocząc drogą w stronę nowego życia“	62
Dominik	68
Ela	72
Adam	74
Maja	78
Artur	82
Karol	86
Antonina	90
NN „Moje wspomnienia i przemyslenia“	96
Robert	100
Atena	104
Piotr	112
Krystyna	116
Sławko	124
Wiesław	128
Wojciech „Drogi pamiętniku“	132
Kazimierz Wosiek „Polska“	136

WSTĘP

dr hab. Ryszard Szarfenberg – Przewodniczący Rady Wykonawczej
Polskiego Komitetu EAPN/ Instytut Polityki Społecznej UW
dr Piotr Broda-Wysocki – Członek Rady Ekspertów Społecznych
Polskiego Komitetu EAPN/ Instytut Pracy i Spraw Socjalnych
Kamila Płowiec – Sekretarz Polskiego Komitetu EAPN/Wspólnota
Robocza Związków Organizacji Socjalnych

Polski Komitet Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu został powołany 1 lutego 2007 roku. Komitet jest niezarejestrowaną formą współpracy i działa przy Wspólnocie Roboczej Związków Organizacji Socjalnych. Do Polskiego Komitetu EAPN należy w chwili obecnej 29 organizacji.

Celem Polskiego Komitetu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu jest m.in. monitorowanie i recenzowanie działań zadań państwa w sferze walki z ubóstwem i wykluczeniem społecznym oraz współkształtowanie polityki społecznej w tym zakresie na poziomie ogólnopolskim oraz europejskim. Polski Komitet EAPN nawiązuje współpracę z administracją publiczną, samorządami lokalnymi oraz innymi podmiotami działającymi w zakresie pomocy społecznej, edukacji i zatrudnienia. Stawia sobie również za zadanie gromadzenie i organizowanie podmiotów działających na polu walki z ubóstwem i wykluczeniem społecznym, zwłaszcza przez tworzenie lokalnych, regionalnych i międzynarodowych sieci współdziałania organizacji społecznych i samorządowych.

Działania Polskiego Komitetu EAPN to m.in. monitoring polskiej i europejskiej polityki społecznej; organizacja spotkań, debat, konferencji, seminariów dotyczących ubóstwa i wykluczenia społecznego; przygotowywanie biuletynów, ekspertyz i tłumaczeń tekstów dotyczących problematyki integracji społecznej; organizacja i uczestnictwo w Europejskich Spotkaniach Osób Dotkniętych Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym; uczestnictwo w obchodach Międzynarodowego Dnia Walki z Ubóstwem.

Rok 2010 został ogłoszony Europejskim Rokiem Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym. Jednym z celów roku 2010 jest *„uznanie podstawowego prawa osób dotkniętych ubóstwem i wykluczeniem społecznym do godnego życia i do pełnego uczestnictwa w życiu społeczeństwa. Europejski Rok zwiększy świadomość opinii publicznej o sytuacji osób żyjących w ubóstwie, w szczególności grup lub osób znajdujących się w trudnych sytuacjach, i pomoże w propagowaniu ich skutecznego dostępu do praw społecznych, gospodarczych i kulturowych oraz do wystarczających zasobów i usług wysokiej jakości. Europejski Rok będzie również wspierał walkę ze stereotypami i napiętnowaniem społecznym”*.

Cel ten miał za zadanie:

- podniesienie świadomości ogółu społeczeństwa na temat zjawiska ubóstwa i wykluczenia społecznego oraz praw osób dotkniętych tymi zjawiskami,
- podniesienie świadomości osób doświadczających ubóstwa i wykluczenia społecznego na temat przysługujących im praw,
- likwidację stygmatyzacji osób doświadczających ubóstwa i wyklucze-

nia społecznego oraz negatywnego stereotypowego wizerunku osób dotkniętych biedą i marginalizacją,

- uwypuklenie skali i przejawów działań pozostających w sprzeczności z poszanowaniem podstawowych praw osób doświadczających ubóstwa i wykluczenia społecznego,
- podkreślenie znaczenia respektowania praw (zarówno w kontaktach z instytucjami, jak i w życiu codziennym) osób doświadczających ubóstwa i wykluczenia społecznego,
- propagowanie dobrych praktyk.

Polski Komitet Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu włączył się aktywnie w działania podejmowane w roku 2010. Oprócz przygotowanej wspólnie z Ministerstwem Pracy i Polityki Społecznej kampanii społecznej „Stop ubóstwu”, Polski Komitet EAPN postanowił ogłosić także konkurs na „Pamiętniki osób doświadczających ubóstwa i wykluczenia społecznego”. Konkurs miał na celu:

- Zbudowanie świadectwa życia w ubóstwie w Polsce w 2010 r.
- Otworzenie oczu wielu ludziom, dziennikarzom i politykom na realia życia tych, którzy są ich współobywatelami. Może to pomóc w zmianie niesprawiedliwych i krzywdzących opinii o ubóstwie i ludziach, doświadczających, a poprzez to wspomóc demokratyczne podejmowanie decyzji zmierzających do poprawy warunków i jakości życia tych, którzy tego najbardziej potrzebują.

Stworzone prace mogą być także symbolem odwagi i solidarności w obliczu ubóstwa i wykluczenia społecznego.

Inne cele tego konkursu wpisywały się w założenia Europejskiego Roku Walki z Ubóstwem i miały między innymi przyczynić się do likwidowania stygmatyzacji osób doświadczających ubóstwa i wykluczenia społecznego.

Poprzez ogłoszenie konkursu oraz wydanie najlepszych prac Polski Komitet EAPN chciał skończyć ze stereotypami, dotyczącymi osób dotkniętych ubóstwem: nie ma „ubogich, którzy sobie na to zasłużyli”. Kryzys gospodarczy i zmiany w systemach ochrony socjalnej sprawiły, że więcej osób jest narażonych na ubóstwo i niepewność. Ubóstwo nie jest już czymś odległym i obcym. Prawo do zdrowia, mieszkania, edukacji, kultury i dochodu to podstawowe prawa każdego człowieka, niezależnie od wieku, płci czy statusu prawnego.

Także uczestnictwo i zaangażowanie wszystkich obywateli ma ogromne znaczenie dla budowania zintegrowanego społeczeństwa. W związku z tym również głos osób dotkniętych ubóstwem i wykluczeniem społecznym powinien zostać wysłuchany. Poprzez ogłoszenie konkursu na

Pamiętniki, Polski Komitet EAPN dążył do tego, aby osoby dotknięte ubóstwem i wykluczeniem społecznym mogły się wypowiedzieć i aktywnie zaangażować w życie społeczne.

Rada Ekspertów Społecznych wraz z Radą Wykonawczą Polskiego Komitetu EAPN w czerwcu 2010 roku opracowała warunki konkursu na Pamiętniki Osób Doświadczających Ubóstwa. Zaprosiliśmy wszystkich do opisanie swoich doświadczeń życiowych. Oczywiście ważne były również refleksje z nich płynące oraz opisanie wyzwań, które wiążą się z ubóstwem, popadaniem w ten stan i wychodzeniem z niego. W warunkach konkursu prosiliśmy o pomoc wolontariuszy i streetworkerów organizacji członkowskich oraz innych organizacji zaangażowanych w pomoc osobom doświadczającym ubóstwa i wykluczenia do upowszechniania wiedzy o inicjatywie powstania Pamiętników. Prosiłiśmy w razie potrzeby o udzielenie wsparcia osobom, które zdecydują się na wzięcie udziału w tym przedsięwzięciu, w przygotowaniu przez nie tekstu lub wypowiedzi w innej formie (np. dostęp do komputera, przeprowadzenie wywiadów, nagranie i zapisanie wypowiedzi itp.).

Prace miały mieć objętość nie większą niż 15 stron i mogły być w dowolnej formie: opowiadanie, wspomnienie, opis wydarzeń. Informacja o konkursie została umieszczona na stronie internetowej Polskiego Komitetu EAPN, kilku organizacji członkowskich, Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej, stronach internetowych kilku Ośrodków Pomocy Społecznej oraz stronach www.ngo.pl i www.ops.pl

Informacja została wysyłana również kilkakrotnie do organizacji członkowskich Polskiego Komitetu EAPN z prośbą o rozpowszechnianie jej wśród osób korzystających z usług danej organizacji.

Termin nadsyłania prac upłynął 30 września. Jednak ze względu na okres wakacyjny i prośby samych piszących termin został przesunięty do 10 października.

Na konkurs napłynęło 29 prac. Większa część nadeszła drogą mailową, z czego duża ilość napłynęła ze Środowiskowego Domu Samopomocy w Tczewie. Prace w większości pisane były w pierwszej osobie, choć zdarzyło się kilka opisujących sytuację innych osób.

Trzyosobowe jury konkursu w składzie: dr hab. Ryszard Szarfenberg – Przewodniczący Rady Wykonawczej Polskiego Komitetu EAPN, dr Piotr Broda-Wysocki – członek Rady Ekspertów Społecznych Polskiego Komitetu EAPN oraz Kamila Płowiec – Sekretarz Polskiego Komitetu EAPN, podjęło decyzję o wyborze 26 prac do druku (3 zostały odrzucone ze względu na nieadekwatną tematykę). Jury przyznało także 3 pierwsze miejsca (3 pierwsze teksty w publikacji) za pracę napisane przez: Victora, Krystynę K. oraz Teresę M.

Większość tekstów opublikowana jest na życzenie autorów pod pseudonimem.

Autorzy wszystkich prac dostaną egzemplarze książki z podpisami.

Wierzymy, że ten innowacyjny konkurs będzie zachętą w przyszłości dla innych osób do pisania swoich wspomnień i dzielenia się z innymi członkami społeczeństwa swoimi przeżyciami.

Ubóstwo i wykluczenie społeczne można pokazywać na dwa sposoby – ilościowo i jakościowo. Mamy więc ujmowanie tych zjawisk za pomocą liczb i statystyki oraz perspektywę, w której głos oddaje się samym doświadczającym tych problemów. Ujęcie pierwsze, przy zapewnieniu reprezentatywności prób z populacji, pozwala na uogólnienie, czyli wypowiedzanie sądów o tych zjawiskach w skali całego społeczeństwa. Musi ono jednak pomijać bogactwo doświadczeń wielopokoleniowego życia poszczególnych ludzi.

Silnym impulsem do zastosowania ujęcia jakościowego była inicjatywa w słuchania się w to, co o swojej sytuacji mówią dotknięci nim ludzie w różnych krajach świata. Projekt Banku Światowego Voices of the Poor (Głosy ubogich) polegał na zebraniu wypowiedzi 60 tys. mężczyzn i kobiet z 60 krajów. Zrealizowano go w kontekście opracowywania przez Bank raportu o rozwoju świata poświęconego ubóstwu.¹ Co mówili o nim i jak je rozumieli ludzie, którzy go bezpośrednio doświadczali?

- „*Ubóstwo jest jak życie w więzieniu, w niewoli, w oczekiwaniu na uwolnienie*” – Jamajka.
- „*Ubóstwo to brak wolności, zniewolenie przez przytłaczający codzienny trud i depresję, to strach przed tym, co przyniesie przyszłość*” – Gruzja.
- „*Ubóstwo to upokorzenie, poczucie zależności od innych, przymusowa zgoda na ich chamstwo, obelgi i obojętność, gdy się prosi o pomoc*” – Litwa.
- „*Dla biedaka wszystko jest straszne - choroba, poniżenie, wstyd. Jesteśmy kalekami; boimy się wszystkiego; zależy od każdego. Nikt nas nie potrzebuje. Jesteśmy jak śmieci, których każdy chce się pozbyć*” niewidoma kobieta z Triaspolu w Mołdawii.

Niewola i zależność, lęk i niepewność, poczucie upokorzenia i zbędności to nie są te cechy, na które zwraca się uwagę w ilościowych podejściach do ubóstwa. Tam jest to przede wszystkim dochód gospodarstwa do-

1. Na podstawie zebranych wypowiedzi powstały trzy opracowania: D. Narayan i in., *Can Anyone Hear Us?, Crying Out for Change* z 2000 r. oraz *From Many Lands* z 2002 r. Raport Banku Światowego miał w tytule bojowe słowa „atakując ubóstwo” - *World Development Report 2000/2001: Attacking Poverty*, Washington DC 2001.

mowego za niski w stosunku do poziomu minimalnie wystarczającego. Wyznacza się ten poziom w oparciu o typowe podstawowe potrzeby i najniższe ceny lub jako część dochodu średniego. Ubóstwo odczuwane przez rzeczywistych ludzi jest więc czymś nieco innym niż ubóstwo, które jest podstawą analiz statystycznych. Dochody oraz ich źródła są oczywiście ważne, szczególnie w takich społeczeństwach, w których coraz więcej tego, co jest podstawą prawidłowego funkcjonowania i cieszenia się życiem, musimy kupić na rynku. Niedostatek pieniędzy, to często tylko skutek innych problemów, wówczas pomoc finansowa nie jest ani odpowiednia, ani też skuteczna. Dobrze to widać w wypowiedziach zgromadzonych w niniejszej publikacji.

Analizowanie doświadczeń tych, których dotknęły bezpośrednio problemy społeczne ma w Polsce bardzo długie tradycje. Pamiętniki bezrobotnych wydane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w 1933 r. to już klasyka polskich badań społecznych.²

Jeden z ówczesnych pamiętnikarzy tak opisał swoją sytuację: *„Jak dobry chłopak poszedł do swego ojca i przyniósł parę złotych, które nie mogliśmy na święta wydać, trzeba ich zostawić na sól, na naftę i na kawałek chleba dzieciom. Przesiedzieliśmy wigilię, trzy dni świąt przy bardzo skromnym odżywianiu i śpiewaliśmy, „wesola nowina, bracia słuchajcie” — choć kieszki marsza grały. Po tylu latach pracy doczekaliśmy się wesołych świąt na starość i chleba nie ma, święta się skończyły, zięć odjechał do wojska, ja znowu oczekuję Nowego Roku, może przyniesie co nowego i tak jest, na Nowy Rok dostałem kwitek na 100 kilo ziemniaków, będzie co jeść z rodziną, tylko ich jeszcze nie otrzymałem, no i cukier jest w gminie, tylko nie wiadomo kto otrzyma.*

Po tylu latach pracy nie masz chleba.

Po tylu latach pracy siedzisz w kiepsko ogrzanej chacie.

Po tylu latach pracy nie masz obuwia na nogi.

Po tylu latach pracy chodzisz w łachmanach. Po tylu latach pracy dziecko bose, obdarte i nieraz głodne.

Po tylu latach pracy żona ci nad głową gdyra, że nie ma co jeść.

Po tylu latach pracy nie możesz w nocy zasnąć spokojnie - oto siedem przykazań człowieka bezrobotnego, który pracował w pocie czoła i w rozmaitych warunkach życia i ma za sobą 36 lat ciężkiej znoјnej pracy...”³

2. W 1967 r. została wydana reedycja pamiętników, a w drugim tomie przytoczono wypowiedzi pamiętnikarzy po latach oraz relacje prasowe na ten temat.

3. *Pamiętniki bezrobotnych*, Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1967, s. 348.

Bardzo przejmujące były też głosy dzieci bezrobotnych rodziców zebrane pod koniec lat 30 i opublikowane razem z innymi wynikami badań tuż przed wojną.

Uczeń z klasy szóstej pisał: „*W domu u nas nie ma nieraz chleba, tylko jemy ziemniaki. Ojciec stracił pracę 2 lata temu, którego obgadał jakiś pan o nie-stworzone rzeczy. Nie mamy się w co ubrać, zimno nam dokucza, do szkoły idę głodny i zimny. Matka ze zmartwienia zachorowała na nerwy i była w zakładzie i się boimy, żeby się nie powtórzyło. Nie chcę dużo pisać, bo jak mi się wspomni o tym, to chce mi serce pęknąć*”.⁴

Uczennica z klasy piątej: „*U nas jest bieda i nędza. Prawie wciąż chodzę głodna. Matka musiała ojca wyrzucić, bo gdy dostał swoją pensję, to poszedł do knajpy, a teraz jesteśmy w ciężkim położeniu, więc matka była zmuszona wyrzucić go z domu. My teraz nie mamy za co płacić komornego i każdej chwili mogą nas eksmitować, bo ojciec nie płacił i my także, bo skąd mamy wziąć pieniądze i zapłacić dzierżawę? Gdy nas wyeksmitują, to nie będziemy mieć dachu nad głową i będziemy się tułać po świecie i z głodu umrzemy...*”⁵

Wraz z powrotem problemu bezrobocia po 1989 r. znowu ludziom zaczęły bardziej dokuczać ubóstwo i wykluczenie ekonomiczne. Dokumentowano je też w podobny sposób jak przed wojną.

Kobieta, lat 36, wykształcenie średnie zawodowe, staż pracy 17 lat, zamężna, dwoje dzieci, tak opisała sytuację swojej rodziny na początku lat 90.: „*Ja i mąż mamy jeszcze pracę, ale nie wiadomo jak długo, bo prywatyzację zakładu zapowiedzieli już dawno, a wtedy mamy małe szanse, że oboje zostaniemy w pracy. Jeżeli zwolnią tylko jego lub tylko mnie, to może nie będzie jeszcze tak źle, chociaż za „kuroniówkę” trudno cokolwiek opłacić, a my już dziś zalegamy z opłatami za energię elektryczną i za czynsz. Żyjemy w ciężkim stresie, że wyczekiwane przez 15 lat mieszkanie, jedyne co mamy własnego, może przestać być nasze i stracimy dach nad głową. Z naszych wynagrodzeń niestety, wystarcza nam tylko na skromne jedzenie i szkołę dla dzieci oraz ubogie ubranie dla nich. To wszystko kosztuje jednak masę pieniędzy i jest coraz droższe, a nasze pensje od dwóch lat są te same. Wydaje się, że w dobie prawie XXI wieku dzieci nasze powinny mieć lepiej niż my, kiedy byliśmy dziećmi. A one są znerwicowane, niedożywione, skazane na wegetację za nędzne grosze, jakie zarabiają ich rodzice. Nie myślę nawet co dzieje się w tych domach, gdzie ludzie są bez pracy czy nawet bez zasiłku,*

4. L. Kandziora red., *Wpływ bezrobocia na pracę w szkole*, Wydawnictwo Inspektoratu Szkolnego Miejskiego w Poznaniu, Poznań 1939, s. 44.

5. Tamże, s.47.

bo to już skrajna nęcza. U nas ta ciągła niepewność czy nie stracimy pracy powoduje, że żyjemy jak na bombie. Wszystko może wywołać awanturę, więc żeby uniknąć konfliktów między nami, żeby dzieci nie były obciążone naszymi problemami prawie ze sobą nie rozmawiamy”⁶

Instytut Gospodarstwa Społecznego SGH powrócił do idei sprzed wojny i ogłosił nowy konkurs na pamiętniki bezrobotnych. Pierwszy tom z pracami nagrodzonymi został opublikowany w 2003 r. w siedemdziesięciolecie pierwszych pamiętników.

Przytoczmy tylko jeden cytat z tej wielotomowej publikacji. Marek z Przemysła, lat 22: *„Rzeczywistość jest taka, że aby przeżyć do końca miesiąca musimy zaciągać długi u znajomych - nie wspomnę już o naszym zadłużeniu w bankach. Pożyczka goni pożyczkę. Jedną spłaca się drugą, aby móc wziąć następną. Trudno jest mi wyobrazić sobie sytuację, że ktoś żyje i nie musi pożyczać pieniędzy, zaciągać kredytów, i martwić się o dzień jutrzejszy. Nie musi dzielić poborów i gnać do banków, aby spłacić kolejne raty. Żyje spokojnie, ma na jedzenie, ubranie, rozrywkę. A właśnie, to ostatnie słowo wyszło już prawie całkiem z mojego użytku. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio spędziłem sylwestra czy inne święto poza domem, a wyjazd na wakacje pozostaje, niestety, tylko w sferze moich marzeń”⁷*

Zgromadzone poniżej głosy mają nieco inny charakter, gdyż nie tylko i nie przede wszystkim bezrobocie i ubóstwo grożące rodzinie stanowią zasadniczy problem ich autorów. W historiach ich i najbliższego otoczenia często pojawiają się uzależnienie od alkoholu i inne poważne choroby somatyczne i psychiczne powodujące niepełnosprawność, a także skrajna postać wykorzenienia społecznego, czyli bezdomność. Mogą to być konsekwencje przedłużającego się bezrobocia, ale może częściej są to niezależne przyczyny trudności na drodze edukacyjnej, zawodowej i w życiu rodzinnym.

Z przynajmniej części zebranych świadectw wynika, iż nawet w takich bardzo trudnych sytuacjach ludzie mogą otrzymać skuteczną pomoc, zachować nadzieję, znaleźć swoje miejsce i cieszyć się życiem pomagając innym. Może równie ważne jest to, że gdy wysłuchamy tych głosów, to bardzo trudno jest je podsumować jakąś ogólną formułką, np. że praca jest lekarstwem na biedę, albo, że ubodzy sami są sobie winni. Tak naprawdę wszyscy potrzebujemy więcej i różnorodnych lekarstw w różnych okresach naszego życia, a pytanie o winę powinno być zastąpione pyta-

6. D. Graniewska, red. *Współczesne zagrożenia realizacji podstawowych funkcji rodziny. Wyowiedzi i opinie respondentów*, tom II aneks, Instytut Pracy i Spraw Socjalnych, Warszawa 1994, s. 31.

7. *Pamiętniki bezrobotnych*, tom. I, Szkoła Główna Handlowa, Warszawa 2003, s. 281.

niem o przyczyny, wśród których są też zasady i organizacja świata społecznego, w którym żyjemy.

Kim są dziś ubodzy, wykluczeni czy bezdomni? Żebrakami czy biernymi osobami dotkniętymi przez choroby i patologie? A może zdegenerowanymi jednostkami zasługującymi na swój los? Żyją – jak pisał P. Declerk, „w świecie rozkładu”⁸, w którym widoczna jest jednak swoista dynamika. Patrząc na osobę ubogą, bezdomną, nie dostrzegamy jej linii życia – dzieciństwa, młodości, być może prób tzw. normalnego życia. Osoby biedne postrzegane są zresztą – jak zauważą H. Palska – przez pryzmat „krótkiej biografii”. Nawet same tak siebie postrzegają. Niewiele się w tym życiu działo. Czy rzeczywiście tak niewiele się z niego pamięta? Czy tak mało ma się wspomnień? Rodzice – jeszcze tak; dziadkowie znacznie rzadziej. Dalej w przeszłość nikt już nie jest w stanie sięgnąć.⁹

Dominuje motyw trudnego dzieciństwa. Nawet, jeśli określane jest jako okres szczęśliwy, to przecież wyraźnie widać, iż kapitał kulturowy przekazywany w tych środowiskach był niezwykle skromny, a start w dorosłość często przedwczesny. Nie dostrzegamy dróg wejścia w obecną trudną sytuację, ani zmian w ich położeniu.

Kolejny problem to dziedziczenie trudnego losu. Dlaczego dzieci ludzi piszących te wspomnienia tak często dziedziczą ich sytuację? Dlaczego oni sami tak często dziedziczyli los po swoich rodzicach? Można szukać przyczyn prowadząc badania socjologiczne, można też upatrywać ich w dysproporcjach ekonomicznych. Ale jest także jeszcze jeden często pomijany aspekt – taki ludzki. Czy w środowiskach wzrastania i wchodzenia w dorosłość tych osób było miejsce na rozmowy o emocjach i uczuciach. To zaskakujące, że w tekstach tak rzadko pojawia się słowo miłość, kochanie (czasami jedynie ze wzruszeniem wspomina się miłość rodzicielską, ale jako coś dawnego i już bezpowrotnie straconego, a wcześniej niedocenianego). Na przykład Bogusław w swoich wspomnieniach napisał – „w międzyczasie założyłem rodzinę – która się zresztą szybko rozpadła”. Czy można takie decyzje podejmować w międzyczasie? Tyle przeżyć, emocji i uczuć w jednym zdaniu?

Jeśli kwestie te są poruszane, to jakby ukradkiem, ze wstydem może lub zakłopotaniem. Dlaczego? Nikt z tych ludzi nie umie kochać? I nikt nie umie miłości przekazywać? Dzieci, mężowie pojawiają się jakby obok. Nieszczęścia, problemy – przyszły i są. Wyjątkiem jest tekst NN2, chociaż

8. P. Declerk, *Rozbitkowie. Rzecz o paryskich kloszardach*, Warszawa 2004, s.23-25.

9. H. Palska, *Bieda i dostatek. O nowych stylach życia w Polsce końca lat dziewięćdziesiątych*, Warszawa 2002, s. 47-51.

i tu na końcu okazuje się, że tego uczucia gdzieś brakuje. Bezdomny, biedny w odbiorze społecznym jest po prostu bezdomny, a biedny – biedny – bez biografii, wspomnień i przyszłości i wrażliwości.

Większość wspomnień napisały osoby dotknięte różnymi chorobami – psychicznymi, alkoholizmem. Czytając ich zapiski można dostrzec, że choroby te często powstawały przed tym, zanim stały się one biedne czy bezdomne. Nie zawsze jest zatem tak, że bezdomność czy wykluczenie rodzi alkoholizm. One go pogłębiają. Nie musi być tak, że bezdomność i ubóstwo rodzą choroby psychiczne. One wzmacniają ich objawy. Powstaje pytanie – gdzie była reakcja otoczenia na wcześniejsze nadużywanie alkoholu; gdzie dostrzeganie problemów i urazów psychicznych?

Ścieżki degradacji społecznej nie są ani proste, ani krótkotrwałe. Niezdolność do wypełniania swoich zobowiązań, wykroczenia przeciw prawu, zanikające możliwości rozróżniania między różnymi zachowaniami narastają stopniowo. Proces ten ma niejako dwa oblicza. To brzydsze – oblicze wykluczonego i to bardziej estetyczne – oblicze wszystkich odwracających się od niego na każdym etapie jego degradacji. Wszak najlepiej byłoby, gdyby niektórych osób po prostu nie było widać. W którymś momencie te dwa światy – estetyczny i brzydki – dzielić zaczyna przepaść. Zwłaszcza, iż świat biedy i wykluczenia degraduje się cały czas, redukując potrzeby dotkniętych nim ludzi do wymiaru najprostszego i często brutalnego.¹⁰

Niekiedy inkluzja staje się działaniem pozornym. Bo reprezentujący ją ludzie przynależą do innego, estetycznego świata. Niekiedy też zwalczając zjawisko, zapominając o ludziach; zwalcza się wykluczenie i promuje inkluzję – zapomina się o wykluczonych i nie reflektuje rzeczywistej egzystencji tzw. osób zintegrowanych. Niektóre osoby są dotknięte dezintegracją i wykluczeniem już tak dalece, że być może trzeba stanąć w obliczu prawdy, którą jest niemożliwość ich pełnej inkluzji. Nie zwalnia to jednak nikogo od konieczności pochylenia się nad ich losem i udzielenia możliwej pomocy. Wykluczenie w swym najgłębszym wymiarze jest patologią więzi społecznych, a nie konsekwencją czynników ekonomicznych.

Osoby wykluczone żyją permanentnie w sytuacji kryzysowej. To dla nich ogromny stres. Ale nawet w tak ekstremalnych warunkach zachowują wrażliwość na wiele kwestii i spraw podobną do tej, jaką mają wszyscy członkowie społeczeństwa. Ból, radość, smutek to uczucia wspólne dla wszystkich. Różne są możliwości ich wyrażania. Spowodowane jest to egzystencją w ramach – jak nazywał ją o. J. Wrześniński¹¹ – kultury częst-

10. P. Declerk, tamże, s. 170.

11. o. J. Wrześniński, *Świat kultury a świat biedy*, (robocze tłumaczenie tekstu przygotowanego na debatę w Centre Georges Pompidou), Paryż, 16.03.1987.

kowej. Kultura ta, nacechowana oporem, niekiedy wyczekiwaniem na pomoc, dotknięta syndromem stereotypów i odrzucenia, pozbawiającym głosu i uczestnictwa w systemach i instytucjach przedstawicielskich. Jeśli próbują się z niej wyrwać, spotyka się z odrzuceniem. Prof. Elżbieta Tarkowska tak to ujęła: „biednemu wypomina się telefon komórkowy lub telewizor, jego dziecko – nowe ubranie; ma się za złe, że nie wygląda jak stereotyp ubogiego”¹². Ubóstwo – podobnie jak bogactwo – podlegało i wciąż podlega wartościowaniu i ocenom. W oświeceniowym etosie pracy nie ma miejsca dla ubóstwa, którego – wiadomo przecież – przyczyną są lenistwo i nieróbstwo.

Na kartach tej książki zamieszczono teksty pisane ręką osób, które często są omijane i odpychane. Których często nikt nie dostrzega poza pasjonatami i współtowarzyszami losu. A przecież paradoksalnie losy nie odbiegają aż tak bardzo od naszych, „normalnych” życiorysów. W którymś momencie ich życia coś jednak pękło. Niekiedy w dzieciństwie, innym razem później. Załamania, choroby, opuszczenie przez rodzinę. Jednakże z tekstów tych wyłania się również optymizm. Wiara w to, że ma się wpływ na swój los, że można spotkać dobrych i życzliwych ludzi na swej drodze, że można się jakoś pozbierać. I może to „pozbieranie” wyda się komuś mało wartościowe, bo czy jest czymś godnym uwagi i szacunku bycie pomocą kuchenną czy wykładcą towaru? Lecz dla tych ludzi jest to miejsce w życiu, które osiągnęli po bardzo długiej wędrówce. Za to należy im się szacunek, a nie szyderczy uśmiech. Za to, że idąc, w każdym momencie swojej drogi starali się pozostać ludźmi. Ludźmi którzy mają swoją godność i tożsamość. Stąd imiona zamiast tytułów tekstów, a nie po prostu NN, bezdomni, biedni i chorzy.

12. E. Tarkowska, *Ubóstwo, czyli stan życiowej klęski* (www.rp.pl/arttykul/537884.html, z dnia 20.09.2010)



VICTOR
SZCZUR MIASTA

Nogi bołą. Tak, że chciałbym je tłuc młotkiem. Stopy. Aż trudno ściągnąć buty, Adidasy marki Adidas. Lekkie - to bardzo ważne. Są mokre, zabłocone i dziurawe. Padał deszcz, niewielki, kurtka tylko napęczniała. Ubranie na dziś, na jutro. Pogoda dziś, jutro.

To ważne - jak jest za ciepło, jak jest piekące lato - nie idę do pracy, nie wróciłbym. Nie mogę być na słońcu powyżej dwudziestu paru stopni. Pół serducha mi zostało. Reszta się zawałiła przed paru laty.

Jak długo tu chodzę? Rok, dwa, trzeci rok. Myślałem, że to będzie parę miesięcy, że popłacę bieżące i znajdę prawdziwą pracę. Wielu mówi: uczciwą. Moja praca to żebranie na skrzyżowaniu, tam gdzie zmieniają się światła. Amerykanie mnie sfotografowali z satelity, nie wiem po co - nawet nie zauważyłem, dopiero w Internecie.

Dlaczego? Dla pieniędzy, z samotności, bo takiemu nie ma kto pomóc... Albo nie może, albo nie chce. Jestem częścią systemu. Żeby byli zamożni i zadowoleni muszą jacyś pracować, a ci co nie radzą sobie z trudnościami - spadają. Na dno.

Na dnie nie jest źle, tylko pogoda i ci agresywni, nieżyczliwi.

Pierwszy raz, wszystko jest pierwszy raz. Ja często myślę o ostatnim razie - może ślizg auta, może awaria nóg, nieostrożność.

Żebranie jest pracą, moja pracą. Nie wiem czy upokarza - wyłączyłem to. Nawet wyłączyłem radość. Nie z tego żebrania, a z tego, że coś robię, że nie jadę tylko na pigułkach na serce i deprechę. To tumani i otacza jakąś ścianą, daje obrazy końca życia. Jak chodzę to myślę, że bołą mnie nogi. Bołą bardzo. Myślę, że jestem wolnym człowiekiem... że jestem człowiekiem. Myślę też, co oni myślą. Jest mnóstwo czasu do myślenia. O wszystkim - o tych autach, o tych ludziach w autach, o tych ludziach na ulicy, o tym, że jestem niewidzialny. A muszę być widzialny, żebym mógł dostać jałmużnę.

Otwiera się szyba. Jedzie w dół. Spoglądam. Jak chodzę od początku stojących aut, nie patrzę na nich. Odbija się światło. Bołą oczy. Lub nie wiadać i tak nic. Tylko gdy się otwiera szyba. Zatrzymuję się wyciągam moja rękę z kubkiem, takim z macdonaldsa, z Myszka Miki. Puk, wpada moneta, brzoź - wpada kilka drobnych monet, złotówka. dwa złote. Kilka razy dziennie pięć złotych. Czasem kilkadziesiąt groszy. Czasem dziesięć groszy. Dziesięć groszy? Nie wiem, naprawdę nie wiem po co. Każdy pieniądź jest ważny, ale dziesięć groszy - z ciekawości, ze złościwości? Ale ja nie patrzę na monety - ja je słyszę i wiem.

Mówię:

- Dziękuję najuprzejmiej panu.

- Dziękuję najuprzejmiej pani.

- Dziękuję najuprzejmiej państwu; jeśli pieniądź podaje kierowcy pasażer.

Chodzę tam, gdzie przy krawężniku stoją samochody na światłach. Chodzę od strony kierowców, nie wychodzę na jezdnię, nigdy. Boję się aut. Mój świat jest poza krawężnikiem.

Myślałem, że to się skończy po kilku miesiącach. Chodziłem do Urzędu Pracy, do MOPSu, do takiego stowarzyszenia, które mówi, że zajmuje się niepełnosprawnymi. Jestem niepełnosprawny. Mam sześćdziesiąt lat, jestem na rencie - nie ma mowy by się z niej utrzymać, starcza do piętnastego. Nie płacę czynszu, od kilku lat... jeszcze nie jestem bezdomny, zaraz będę. Nie wiem gdzie pójdę. Raczej nie do Nieba.

Najmilsze w tej pracy jest to, jeśli ktoś się uśmiechnie tak po ludzku. To nie zobowiązuje. Daje mi poczucie człowieczeństwa, ktoś się mną nie brzydzi, Nie widzi we mnie podczłowieka, oszusta.

Chyba więcej niż połowa myśli: to oszust. Przecież ma ubranie, wygląda tak jak inni. Trochę to ubranie stare, z lumpeksu, ale nie brudne. I nie jest pijany.

Nie piję. Nie lubię alkoholu. Kiedyś w szkolnych czasach, w małym miasteczku, nudno było to chodziłem z Sylwkiem i Rybą na piwo. Ryba powiesił się dawno temu w Kanadzie. Pewnie od wódy. Wielu lat moich kolegów odeszło. Nie dlatego nie piję. Alkohol niszczy, zatruwa. Już bym nie żył. Właśnie - po co ja żyję?

Mam córkę, ma dziewięć lat, nie mieszka ze mną. Nikt ze mną nie mieszka. Nie mam nawet zwierzaka ani kwiatka. Nie umiem pielęgnować kwiatków w doniczkach. Jestem dla nich za dobry i je topię, codziennie podlewając. Podobno trzeba się na tym znać. Kiedyś miałem kwiaty na parapecie. Ale to było wtedy kiedy miałem żonę. Pierwszą, potem drugą, teraz nie mam żadnej, to nie ma kwiatów.

Przez tą drugą bardzo się załamałem kiedyś. Jak sobie poszła do innego pana - cudzoziemca. Po pięćdziesiątce zaczęły się moje kłopoty z pracą, jestem bardzo wykształcony - magister.

Magister żebak. Artysta plastik, były dobre czasy gdy dużo pracowałem. Miałem zlecenia, umiałem o nie dbać. Moje rzemiosło mam w małym palcu, ale moi klienci mają teraz po 25 - 35 lat i chcą rozmawiać z podobnymi do siebie. Czasy dla ludzi starych skończyły się w mojej branży. Chyba, że ktoś jest wykładowcą, to ma spokojne dożywocie.

Lubię słuchać RMF Classic albo Radio Swiss Classic - tam są tylko zapowiedzi, nie ma reklam. Ustawiam je w Winampie z Internetu. Zapowiedzi po francusku. Piąte przez dziesiąte pamiętam. Liceum, jak to dawno. Szkoła Podstawowa, jak to dawno. Pierwszy dzień szkoły. Wtedy Gomułka po-

wrócił i przemawiał - był Polski Październik. O węgierskim nie wiedziałem, nie rozmawiano przy dziecku o takich sprawach.

Pamiętam wcześniej, jak umarł Stalin. Chyba nie wiedziałem kto to był. Ale ważny, bo ludzie mieli stać na baczość, chyba gdy był pogrzeb. Nie wiedziałem gdzie. Biegałem od okna do okna, jak wyły syreny fabryczne. Ktoś szedł i wcale nie stał na baczość. Wydawało mi się to nierealne. To było małe fabryczne miasto. Jest teraz trzy razy większe, tylko nie fabryczne. Wszystko pozamykane. Jak ludzie żyją w małych miastach? Od pokoleń wyjeżdżają za granicę do pracy. Choć jedna, dwie osoby, jeśli rodzina jest większa. Miasto było małe, miało 20 tysięcy mieszkańców i dwa kościoły. Teraz ma tych kościołów chyba sześć, w dziwnych kształtach są. Tylko fabryka nie pracuje. Ludzie dorabiają jak mogą. Ja też bym chciał.

A chodzę na skrzyżowaniu. Chciałem utrzymać samochód, taki stary, niemiecki. Jeżdżę nim do córki, na drugi koniec miasta. Raz w tygodniu zabieram ją do taty. Jedziemy najpierw do stadniny koni. Ona tam ma przejażdżki, tak z nią jeżdżę od 6 lat. Bardzo to lubi. Choć ja boję się koni. Córka spadła dwa razy - raz z hucuła, idący za nim go kopnął. Jakieś końskie sprawy. Fiknęła i płacz. Wsiadła. Drugi raz, osa ugryzła konia. Mała zrobiła salto. Okulary zwinęły się w ósemkę, ale wsiadła i spłakana wróciła na koniu. Kocha konie. Ona nie wie jak ja żyję.

Przyjeżdżamy do taty, zabawa na całego, robi co chce, je co chce. Czasem mnie obejmie i powie:

- Tato bardzo cię kocham.

Odpowiadam - Córeczko, ja też bardzo cię kocham.

Ten nikt ze skrzyżowania kogoś kocha, i ktoś jego kocha. Po co by inaczej miał żyć. Nie pije, nie pali, nie ma specjalnych powodów do znoszenia cię-żarów.

Ale już wygrałem z depresją. Dopadła mnie po odejściu żony, pół roku chodziłem do psychologa. Kryzys. Nie mogłem sobie poradzić, pocieszył mnie.

- Panie, przychodzą tu twardziele. Ochroniarze, sportowcy. I też ryczą jak dzieci. No tak. Życie jest podobne dla każdego. Dla każdego kto wystawia się na jego próby.

Ile zbieram pieniędzy miesięcznie? Teoretycznie z tysiąc złotych. Mnóstwo. Nie byłem na ulicy trzy miesiące. Były upały.

I tak nie mogę tam być dłużej niż 3 - 4 godziny. Nogi. Brak tchu. Po tym zawale to pewnie mam pół serca. Nie wiem. Zapytałem doktora po angi-
lastyce jakie miałem szanse?

- 50%

- Panie doktorze, może 48?

Doktor popatrzył na mnie - Już pan mędrkuje.

To bardzo dziwne, móc zamienić choć jedno zdanie z człowiekiem, który przed chwilą uratował mi życie. Zamiast być przestraszonym, głupkowałem. Nie wiem, czy to z leków, czy ze strachu, albo ze zdziwienia. Umieranie raczej jest zdziwieniem. Ból potem mija. I chyba nie ma nic. Na zawsze.

Dlatego chodzę, żeby spotykać moja córkę. Niczego już nie oczekuję i chyba już nikomu nie wierzę. Dla tej żony, co odeszła byłam aż do znudzenia dobrym. Tylko wiele starszym i już nudnym. Wybaczyłem jej po roku dwóch latach. To mnie uspokoiło. Ale po 3 latach, tego samego miesiąca i tego samego dnia miesiąca – uderzył mnie zawał. Byłem w mieście, szedłem ulicą. Coś mnie gniołło w piersiach, od paru dni. Paliłem wtedy papierosy. No tak, papierosy, trzy paczki. Myślałem, że to boli od papierosów. Nie miałem kogo spytać, a nie przyszło mi do głowy pójść do lekarza. Nie znam się. Usiadłem na ławce. Nie mijalo. Wstałem. Musze iść do szpitala! Gdzie jest szpital? Dojdę do samochodu, przypomnę sobie i pojadę. Boli coraz bardziej, idę. Potykam się. Idę pochylony, chyba szybko. Myślę. Ludzie patrzą na mnie jak na pijanego. Jak upadnę, umrę. Tylko nie upaść. Z kolei jak umrę to nie będę o tym wiedział. Nie postępuję racjonalnie. Uparcie chcę dojechać do auta. Nie wiem już po co. I tak nie mógłbym jechać. Doszedłem. Położyłem się na tylnej kanapie. Boli. Boli. Dzwonię po pogotowie. Po 10 minutach znów dzwonię, umiem powiedzieć gdzie jestem ale nie wiem gdzie jest szpital. Zapomniałem. Był pół kilometra ode mnie. Ze sklepu wychodzi pani sprzedawczyni, podaje mi szklanekę wody. Widzi, że człowiek cierpi. Nie wiem czy coś mówi. Słyszę karetkę. Zajmują się mną. Jakieś zastrzyki. Nadal trzymam tę szklanekę z wodą. Nie wiem czy ją oddałem tej miłej pani. Jedziemy. Jak szybko. Sortownia szpitala. EKG. Szpakowaty lekarz wie co mi jest. Dysponuje jazdą do innego szpitala. Pewnie tam mieli dyżur. Proszę go, żeby zadzwonił do mojej byłej żony, podaję mu komórkę. Przekazuje córce, że dziś nie będę, bo zachorowałem. I żeby ktoś zabrał samochód, który stoi na miejscu płatnym. Nie, może o tym samochódzie to dzwoniłem po południu. Jak mnie już uratowano.

Każdy kto przeszedł taki cień, patrzy na życie inaczej.

Zasypiam i myślę od kilku lat, że może po raz ostatni. Budzę się i dziwię się. Ooo! Żyję. Tak to przestałem raptownie palić papierosy. Dziwić się już nie przestanę. Wstawiono mi jakąś sprężynkę do zatkniętej tętnicy. Chyba widziałem to w telewizorze w sali zabiegowej. Ale pamiętam bardziej wielką muchę chodzącą po suficie. Komuś o niej powiedziałem, nikt mnie nie słuchał. Personel ratował jednego po drugim. Straszny młyn.

Teraz może zbieram 600 – 800zł miesięcznie. Nie wstydzę się. Nie rozczulam nad sobą. Wszystkich, którzy mnie wspierają szanuję, tych co nie

wspierają też. Bo to jest zajęcie, które uczy pokory i godzenia się z godnością dna hierarchii społecznej. Jeśli to ktoś będzie czytał, przeleci wzrokiem – ile to on zarabiał? To mity. Może jacyś żebracy, którzy mogą przesiedzieć od rana do wieczora w centrum. Nie wiem. Jak widzę żebraka zawsze dam złotówkę albo dwie. Nawet jeśli jest podchmielony. Tym bardzo współczuję. Choroba alkoholowa marginalizuje ich ostatecznie. Są nie do uratowania. Może o tym nie wiedzą. Nazywa się ich lumpami. Okropność. Jak upadło to społeczeństwo, wśród miodnych słów.

Tak, może oni chcą tak żyć. Tak, może ja chcę tak żyć. Mam rentę, 1000zł. Są niższe. Samotny człowiek nie może za to wyżyć i spotykać swojego dziecka. Może mu starczyć na jedzenie. Nie na leki. Nie na opłaty - 300zł odbiera sobie bank z kredytu, alimenty na dziecko 200zł, telefon 100 i internet 50, światło 100, gaz 50. Samochód? Benzyna 100. Teraz stoi zepsuty. Dwa razy w roku podstawowe ubezpieczenie. Żebak, który ma samochód. Mówiłem po co. Mam też zegarek, telewizor i aparat cyfrowy. Bardzo prosty. Kiedyś byłem fotografikiem. To w czasach „druhów”; „smien”; potem „praktyc”. Do praktyki miałem piękne obiektywy. Pentacon 29mm, standardowy Pancolar 50mm, Orestor 100 mm, Tair 300mm. Ten aparat teraz to po to, że robię zdjęcia córce. Mam je tu w komputerze. Tak mam też komputer. Ma 15 lat, ale działa. Chciałbym, żeby to wszystko trwało, ale nie może. Nie umiem z tego wyjść. Moja praca nie daje szans. To jest przetrwanie, nie ma pracy dla starych ludzi. Tych co nie mają sił fizycznych. Dzwoniłem, chodziłem do tyłu stowarzyszeń dobroczynnych. Jak w którymś mnie zapytano znowu: czy może pan wpłacić nam jakąś dotację? Zorientowałem się, że nie umiem „żebrać” o pomoc w tych prywatnych instytucjach. Dla MOPSu jestem za bogaty. Takie są przepisy. Długi bankowe, to mój kłopot. Leki to mój kłopot. Plavix odstawiłem po 3 miesiącach i poszedłem żebrac. Za miesiąc nie wykupiłbym leków i nie pisał tego.

Priorytety. Tak. Nie mam zdolności planowania. Byłem kiedyś bogaty. Jeździłem tu i tam po Europie. Miałem mieszkanie. Zostało pierwszej żonie. Mamy córkę. Wtedy była mała. Ja odszedłem, tamta żona zachorowała, psychiatrycznie. Krzyczała i krzyczała całymi latami. Chciałem, wierzyłem, że się da wyleczyć. Nie dało. To była moja wielka studencka miłość, kilka lat szczęścia. Miałem trzydzieści parę lat i zaczynałem od początku. Miałem nawet kawałek domu poza miastem, sprzedałem. Moja druga żona nie chciała mieszkać na prowincji. Ja już nie umiałem dobrze przewidywać, robiłem błędy.

To teraz mam takie życie.

Czy mi wstyd... nie wiem. Nie w pracy. Tam mówię sobie, że robię to aby

móc pojechać z małą na konie. Po to żyję. Tym jednym dniem w tygodniu jestem tato.

Teraz zadzwoniłem do niej. Rozmawialiśmy.

Są ludzie obojętni, chyba większość. Nie chce im się myśleć o tym człowieku, który stoi, chodzi, z kartką. Na kartce prośba o pomoc na życie i na leczenie. Od pierwszej chwili powiedziałem sobie – nie będę kłamał. Czasem ktoś zapyta. – Ale nie na wódkę? –

Popatrzy na mnie i już wie, że nie. Są ludzie, którzy traktują mnie jak człowieka w potrzebie albo jak człowieka z marginesu, albo jak oszusta. Tych ostatnich jest niewielu. Młodzież, oni nie wiedzą co robi upływający czas. Otwarte okno. Śmiech kpiący młodych chłopaków. Raz jeden rzucił we mnie dziesięciogroszówką. Podniosłem. Pan w moim wieku, w żółtym samochodzie, kilka razy pokrzykiwał – weź się do roboty! Sam ciężko pracuje. Mam nadzieję, że nie wie co robi przeżyty zawał. Nie interesują mnie samochody. Jeśli kogoś pamiętam, to nie wiem jaki ma samochód. Zapominam. Wiem, że są samochody luksusowe i samochody bardzo zniszczone. To nie samochody dają jałmużnę żebrakowi - to ludzie.

Teraz go nie widzę. Kiedyś przejeżdżał pan takim samochodem dużym, może najdroższym w mieście. Limuzyną mercedes 600. Zrobił mi zdjęcie komórką. Po jakimś czasie jeszcze kilka razy. Nie otwierał okna. Nie rozumiałem tego. Czy warto robić nikomu zdjęcie? Pani w małym fiacie, pomarańczowym. Też jej teraz nie widzę. Zawsze otwierała okno, co nie jest łatwe w tym samochodzie, z miłym uśmiechem wrzucała do mojego kubka dwa złote. Zapamiętałem kolor tego samochodu.

Był też kierowca autobusu, taki z życzliwym uśmiechem. Autobusów miejskich nie odróżniam. Wystawiał rękę, chwilę zaczekał jak się nie orientowałem, że to on. Na autobusy nikt nie trąbi. Był też kierowca autobusu rejsowego, znanej firmy. Nie odzywał się, podawał z wysokości pieniążek. Czułem w nim spokój i życzliwość, wyglądał jak pilot samolotu. Był poważny i wzbudzał zaufanie. Nigdy się nie odezwał i nigdy nie pominął mnie. Pani o uśmiechu Ireny Santor, zawsze się uśmiechała do mnie. Tak bardzo pamiętam ludzi nie pogardzających mną, a dodatkowo takich co stać ich na przekazanie gestem – nie martw się, też jesteś człowiekiem.

Nie wiem czym jestem. Patrzę na pojazdy, na ludzi, na drzewa. Patrzę na ptaki i z nimi odlatuję. Była wiosna, wysoko krążyły dwa bociany. Pierwsze. Powiedziałem to do pani, która podała mi monetę. Spojrzała bez urazy, ale bez uśmiechu. Poczuję się głupio, może przekroczyłem granicę nieba i ziemi.

- Nie widziałem pana od dawna. To zdanie pojawia się czasem. Te zna-

czy, że ktoś pomyślał, że już umarłem i cieszy się, że nie. Zatrzymuje się pan. Widzę, że siedzi mocno oparty, pólleży na fotelu. Pyta co mi jest?

- Jestem po zawale. Nie umiem znaleźć dodatkowej pracy.

Mówi, że właśnie jedzie na ważne badanie, że ma mało czasu i patrzy na mnie jak ci koledzy z oddziału kardiologicznego, którzy szukali w oczach innych ludzi potwierdzenia, że będą żyć. Podaje mi 100 zł.

- Ja już nie potrzebuje, mówi i samochód rusza.

Nie widziałem go więcej. Będę go zawsze pamiętał. Ludzie wożą ze sobą swoje radości, nadzieje, tragedie. Nie jestem tam po to, żeby im pomóc inaczej, jak ich dobrem.

Raz zdarzył się ksiądz, znany człowiek. Jechał chyba volkswagenem, otworzył okno i patrzy na mnie z wyrazem zdziwienia. Wzrok mówi.

- Człowieku co ty tu robisz. Miałem wrażenie, że przez tę sekundę czy dwie wymieniliśmy bez słów wiele zdań o życiu. Powiedziałem tylko: „tak czasem się w życiu układa, proszę księdza”.

- No, tak, odpowiedział. Zostawił mi dwa złote. Wiem, że też słyszał naszą niesłyszalną rozmowę. Przejeżdżał pewien arcybiskup. Z kierowcą. Skodą octawią. Rozmawiał przez telefon. Patrzył na mnie. Przyglądał się. Wzrok jego biegł gdzieś w dal.

Kilka razy otworzyła okno pani, młoda kobieta, piękna. Spokojna swoja urodą. Dawała mi monetę z uśmiechem, który niejeden chciałby od niej otrzymać. Ten uśmiech nic nie oznaczał osobistego. Nie był chwaleniem się „jestem piękna i bogata”. Może patrzy tak na swojego ojca. Zostawiała mi ciepło, może wiedziała o tym. Przez bezmiar ludzkiej życzliwości nie czuję się tam śmieciem. Choć za takiego ma mnie większość, zasłonięta szybami. Nieraz domykająca te szyby, by mocniej oddzielić się od świata nędzy, który uosabiam. Jakby można się było nim pobrudzić. Jakbym kiedykolwiek wykonał jakiś proszący gest, dotknął ich auta. Nigdy tego nie zrobiłem. Nie mogę być niegrzecznym, ani nie chcę. To jest tylko czekanie na dobrą wolę człowieka.

- Niech pan nie przeprasza – To często słyszę. A ja przepraszam, że ktoś w zimie otwiera okno i chłodzi sobie samochód, albo w lecie, wpuszcza do klimatyzowanego wnętrza, gorąco. Przepraszam, że ktoś przeze mnie szukał w portmonetce pieniążka. Nie przepraszam, że ktoś go stracił, dając mi. Tak nie myślę. Jak i nie myślę, że ja go zyskałem. Żebrak to nie alter ego, sumienie człowieka. Żebrak to biedny człowiek, który nie umie inaczej, któremu nie ma kto pomóc. I po chwili jest już w błędnym kole. Zbieram minimum, zawsze coś brakuje. Od dwóch lat chciałem kupić nowe buty, te do pracy jak nie pada. Zaczynam się tych wstydzić. Nie przebiegam się za żebraka. Chodzę jak co dzień. Jest mi smutno, bo jestem sam na świecie. Mam dwie córki, jednego wnuka i to jest moje życie.

M O J A

H I S T O R I A

Ż Y C I A

Krystyna K.

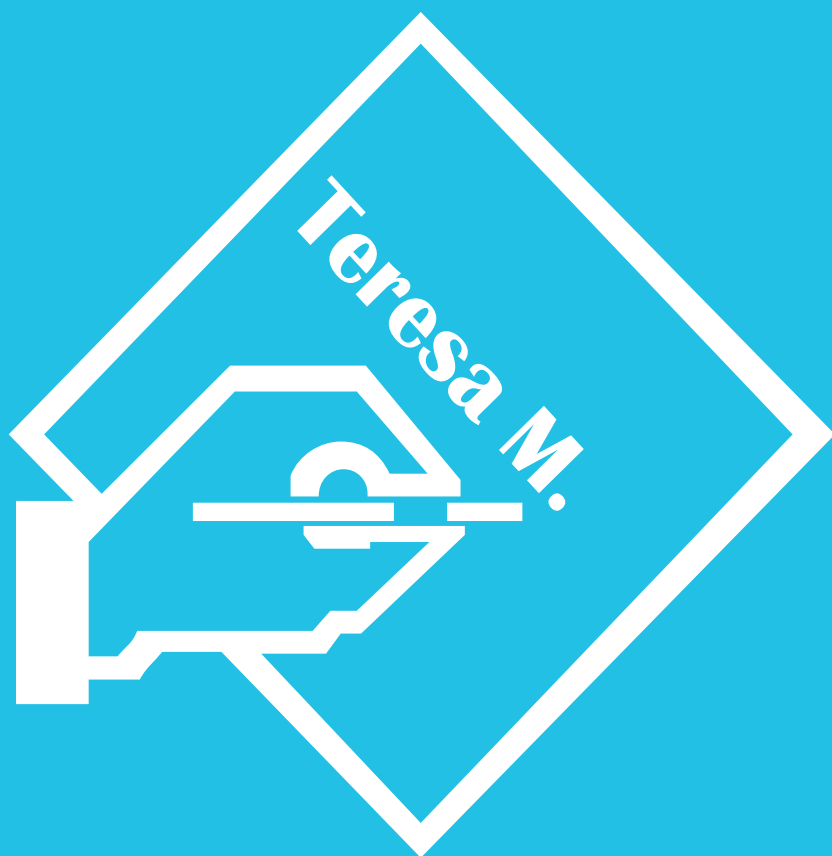
Rodzice zaraz po wojnie osiedlili się na Żuławach w Stegnie. Mieli dziewięciohektarowe gospodarstwo. Pole było podzielone na kawałki, to znaczy po parę hektarów, daleko od miejsca zamieszkania. Ja się urodziłam 5.09.1949 r. w Stegnie jako najmłodsza. Miałam jeszcze dwie siostry i jednego brata. Pola obrabialiśmy sami od najmłodszych lat, robiliśmy wszystko, były to bardzo ciężkie prace polowe. W 1956 r. poszłam do szkoły podstawowej w Stegnie Gd. Po lekcjach tata wywoził nas na pole, nie było nas stać na wynajmowanie ludzi do pracy, trzeba było obornik roztrzasać, siano suszyć i zwozić, snopki ze zbożem stawiać w sztygi, kartofle zbierać do późnej jesieni. Nie było ani wakacji, ani żadnych ferii, na zimę zbierało się szyszki i gałęzie. Później moja mama zaniewidziała i gospodarka podupadła. Siostra najstarsza po szkole zawodowej wyszła za mąż i się wyprowadziła. Zostało nas troje z rodzeństwem, później brat skończył szkołę, poszedł do wojska, a po 3 latach też się ożenił i też się wyprowadził. Zostaliśmy my dwie z siostrą, gospodarstwo coraz bardziej podupadało, mama coraz częściej zaczęła chorować, straciła wzrok zupełnie. Siostra zaczęła chorować, przeszła dwa razy zapalenie opon mózgowych. Byliśmy razem z rodzicami, po skończeniu szkoły podstawowej poszłam do technikum rachunkowości rolnej w Owidzu. Mieszkałam w małym pokoiku razem z siostrą i szwagrem, urodził im się syn, a ja poszłam do internatu. W szkole byłam pół roku i musiałam zrezygnować ze szkoły ponieważ nie było na opłatę za internat i znowu byłam razem z rodzicami i pomagałam rodzicom w gospodarstwie. Po ukończeniu 19 roku życia ojciec oddał ziemię za rentę, dla mojej matki ojciec poszedł do pracy do lasu, a ja wyjechałam i również podjęłam pracę i pracowałam w Starogardzie Gdańskim w Zakładach Spirytusowych na produkcji. Przepracowałam tam sześć lat mojej młodości. Mając 22 lata wyszłam za mąż. Z mężem wynajęłam mieszkanie w Tczewie, mały pokój nad parkiem. Mąż był kaleką, po amputacji nogi.

Rok później urodziłam córkę i wtedy zaczął się koszmar mojego życia, Mąż zaczął pić - pił tak, że wpadł w nałóg. W niczym nie pomagał, ani finansowo ani fizycznie. Sama musiałam zadbać o byt dziecka, woziłam rano dziecko do żłobka i sama biegałam do pracy. Prace znalazłam z Zakładach Mięśnych na produkcji. Z pracy po dziecko i do domu. W domu stres, czy mąż wróci trzeźwy czy pijany, czy będzie spokojny. Trwało to trzy lata w końcu poszedł na leczenie i tak to życie trwało.

Cztery lata później urodził się syn. Po urlopie macierzyńskim podjęłam nową pracę w Państwowej Spółdzielni Spożywców w Tczewie jako pomoc kuchenna. Syn miał 9 miesięcy jak poszłam do szpitala na operację kręgosłupa, unieruchomiona byłam na 10 miesięcy. W tym czasie córka była u mojej cioci, a małego 1,5 rocznego synka wzięła moja mama. Mój

mąż ponownie zaczął pić i prowadzić lekki tryb życia, nie obchodził go los dzieci ani mój. Po 10 miesiącach wyszłam ze szpitala, nie mogłam wrócić do mojego mieszkania, ponieważ nie dałabym sama rady wychowywać dzieci. Poszłam do rodziców i do syna, żeby mój syn się do mnie przyzwyczaił bo mnie zapomniał, bał się, ja płakałam i tuliłam go, żeby czuł, że jestem jego matką, trwało to jeszcze 2 miesiące. Po tym czasie wróciłam do domu do pokoiku w Tczewie, córkę zabrałam od cici. W domu zastałam koszmar, brud i towarzystwo, zanim zrobiłam porządek pijacki dużo zdrowia mnie to kosztowało, że zabrano mnie do na leczenie do zakładu psychiatrycznego i znowu na dwa miesiące odłączono mnie od dzieci. A mój mąż zaczął już pić denaturat. W końcu doszło do rozwodu, ale mieszkaliśmy razem, miałam sądową eksmisję, ale z powodu braku mieszkania nadal przeżywałam z dziećmi koszmar. W końcu dostał wylew alkoholowy i lewo stronny paraliż, wyszedł z tego po pół roku i jeszcze opiekować musiałam się nim. To trwało 8 lat, w tym czasie popijał dalej. Po tych 8 latach dostał ponowny wylew, przeszedł śmierć kliniczną, ale też się wylizał. Miał iść do domu opieki, ale ze szpitala przywieziono go do mnie do domu. Po 16 latach rozwodu wzięłam ponowny ślub bo i tak się nim opiekowałam, a był taki stan, że jak by umarł to bym nie miała za co go pochować. Moje sumienie nie pozwoliło mi zrobić inaczej. Córka skończyła szkołę zawodową, wyszła za mąż i się wyprowadziła. Zaczęła budować dom w Starogardzie Gdańskim. Dopomagałam jej w miarę moich możliwości w budowaniu domu. Tam urodziła trojkę dzieci. Ja pracowałam w tym czasie sezonowo przy zrywaniu jabłek, w Zakładach Rybnych. Mój syn jeszcze się uczył, mąż miał najniższą rentę, a ja miałam rentę najniższą, korzystałam także z pomocy opieki społecznej. Wtedy jak znalazłam się w szpitalu miałam operację przepukliny, znowu miałam prace ograniczone. Syn mając 19 lat ożenił się i też się wyprowadził z domu, ja zostałam sama z mężem. Kontakty z moimi siostrami i bratem były ograniczone ze względu na moją sytuację materialną. Byłam może zbytnio krytyczna w wychowywaniu dzieci przez moją córkę i nasze relacje nabrały dystansu. Dopadła mnie wtedy choroba nadciśnieniowa, straszna choroba wieńcowa, wrzody żołądka, bóle kręgosłupa i stawów. Ale nie było szans żeby się położyć, nie raz było brak pieniędzy na leki. Wtedy mąż zachorował na raka. Walczyliśmy 8 miesięcy z chorobą, opiekowałam się w mężem w domu, nie miałam już siły. Ostatni miesiąc był w hospicjum i tam zmarł. Zostałam sama z długami po jego śmierci. Byłam tak wykończona, że znowu znalazłam się Szpitalu Psychiatrycznym. Po dwóch miesiącach wyszłam i nie wiedziałam do czego się zabrać, nie mogłam się odnaleźć. Dwa lata po śmierci męża dostałam mieszkanie mniejsze, ale długi zrobiły się

jeszcze większe i komornik wszedł na moja rentę, więc przyszedli z pomocą z MOPS, to jest chyba dar od Pana Boga, że dali mi jakąś szansę do życia. Przebywam w Środowiskowym Domu Pomocy Społecznej. Ciężko mi bardzo, że tak to moje życie przeminęło, ale jestem szczęśliwa, że jestem z ludźmi. Często nie mogę się poruszać, ale muszę wstać umyć się i na siłę idę do ośrodka, bo to jest mój dom, tam moje „dzieci” czuję że jestem im potrzebna, może to złudzenie, ale tak czuję. Jest wspaniale takiego personelu jeszcze nigdzie nie spotkałam i takiej opieki. Teraz ja, jako półniewidoma ponieważ mam jaskrę, nie mogę na nogi ale nie wyobrażam sobie, żebym siedziała sama w domu. Z córką nie mam kontaktu, tylko z synem. Kocham go bardzo. Ale nie może mi pomóc ponieważ ma swoją rodzinę, ma trójkę dzieci. W tym ma dziecko niepełnosprawne. Wnuczka urodziła się z porażeniem mózgowym, też mnie to boli, że nie mogę im pomóc, ale mój syn nie chce nic ode mnie, żebym tylko mogła sama się utrzymać. Z synem mam regularny kontakt, bardzo często odwiedzam jego rodzinę, mieszka niedaleko. Bardzo potrzebuję ludzi, ciepłych relacji. SDŚ wpływa na mnie aktywizująco, pomaga mi realizować moje potrzeby.



„Mówiłam, to kara od Boga, ta twoja choroba i to wszystko” – te słowa wypowiedziane przez moją matkę, długo dźwięczały w mojej głowie. Ale od początku. Byłam normalną dziewczynką, która chodziła do szkoły. Za dobre wyniki w nauce otrzymywałam nagrody książkowe, rodzice byli ze mnie dumni. Potem szkoła średnia – najlepsza w Tczewie – Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie. Zdałam maturę – och jaka byłam szczęśliwa. Nadeszła pora na pracę. Obieram stanowisko inspektora do spraw działalności opiekuńczej w PCK. To była piękna chwila, stałam się dorosłą, miałam pracę i w dodatku z taką nazwą stanowiska. Ha ha... Starłam się być najlepszą, nie zawalić, być tak dobrą jak w szkole, żeby matka i ojciec byli ze mnie dumni. Uważam, że taka byłam. Odpowiedzialne stanowisko, papierkowa robota, ciągła praca w terenie dawała mi w kość. Ale nie okazywałam tego. Szef chwalił mnie za dobrze wykonywaną pracę, składane protokoły w terminie, przygotowywane wyczerpujące raporty, zawsze dyspozycyjna. Rano biuro, potem Gniew, Morzeszczyn, Pelplin itp. Coraz więcej obowiązków, nerwów, nieprzespanych nocy. Zaczęłam się gubić, bałam się, że czegoś zapomnę, że przegapię ważne terminy, sprawozdania. Tak mocno się wtedy denerwowałam i bałam, że coś przeoczę, nie dopilnuje. Ten ciągły natłok myśli. Jeszcze to, jeszcze tam, jeszcze co? Rodzina widziała co się ze mną dzieje. Ciągłe nieobecna, obojętna. Pamiętam, moja ciocia chodziła do psychiatry i któregoś dnia zaproponowała mi wizytę u jej lekarza. Pomyślałam: „Jestem ciągle zdenerwowana, napięta, mam dosyć wszystkiego, może jak pójdę to da mi jakieś tabletki na uspokojenie i będzie lepiej”. I tak po wizytach u pani doktor „od głowy” po 3 latach pracy wylądowałam na chorobowym. Wspominam znajomych, którzy namawiali mnie na relaks czy rozrywkę. Myślałam: „Mają racje, ciągle praca, praca, praca”. Postanowiłam, że od czasu do czasu będę spotykała się z koleżankami i kolegami. No i zaczęło się. Dyskoteki, dansingi, spotkania towarzyskie. Wracalam coraz później do domu. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że to już wtedy zaczynało się ze mną dzieć coś dziwnego. W tym czasie poznałam chłopaka – Janka B. To takie cudowne mieć kogoś, kto wszystko rozumnie, dba o ciebie i w ogóle. Kupowaliśmy już garnitur, planowaliśmy ślub. Och och ... Tak jak szybko się poznaliśmy tak szybko się rozeszliśmy. Znowu dyskoteki, znajomi. Poznałam przystojnego Romana B. Kochał mnie na zabój, bynajmniej tak twierdził. Zaczęliśmy się spotykać. Ja zaszłam w ciążę. Nie widzieliśmy się często, gdyż on był w wojsku. A kręcił się też koło mnie, w tym czasie inny chłopak – geodeta – Witek L. I gdy dowiedział się, że jestem w ciąży zaczął mnie namawiać na jej usunięcie. Naopowiadał mi, że nie mam co czekać na tego wojaka, że

na pewno tylko mnie wykorzystał, że zostanę sama. Nie raz tak myślę, że akurat w tym ostatnim to chyba miał rację. Płakałam w nocy – pamiętam do poduszki – i myślałam, co ze mną będzie. A do tego moja mama całą swoją osobą też podzielała ten pogląd. Miałam mętlik w głowie.

Z jednej strony facet – w końcu z głową na karku po studiach, a z drugiej mama, która przecież chciała dla córki jak najlepiej. Posłuchać, nie posłuchać, posłuchać, nie posłuchać... Myślałam o tym małym dzieciątku i nie mogłam się zdecydować. W końcu co kazali to robiłam. Umówili mnie na wizytę – oczywiście prywatnie, nielegalnie na usunięcie ciąży. Gdy tylko usiadłam na „samolocie” zaraz z niego uciekłam. Po prostu się bałam. Nigdy wcześniej nie byłam u ginekologa a teraz czeka mnie coś takiego – straszego. Pamiętam jak ten lekarz się zdenerwował i wyszedł. Kazał mi się zastanowić albo iść i rodzic sobie to dziecko. Mama na mnie krzyczała. Wspominała, że jak ojciec się dowie to dopiero będę miała. Gdybym wtedy powiedziała o tym tacie, na pewno by do tego nie doprowadził i kto wie jak teraz wyglądałoby moje życie. Po zabiegu zaczęłam inaczej się zachowywać. Miałam depresję, to znów wybuchy agresji. Nie dawali sobie w domu ze mną rady. I trafiłam do szpitala psychiatrycznego. Tyle razy sobie tłumaczyłam, zostaw to, idź dalej. Wmawiałam sobie, przecież to nic dla ciebie nie znaczy. Dlaczego tak długo tkwiło we mnie to wspomnienie. Czy przez to przeżycie stałam się, tym kim się stałam?

Ukończyłam 22 lata i teraz już to wiem, wtedy ono się dla mnie skończyło. On wrócił z wojska. Wykrzykiwał przez drzwi, że zabiłam jego dziecko. Wygrażał się. Do tego wszystkiego, przypominałam sobie z nauk przedmażeńskich, jak ksiądz opowiadał o jednej pani, która usunęła dziecko a potem bawiła się lalkami – chodziło o to, że to wywarło taki silny wpływ na niej, tak silny że zachorowała psychicznie. Ojijjj... co to był za czas. Potem znalazłam pracę w Predom Metrix w Tczewie. Wytrzymałam 4 miesiące i znowu trafiłam do szpitala. Ciągle źle się czułam. Myślałam – „Jestem ciągle przepracowana”. Nawet mi do głowy nie przyszło, że jestem chora na schizofrenie. Ciągle na wypisach ze szpitala diagnoza napisana była po łacinie. Wiec nie wiedziałam. Leczyłam się, bo byłam chora na coś, ale nie na chorobę psychiczną – myślałam. Schizofrenia prosta – te słowa zabrzmiały jak wyrok. Po powrocie, nie wiem jak, ale należała mi się już renta. W „Kocborowie” przebywałam już kilkakrotnie – pewnie to pomogło. Najgorsze, że ja wszystko pamiętam. Te wszystkie moje „złe” zachowania, te choroby. Ale przecież ja chciałam się bawić. Chciałam, żeby wszystko było normalnie. Jednak czułam się ciągle rozsypana. Siedzę teraz i wspominam, niedoszłych, tych z którymi niby tak wiele mnie łączyło, a tak naprawdę nic. Chciałam się bawić, ale renta, którą otrzymywałam to były marne gro-

sze. Matka zabierała większą część na moje utrzymanie i zostawały drobne. Zaczynało brakować na moje „baletowanie”. Sprzedawałam pierścionki, łańcuszki ogólnie biżuterie aby mieć na dalsze dyskoteki. Zaczęłam pożyczać pieniądze od kogo się dało. Ostry makijaż dodawał mi odwagi. Były kolejne znajomości. Trafił się Bogumił M. Pamiętam, dancing w Styłowej, i jego, który zaprosił mnie do hotelu kolejowego, gdzie mieszkał. Było cudownie. Parę miłych słów, kwiaty i zaangażowałam się. W listopadzie był ślub, co prawda nie kościelny tylko cywilny, ale był. Był, bo byłam w ciąży. A w kwietniu cieszyliśmy się macierzyństwem. Za rok córka Kasia miała siostrzyczkę Monikę. Martwiłam się, bo urodziła się z porażeniem mózgowym, na szczęście w późniejszym życiu w niczym nie przeszkadzał lekki niedowład stopy. Wszyscy myślą – szczęśliwi rodzice dwójki dzieci. Ale ja odbierałam to inaczej. Małe dziewczynki ciągle płakały, pranie pieluch w kółko wypełniało dzień na zmianę z gotowaniem obiadków dla maleństw, sprzątanie i usługiwanie mężowi dopełniało obowiązków dnia. Do tego Bogusław co raz częściej wracał późno albo nie wracał na noc, nie pomagał w obowiązkach domowych. Więcej, wymagał perfekcyjności we wszystkim ode mnie. Sam natomiast nie poczuwał się do niczego. Wiedziałam, że mnie zdradza ale zawsze kupował mi coś celem zadość uczynienia. Nowa garsonka, biżuteria, kosmetyki – a ja się cieszyłam. Naiwna. Miałam dosyć, sama się pakowałam, zostawiałam matce dzieci i jechałam do szpitala psychiatrycznego. Tam miałam spokój, nikt nie płakał w nocy, nie musiałam zmieniać pieluch, prac, gotować. Nie miałam żadnych wyrzutów sumienia. Chciałam tylko mieć spokój i nie denerwować się nieobecnością męża. A raczej jego niewiernością. Po 3 latach małżeństwa w wieku 27 lat zostałam rozwódką.

Najgorsze dni. Zostałam sama z dziećmi. Mała renta i śmiesznie niskie alimenty na dzieci, które mógł mi zapewnić były mąż, doprowadzały mnie ciągle do stanów chorobowych. Szpital, dom - dom, szpital. Gdyby nie mama i obecnie ś.p. mój ojciec, nie wiem jakby było. Nie miałam pieniędzy na jedzenie, ubrania, zabawki dla dzieci. Wniosłam o zwiększenie alimentów na dziewczynki, ale okazało się, że mój były mąż miał już dziecko przed naszymi pociechami i ma następną dwójkę, a potem następną dwójkę. Więc sąd nie mógł podnieść wysokości alimentów, albowiem był niewypłacalny. O matko, myślałam, nie dam rady. Nie mogę tak. Nie mam pieniędzy by żyć. A dzieci? znowu pożyczki, branie pod zastaw i oczywiście musiało mi starczyć na dansingi. Wiem też, że nie byłam za dobrą matką. Było mi smutno, strasznie źle. Byłam młoda chciałam się bawić a nie siedzieć w domu. Moi rodzice ciągle prawili mi morały, mówili jak powinnam się zachowywać. Męczyło mnie to. Zostawiałam córki z bab-

cią i szłam się bawić. Raz leki brałam, raz nie. Przecież jak szłam na dyskotekę, wiedziałam, że będzie alkohol to jak miałam brać psychotropy? Z czasem było coraz gorzej. Dzieci dorastały wymagały większych wydatków – zaczęła się szkoła. A ja dalej dom, szpital – szpital, dom. Dyskoteka – faceci, twierdziłam, że zabawa to nic groźnego. A dziećmi przecież zajmowali się moi rodzice. Chciałam zapomnieć o tym jak mam ciężko. Nie mogłam się pogodzić z tym, że jestem opuszczona, ja zawsze byłam przez kogoś kochana. Tylu chłopaków się mną interesowało, kupowali mi drinki, umawiali się ze mną. Koleżanki zazdrościły i pytały jak to robię, że zawsze mam adoratora. A teraz zostały tylko dzieci i ciężka praca przy minimalnym budżecie. Płakałam, zadawałam sobie pytanie – „Dlaczego ja?” Czy nie zasługuje na „normalne” życie? „Normalną” rodzinę?

Poznałam Jana R. gdy byłam na kolejnej hospitalizacji w „psychiatryku”. Miałam z kim pogadać, wyzalić się, on mnie rozumiał. Przez 9 lat przyjeżdżał do mnie. Często na sobotę i niedzielę. Dziewczynki były coraz większe i nie podobało się im, że mama przyprowadza sobie jakiegoś pana w dodatku urządzane są balangi. W domu było głośno, lał się alkohol, sypały się wyzwiska. To trwało parę lat, przypominam sobie, że nawet 9. Chodziłam po pomoc do MOPS, Caritas, korzystaliśmy z pomocy sąsiadów, ubrania kupowaliśmy w lumpeksach, dużo dostawaliśmy od innych. Naprawdę nie miałyśmy co do gara włożyć, po zapłaceniu opłat za mieszkanie zostawały grosze. Starsza córka od 5 klasy uczęszczała do szkoły specjalnej, bałam się, że druga też podzieli jej los. Jednak udało się. Młodsza ukończyła Szkołę Zawodową o profilu Krawieckim, a następnie Technikum Ekonomiczne. Ale wielka zasługa w tym moich rodziców, bo ja to tylko fajki, kawa i łóżko. I znowu szpital.

Nowe czasy nastąpiły od momentu, gdy zaczęłam uczęszczać na zajęcia w Środowiskowym Domu Samopomocy. Odżyłam. Miałam rok przerwy. Myślałam, że jest na tyle ok, że będę pomagać córce. Ale musiałam wrócić do ŚDS – bez pomocy nie dałabym rady. Zdaję sobie sprawę, że nie byłam najspokojniejszą uczestniczką. Krzykliwa, nieodpowiedzialna, nic nie chcąc robić pani nikomu się nie podobała. Lubiłam się śmiać i bawić się, więc brałam udział w każdej zabawie, potańcówce i każdej formie rozrywki. Ponadto mogłam odpocząć od tego hałasu w domu. Kasia krzyczała, Monika też nie wytrzymała, matka zawsze próbowała wszystkich ustawić, a ojciec powiedział swoje i wychodził. „Można było dostać do głowy”. W domu było coraz gorzej. Kasia powiedziała, że jest w ciąży. Zamieszkała ze swoim chłopakiem i małym dzieckiem w mieszkaniu na parterze w kamienicy, gdzie u góry na II piętrze zamieszkiwali także moi rodzice. Ja dostałam przydział do córki i zamieszkałam w małym pokoju.

Matka nie mogła wytrzymać naszych ciągłych kłótni, brakowało papierosów i kawy - to było najważniejsze. Wkrótce pojawiła się druga córeczka. Kasia tak jak ja, ze względu na niepełnosprawność, otrzymywała rentę, ojciec jej dzieci raz przyniósł pieniądze raz nie, do tego moja - rencinka. Więc ciągle nam brakowało i zaczęło się – pożyczanie. Na początku małe kwoty, potem pożyczki z provident, a dalej z banku. Jedne długi robiły drugie. Doszło do tego, że wszyscy mamy komornika na naszych dochodach. Zaś córka Monika szczęśliwie wyszła za mąż i mieszka w Anglii. Na pewno cieszy się, że odcięła się od nas. Pracuje tam, mąż też, mają synka 4,5 rocznego i są szczęśliwi. Nieraz myślę sobie „Przysłaliby trochę funtów, wyszlibyśmy z długów”. Muszę tu powiedzieć, że obie córki i wszystkie 3 wnuczki bardzo kocham. Przez ostatnie lata pojawia się pan Musiał. Na początku byłam zła. Teraz, gdy patrzę jaki ma dobry kontakt z dziećmi i wnukami. Myślę sobie „Może będzie jeszcze dobrze”.

Brakuje mi taty, od 8 lat go nie ma. Brakuje mi ojcowskiej ręki, on potrafił utrzymać wszystko w „ryzach”. Jest mi naprawdę ciężko. Ciągłe płaczę i krzyczę na przemian, wystarczy najmniejsze nieporozumienie i wpadam w szał. Jeśli kończą mi się papierosy, jestem w stanie wszystko obiecać i zrobić, aby tylko je dostać. Nigdy nie myślałam, że fajki i kawa staną się najważniejszymi rzeczami w moim życiu. Po potrąceniach przez nałożone przez komorników sum, zostaje niewiele. Jeść coś trzeba. Czy kiedyś uda się wyjść z tych długów. Żaden bank już nie chce nam pomóc. Powiedzieli, że nawet gdy spłacimy to nam już żadnego kredytu nie udzielą – po prostu jesteśmy niewiarygodni. A opłacić mieszkanie trzeba. Do 5-6 dnia miesiąca starcza mi renty a następną jest 29-30. Z powodu pieniędzy a raczej ich brakiem spowodowanych jest 90% kłótni. Dochodzi do rękoczynów (córki z ojcem jej dzieci) demolowania mieszkania. Wtedy zamykam się w pokoju i robię głośniejszy telewizor. Oczywiście jakoś się dogadują, ale nerwy nadszarpnięte zostają. Sama wiem, że trzeba się pakować i jechać do szpitala. W szpitalu psychiatrycznym byłam już 19 razy. Czy to aż, czy tylko tyle?

Stałam się 53 letnią pesymistką, smutną posępną panią – choć wiele się śmieję. Nie chce mi się nic robić. Najlepiej bym leżała i paliła papierosy, kawka i papierosy i byle się położyć. Lubię przebywać w ośrodku chociaż często nie mam humoru. Tęsknię. Tęsknię za czułością, miłością i boję się, że właśnie przez to uczucie moje życie się zatraciło. I czy to na pewno kara od Boga?



*Przemyslenia
Arka*

Arek

Mam na imię Arek, jestem alkoholikiem, nie pije obecnie 370 dni. Tak zaczął się mityng AA w dniu 27 lipca bieżącego roku w Centrum Pomocy dla bezdomnych w schronisku dla mężczyzn. Na mityngu tym obecni byli członkowie naszej grupy, pracownicy Centrum oraz goście z miasta. Była to moja pierwsza prawdziwa rocznica trzeźwości, która nie wynikała z samej tylko abstynencji lecz z konkretnej pracy nad sobą. Ponieważ wcześniej również miałem różne okresy abstynencji, dłuższe, krótsze, ale każdy z nich prędzej czy później kończył się kolejnym zapiciem.

Od pięciu lat mieszkam w schronisku dla bezdomnych mężczyzn, przyczyna tego, że tu trafiłem, poza brakiem pracy i stałego dochodu, w głównej mierze był alkohol. Przez okres mojego tutaj pobytu również kilka razy zdarzyło się u mnie porządne zapicie z długim ciągiem alkoholowym od tygodnia do kilku miesięcy. Moje picie spowodowało to, iż wylądowałem poza schroniskiem przez 5 miesięcy żyłem tylko na ulicy, gdzie oczywiście piłem dużo i różnych trunków łącznie z denaturatem, który rozwalił mi trzustkę i wylądowałem w szpitalu, a następnie w kolejnym szpitalu. Była to klinika leczenia uzależnienia, popularna odwykówka, gdzie przeszedłem cały cykl terapeutyczny. Po tym leczeniu wróciłem do schroniska. Zacząłem pracować oraz uczęszczać na kurs zorganizowany przez tutejszą dyrekcję w ramach programu unijnego Nasza Szansa. Był to kurs dla spawaczy, malarzy, kucharzy. Ja wybrałem kucharza i go ukończyłem. Nie piłem już wtedy prawie dwa lata. Niestety po ukończeniu tego kursu znów mnie poniosło i nastąpił prawie miesięczny ciąg alkoholowy. Na szczęście jakoś w porę się ocknąłem i zacząłem znowu o siebie walczyć. Po całodziennym odtruciu w szpitalu trafiłem do BOPR-y, gdzie zacząłem trzy razy w tygodniu swoją terapię. W tym czasie w schronisku pełniła również dyżury terapeutka, z którą przegadałem wiele godzin. W okolicach nowego roku zaczęły się pierwsze rozmowy na temat powstania w schronisku grupy AA. Trwały dość długo i grupa ta, z początku trzy osobowa, z pomocą wyżej wymienionej terapeutki zaczęła działać pod koniec kwietnia tego roku.

Grupa spotyka się dwa razy w tygodniu, we wtorek na mityngu AA, a w czwartek jest to grupa wsparcia, którą mam zaszczyt prowadzić do dzisiaj. Potrzeba było pokonać wiele trudności, a przede wszystkim nieufność czy to przedsięwzięcie się powiedzie. Zrobiliśmy to swoją ciężką codzienną pracą nad trzeźwieniem. Spotykamy się regularnie do dnia dzisiejszego. Również na innych mityngach w mieście.

Jak do tej pory przez grupę przewinęło się około pięćdziesięciu osób. Ktoś może powiedzieć, że nie jest to dużo i czas działania nie jest zbyt długi, ale

jak na środowisko, w którym działamy jest to wiele. Ciekawe dyskusje na różne tematy nie tylko związane z alkoholem, ale samym życiem, ciekawi goście na grupie. Obchodzimy różne uroczystości: urodziny, imieniny, rocznice - jak choćby wspomniany na początku mój miting rocznicowy. Całe lato spotykaliśmy się u kolegi na działce na grillu. Gry w tenisa, spotkania z ciekawą fotografią, wiele ciekawych zajęć – to wszystko pomaga nam utrzymać trzeźwość i nie pić alkoholu, co jest dla nas teraz najważniejszą sprawą w życiu. Pomagamy sobie wzajemnie trwać w trzeźwości i pomagamy innym, lub chociaż pokażemy drogę do życia ciekawego, godnego, bez alkoholu. Będzie opłatek, będzie sylwester, będzie jeszcze wiele ciekawych spotkań z pożytkiem dla nas wszystkich. Najważniejszą sprawą jest ruszyć się, robić coś, działać, wyrwać się z marazmu apatii i niemożności. Wielu z nas boryka się z brakiem pracy, brakiem jakiegokolwiek dochodu, część otrzymuje zasiłki socjalne w kwocie 440 złotych. Są osoby, które pracują.

Jeżeli chodzi o mnie, Arka – trzeźwiejącego alkoholika, bo głównie chce pisać na swój temat, to od października ponownie pracuję, oczywiście nie piję, jestem trzeźwy, dbam i walczę o swoją trzeźwość, ponieważ bardzo boje się już teraz alkoholu. Mam dość pogardliwych, lekceważących spojrzeń innych ludzi, leżenia w krzakach po nocach, ciągłego kaca, bycia brudnym i zaniedbanym. Dzisiaj, jak już wspomniałem, pracuję, uczęszczam na spotkania, przygotowuję i prowadzę grupę wsparcia, bardzo dużo czytam (za chwilę uruchomimy bibliotekę z książek, które pozbialiśmy wśród znajomych). Lubię swoje obecne zajęcia, lubię to co robię, lubię być trzeźwy, czysty, ogolony i pachnący, myśleć logicznie i pomagać innym w osiągnięciu tego samego. Dla kogoś kto nigdy nie przeżył, nie doświadczył życia na ulicy, noclegu na dworcowej ławce, te słowa mogą być niezrozumiałe, ale są one autentyczne. Ja to wszystko już przeżyłem, wiem co to znaczy nie jeść żadnego posiłku przez kilka dni i już tego nie chcę. Schronisko daje możliwość nie tylko noclegu, posiłku ciepłego, ciepłej wody, także pewne poczucie bezpieczeństwa. Tutaj można dojść do siebie, pozbierać się, zacząć myśleć co dalej uczynić ze swoim życiem, jak rozwiązać nabrzmiałe problemy i pozatławić nierozwiązane sprawy. Pomagają w tym również pracownicy socjalni. W dzisiejszych realiach w naszym kraju, przy obecnym systemie ekonomicznym wielu ludzi pewnie stojących na nogach wcale o tym nie myśli, ale naprawdę, aby zostać osobą bezdomną nie potrzeba wielkich kataklizmów. Wystarczy na przykład rozwód, rozpad rodziny, utrata pracy, utrata zdrowia (jest u nas kilka osób starszych i chorych, którzy nie mogą doczekać się DPS-u) jakaś spirala kredytowa, której bez pracy nie da się spłacić i nieszczęście gotowe. Do

tego wszystkiego oczywiście w dużej mierze, chociaż nie zawsze, dochodzi problem alkoholowy. Dla większości społeczeństwa bezdomny to leżący w parku lub na dworcu na ławce, często pijany i brudny. A nie jest to prawdą, bo często to człowiek trzeźwy, schludny, ciężko pracujący, który nie stracił swej godności, swoich wartości, a stracił tylko dom. Chociaż kto z nas wie co innego człowieka doprowadziło na dworcowa ławkę, kiedy wszyscy od niego uciekają, zamiast podejść, porozmawiać, zaproponować pomoc. Głównym problemem często na długiej drodze ku wyjściu z bezdomności są sprawy tak zwane urzędowe. Brak dokumentów, brak ubezpieczenia, to musi być w pierwszej kolejności załatwione. Z pracą jest ciężko wszystkim Polakom, a brak meldunku w dowodzie często, chociaż nie zawsze, nie ułatwia jej znalezienia, bo ja znalazłem i nie ukrywam tego gdzie przebywam. Może miałem szczęście spotkać na swej drodze rozsądnych ludzi i nie czuje się z powodu zamieszkania w schronisku dla bezdomnych szykanowany czy groszy. Jak wspominałem, i potwierdza się to również w działalności naszej grupy AA „Szansa”, miałem szczęście spotkać odpowiednich ludzi. Obecnie udaje się załatwić wiele spraw, bo jeżeli podejdziesz się uczciwie i nerwowo to rzadko kto nie chce włączyć się do pomocy. To jest bariera ludzka psychiczna, którą z trudem nieraz, ale udaje się pokonać. Jest również bariera urzędnicza, z którą o wiele trudniej jest się zmierzyć. Podam na swoim przykładzie, ponieważ pracuje na umowę o pracę, oczywiście zarabiam najniższą krajową pensję, ale już nie spełniam w tym momencie żadnych kryteriów opieki społecznej do lokalu socjalnego, bo mam za duży dochód. Natomiast na lokal komunalny z zasobów miasta trzeba czekać kilka lat, a jako osoba samotna wielkich szans na szybkie posuwanie się w tej kolejce nie mam. Również jako osoba pracująca, z resztą jak każdy mieszkaniec schroniska, płaci za pobyt 55 procent dochodu, a przy najniższej średniej krajowej ile mi zostaje nie trudno sobie policzyć.

Tak więc o wynajęciu w miarę porządnego mieszkania przy dzisiaj obowiązujących cenach nawet nie ma co marzyć, a iść na tak zwane byle co to bez sensu, bo na melinie bez gazu i prądu czy w altanie na działce to już byłem i więcej nie chcę, bo schronisko daje warunki może nie komfortowe, ale naprawdę w miarę godne. I tym sposobem kółko się zamyka.

Tak sobie myślę – jest wiele jest różnych instytucji powołanych do walki z biedą, bezrobociem, uzależnieniami, każda z nich ma jakieś swoje programy i każda bardzo skąpy ma ten budżet, a wszystko opiera się na braku funduszy. Moim zdaniem, aby skutecznie pomóc ludziom w trudnej sytuacji, to przede wszystkim najpierw trzeba ich edukować. Nauczyć ludzi asertywności, pozytywnego myślenia, nie bania się urzędów. Ja na-

uczyłem się myśleć pozytywnie i naprawdę to daje efekty i przynosi dobre rezultaty. Drugim ważnym elementem jest praca, jakkolwiek ona by była skromna, ale musi być, bo poza pewnym zabezpieczeniem materialnym, daje ona człowiekowi poczucie wartości i spełnienia. Potrzeba też mądrej edukacji i terapii w dziedzinie uzależnień, takiej, która trafi nie tylko do głowy, ale i do serca i tam pozostanie w człowieku uzależnionym, ale też w jego rodzinie. Bo wsparcie i pomoc rodziny jest ogromnie ważne i budujące. No i ostatnia sprawa to mieszkania. Nie muszę tu charakteryzować jak wygląda ta sprawa u nas dzisiaj. Bardzo brakuje małych, tanich, może przejściowych mieszkań edukacyjnych, gdzie ludzie przygotowywaliby się do podjęcia ponownie wszelkich funkcji społecznych, aby z biedy i wykluczenia przejść może nie do bogactwa, ale w miarę normalnego życia. Dlatego myślę sobie, iż powinna jedna instytucja, jeden program, ale z porządnym budżetem, która mogłaby wszystkie te działania koordynować, aby nie miały by one być w wielu miejscach dublowane, bo często te działania mijają się między sobą i nie przynoszą pożądaných skutków. Myślę również, że pracownicy tych instytucji, na przykład Pomocy Społecznej winni mieć większe rozeznanie w środowiskach, bo często bieda siedzi w domu i że wstydu czy fałszywej ambicji po prostu się nie ujawnia, a pomoc trafia do osób nieraz już nie potrzebujących, ale potrafiących się przebić czy głośno krzyczeć. Bo nauczyli się postawy roszczeniowej, a tutaj chodzi o to, aby nie dawać ryby, tylko dać wędkę do jej złowienia.

Jestem przekonany, że tych kilka moich przemyśleń i refleksji przyda się Państwu w realizacji waszego projektu, że nie będą one zbyt lakoniczne, a może ktoś zechce z nich wyciągnąć jakieś wnioski. Moja sytuacja i to też według różnych interpretacji jest dość dziwna. Jestem alkoholikiem (w dniu kiedy to pisze mam 445 dni trzeźwości) nie pijącym, leczę się, nie jestem bezrobotnym bo pracuję, mam dach nad głową bo przebywam w schronisku, a na pewno są ludzie, którzy mają gorzej ode mnie, więc jestem z jednej strony wykluczonym członkiem społeczeństwa, a z drugiej jednak nie i tu paradoks do końca nie wiadomy.

Gdyby zechcieli Państwo wykorzystać moją skromną pracę, proszę zatytułować ją „Przemyślenia Arka”. Pozdrawiam, uważam, że cel jest bardzo dobry i na pewno potrzebny dzisiaj jak mało kiedy.



Andrzej



Ja, Zyga, od dziecka sprawiałem problemy wychowawcze zarówno w domu jak i w szkole, do tej pory moja mama wspomina jak stółką rzuciłem w nauczycielkę, a to tylko jedno z tych niemiłych wspomnień. Zdarzało się, iż uciekałem z domu, spałem po piwnicach, nie chciałem jeść i kradłem – tak wiem, nie byłem łatwym dzieckiem.

Duży wpływ na moje zachowanie miała i wciąż ma choroba psychiczna – charakteropatia – przy której nie zawsze panowałem, panuję nad swoimi emocjami. Ukończyłem szkołę podstawową, po stwierdzonej chorobie uzyskałem III grupę inwalidzką i w wieku 18 lat zacząłem pracować. W żadnej pracy długo nie zagrałem miejsca, a wykonywałem zawody m.in. konwojenta, pomocnika murarza, manewrowego na kolei, byłem także pomocą w kuchni i pracownikiem na odlewni.

Żadnych spraw nie udawało mi się wykonać do końca, do czegoś się zobowiązywałem, a potem nie dotrzymywałem tych obietnic. Z braku mojej odpowiedzialności popadłem w długi, które zaczął ściągać komornik. Moi rodzice, by nie mieć problemu z zajęciem swojego wieloletniego dorobku wymeldowali mnie z mieszkania, w którym do tej pory z nimi żyłem – ok. 10 lat byłem obywatelem bez meldunku.

Nie widząc sensu siedzenia w jednym miejscu zacząłem jeździć po całej Polsce nie mając pieniędzy ani jedzenia. Podróżowałem pociągami, o bilet nie musiałem się martwić, bo nie byłem nigdzie zameldowany i konduktorzy mandatu nie mogli mi wlepić, z jednego pociągu niektórzy mnie wysadzali a ja wsiadałem do drugiego i w taki sposób docierałem do wyznaczonego celu. Gdy byłem głodny pytałem się „kolegów” z dworca, gdzie w danym mieście mógłbym zanoć, a oni mi powiedzieli, że są takie domy gdzie można przenocować, ale w tych domach nie można pić alkoholu - ja lubiłem sobie popić i nie bardzo chętnie do tego domu szedłem. W życiu bywa tak, że czasami sytuacja zmusza do tego czego się nie chce.

Pewnego dnia pojechałem do Wrocławia, bo kiedyś tam pracowałem w fabryce wagonu na stanowisku manewrowego, dlatego też znałem dobrze to miasto – chciałem powspominać. Na dworcu spytałem się gdzie mieści się na jakiej ulicy Dom Brata Alberta, dojechałem do tego domu, powiedziałem, że zgubiłem dowód i nie mam gdzie mieszkać, gdyż zostałem wymeldowany ze stałego pobytu. Spytałem się kierownika tego domu czy mogę być przyjęty, on po sprawdzeniu mojej prawdziwości powiedział, że tak a następnie zajął się tym, by wyrobiono mi nowy dowód osobisty. Wówczas w Tczewie miałem zasiłek stały z MOPS, ale ich o tym nie poinformowałem. Zostałem we Wrocławiu około 14 dni, wtedy pojechałem znowu do Tczewa, by odebrać zasiłek i dowód osobisty, czterna-

sty z kolei. W biurze Dowodów Osobistych, powiedzieli że ja chyba tymi dowodami handluję. Ja mam po prostu tendencje do gubienia różnych rzeczy, choć przyznam, że zdarzało się, iż przy pracownikach społecznych rwałem dowód, domagając się świadczeń pomocy społecznej – byłem w MOPS znany jako awanturnik.

Choć w domu byłem wymeldowany rodzice zawsze przyjmowali mnie do siebie, ale gdy tylko odzywała się moja wilcza natura i nie mogłem usiedzieć w domu znów jechałem w Polskę. Jedną z następnych moich stacji docelowych, którą sobie wybrałem była Częstochowa tam również dowiedziałem się gdzie mieści się, dom Św. Brata Alberta – bywałem również w oddziałach w Smętowie, Poznaniu, Olsztynie i Gdańsku.

Dom ten prowadzili zakonnicy, po przepytaniu mnie zaakceptowali mnie i przyjęli. W pierwszy dzień kazali mi się wykąpać, dostałem nowe rzeczy i przydzielono mi pokój z takimi ludźmi jak ja. Pobyt tam był bezpłatny, ośrodek utrzymywał się z datków. Tak jak wspominałem, w tamtych czasach lubiłem sobie popić, ale w tym miejscu był całkowity zakaz spożywania alkoholu.

Byłem uzależniony od alkoholu i po miesiącu czasu opuściłem ten dom. Przebywając w Częstochowie mogłem być na Jasnej Górze, gdzie mieści się cudowny obraz Matki Boskiej. Chodziłem tam prawie codziennie i modliłem się do Matki Boskiej o przywróceniu zdrowia i żebym jak najmniej spożywał alkoholu. Słyszałem o tym obrazie, że kto przychodził do Matki Boskiej Częstochowskiej zostawał cudownie uzdrowiony. W cuda nie wierzę, ale po moich przemyśleniach stwierdziłem, że również dla mnie zdarzył się cud. Wróciłem do swojego miasta Tczewa, tutaj został założony na osiedlu Czyżykowo Środowiskowy Dom Samopomocy do którego zostałem przyjęty i od tego czasu zatrzymałem się na stałe.

Był to słoneczny, lipcowy dzień. Zachęcony przez pracownika socjalnego przyszedłem po raz pierwszy do ośrodka, gdzie odbywały się wówczas wczasy letnie, usiadłem do stolika koło okna. Na przeciwko mnie siedziały dwie dziewczyny, spojrzałem raz na jedną, raz na drugą, ale ta pierwsza zauroczyła mnie swoimi pięknymi, niebieskimi oczyma – miała na imię Zyta. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać i tak rozpoczęła się nasza znajomość. Gdy skończyły się wczasy uczęszczaliśmy do ŚDS codziennie, te częste spotkania spowodowały, iż zaczęliśmy myśleć o wspólnym przyszłym życiu.

Pewnego dnia poszliśmy na spacer do parku z całą grupą, w trakcie przechadzki poprosiliśmy panią kierownik tego ośrodka na rozmowę i zapytaliśmy się czy by mogła być świadkiem na naszym weselu. Pani kierownik bardzo się zdziwiła i spytała czy to tak naprawdę. Odpowiedzieliśmy razem, że tak. Potem poszliśmy do Urzędu Stanu Cywilnego ustalić datę

ślubu, który odbył się 27 września 1997 r. o godz. 12:20. Jak już była ustalona data wysłaliśmy zaproszenie do pani dyrektor MOPS-u i mieliśmy zaszczyt gościć ją na naszym weselu. Pani kierownik naszego ośrodka wraz z moim bratem byli świadkami na naszym ślubie. Po dwóch latach zawarliśmy również ślub kościelny - udzielił go nasz kochany ksiądz prałat, bo jak to się mówi „bez Boga ani do proga”. Świadcami wówczas na naszym uroczystości kościelnej była moja szwagierka i mój kochany szwagier, który od pół roku już nie żyje. Zmarł jak miał 38 lat, bardzo mi go brakuje - chłop nas wspomagał w potrzebie.

Żyjemy już razem 13 lat w zgodnej harmonii, a jak to w rodzinie bywa - nie ma domku bez ułomku. Bez mej kochającej żony nie byłbym tym człowiekiem jakim jestem. Jak się ożeniłem to się ustatkowałem, teraz to już bez mojej żony nie byłoby dla mnie życia. Jeździmy razem na wycieczki i turnusy rehabilitacyjne.

Nigdy nie spodziewałem się, że w Środowiskowym Domu Samopomocy spotkam swoją drugą połowę, trudno mi uwierzyć, że 4 lata temu obchodziliśmy już 10 rocznicę naszego pożycia małżeńskiego – czas tak szybko płynie.

Moje obecne życie to jest cud, o który głęboko modliłem się do Matki Boskiej Częstochowskiej, ona mnie usłyszała. Od 14 lat mam kochającą żonę Zytę - żyjemy razem i szczęśliwie.

Można powiedzieć, że to ja na własne życzenie wykluczyłem sam siebie ze społeczeństwa, choć pewnie moja choroba również miała na to wpływ.

Przy pomocy ludzi z MOPS oraz dzięki miłości wróciłem do życia społecznego, teraz wraz z żoną uczestniczę w terapii zajęciowej w Środowiskowym Domu Samopomocy w Tczewie, jestem również członkiem Banku Czasu, gdzie swoje umiejętności mogę przekazywać innym.

Często wędrując po Polsce, nie mając pieniędzy, korzystałem z różnego rodzaju darmowych jadłodajni, gdzie otrzymywałem ciepły posiłek. Zdarzało się, iż uczestniczyłem w wigiliach organizowanych dla osób ubogich, bezdomnych. Obecnie gdy się ożeniłem, wraz z Zytą, moją żoną co roku wydajemy na wigilię miejskiej posilki osobom m.in. takim jakim ja byłem kiedyś. Zawsze wtedy wspominam stare czasy, kiedy ja przychodziłem prosić o jedzenie i wówczas pojawiają mi się łzy w oczach. Jestem dumny, że teraz mogę dać część siebie innym i oddaję to co kiedyś dostałem. Odnalazłem swoje miejsce w życiu przy żonie i w ośrodku, gdzie rozwijam swoje zainteresowania, czując się teraz pełnowartościowym obywatelem.



Weronika

Życie w ukryciu...

Rok 2010 został ogłoszony Europejskim Rokiem Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym. Widzę to zaszczytne hasło, niestety bez pokrycia. Bo wiele można mówić na ten temat, cóż, jeśli nie wprowadza się tego w czyn i rzeczywistość.

Polska ma poważniejsze problemy, choćby katastrofa w Smoleńsku, czy powódzie.

A gdzie w tym wszystkim znajduje swoje miejsce wykluczony społecznie? Kim jest wykluczony społecznie? Kiedy zadaję sobie to pytanie, to przychodzą mi różne odpowiedzi do głowy. Wykluczony społecznie – to osoba bezdomna, osoba nadużywająca alkoholu, więzień, czy społeczność Romska. Jednak najsilniejszym obrazem przedstawiającym osobę wykluczoną społecznie, to człowiek z potarganymi włosami, nieświeżym ubraniu, z butelką alkoholu w ręku - takie jest pierwsze skojarzenie, kiedy mówi się o wykluczonym społecznie.

Ja nie jestem taka. Mam całe szczęście w co się ubrać, mam gdzie mieszkać, mam co zjeść. Nikt, kto by zobaczył mnie na ulicy, nie powiedziałby mi, że jestem inna. Mieszam się w tłum i wyglądam zewnątrz jak pozostali. I całe szczęście, że tylko Bóg widzi mnie i zna moje serce. Stworzył mnie, ponieważ dał mi zadania do wykonania na tej ziemi. Skoro tu jestem to znaczy, że jestem potrzebna Bogu i innym ludziom. I wszystko co jest we mnie, moje zdolności, ułomności a także moja choroba, jest uwzględniona w jego planie na moje życie.

Wykluczenie społeczne jest bardzo negatywnym zjawiskiem, na które głośno mówię „NIE” Dlaczego ktoś pozbawia mnie praw do istnienia? Do prawa takiego życia jak mają inni ludzie - zdrowi ludzie?

Moja niepełnosprawność jest szczególnie naznaczona stygmatyzacją i odrzuceniem - wykluczeniem społecznym, ponieważ to dwa znaczące słowa: „CHOROBA PSYCHICZNA”

Dla wielu osób, które nie znają tej choroby, od razu przychodzi obraz osoby biegającej z siekierą w ręku, niebezpieczną wobec siebie i otoczenia, na dodatek pełną agresji i szaleństwa. Stereotyp ten od wielu lat i w wielu państwach budzi kontrowersje. Skoro jest osoba chorująca psychicznie to należy jej unikać, bo nigdy nie wiadomo, co takiej przyjdzie do głowy. Najlepiej umieścić ją w kaftanie bezpieczeństwa, w pokoju bez klamek, i z zakratowanymi oknami. Nawet o zwierzętach nie myśli się tak, jak się postępuje z osobami chorującymi psychicznie. Tak większość ludzi myśli o tej grupie chorych - tak by myśleli także o mnie gdyby wiedzieli. Zadam Ci pytanie człowieku: skąd wiesz, co czuje osoba chorująca psychicznie? Jeśli nie wiesz, to ja Ci powiem.

Kiedy znalazłam się szpitalu czułam ogromny lęk. Zamknięte okna i drzwi

i leki, które odbierają kontrolę nad ciałem sprawiły, że czułam się jak ptak zamknięty w złotej klatce. Zabrano mi wolność cieszenia się z normalnego życia. Ale kiedy dotyka ta choroba człowieka, życie nigdy nie będzie wyglądało tak samo.

Mam dalszą rodzinę, która mieszka na wsi. Oni nie wiedzą dokładnie na co choruje. To jedna z tajemnic, którą muszę skrywać w swoim sercu. Aż strach pomyśleć, co by było gdyby wyszło to na światło dzienne. Jak to bywa na wioskach cała społeczność huczałaby od plotek i drwin. Dlatego czasem muszę się ukrywać z tym, co robię i z tym, kim jestem. W taki sposób straciłam wielu przyjaciół.

Po co komu jest potrzebny ktoś z taką chorobą. Przecież taka osoba jest niepotrzebna społeczeństwu, wymaga opieki i nic dobrego z siebie nie może dać innym.

Jakże bardzo ubolewam nad takim myśleniem.

Kiedy zachorowałam w 2000 roku na schizofrenię paranoidalną, pomimo pobytu w szpitalu udało mi się skończyć studia zaoczne na Wydziale Prawa – kierunek administracja.

Po pięciu latach nauki obroniłam magisterkę i stałam się magistrem administracji. W czasie choroby pracowałam przez 7 lat w pewnej firmie. Po drugim epizodzie choroby i po kolejnym pobycie w szpitalu przesłam na rentę.

Znalazłam się w Stowarzyszeniu „Otwarty Umysł”. Jako liderka i członek zarządu angażuje się w edukację społeczeństwa. To, co dało mi stowarzyszenie nie da się powiedzieć jednym słowem. Moja wdzięczność nie zna granic. To dzięki Stowarzyszeniu wyszłam z domu, zaczęłam jeździć na konferencje. Z osoby wielce nieśmiałej i załężnionej, stałam się osobą otwartą, która zna swoją wartość i wie, czego chce w życiu.

Moja droga do zdrowienia była dość długa. Stowarzyszenie, w którym się znalazłam spełniło moje największe marzenia. Kiedyś chciałam być taką osobą, jaką jestem dziś. Bez kompleksów, pewniejsza siebie i potrafiąca wynieść z chwil trudnych to, co cenne i wartościowe. W trakcie mojej choroby ujawnił się talent do pisania. Pisze wiersze o nadziei, miłości i Bogu, ponieważ świat bardzo tego potrzebuje. Co nie znaczy, że jestem zdrowa, choroba ciągle jest, odzywa się od czasu do czasu. Ale doświadczenie choroby psychicznej uwarżliwiło mnie na cierpienie innych ludzi. Kiedy widzę, że mogę pomóc to po prostu to robię. Słowo i gest to bardzo pozytywna broń w walce z samotnością i poczuciem ogromnej pustki, które towarzyszą osobie chorującej psychicznie.

Staram się pokazywać ludziom, że jestem WARTOŚCIOWĄ OSOBĄ I ŻE WIELE MOGĘ WNIEŚĆ do społeczeństwa.

Moje wystąpienia na konferencjach są rodzajem walki. Walki łamiącej

uprzedzenia i stereotypy. Dbam w ten sposób nie tylko o swoje miejsce w świecie, ale też jestem głosem tych chorujących, którzy nie potrafią głośno mówić o swoim cierpieniu.

Bo bez wątpienia stygmatyzacja, odrzucenie, wykluczenie społeczne jest ogromnym cierpieniem. Doznałam sama tego na własnej skórze, kiedy mój atak choroby ujawnił się we wspólnocie religijnej. To był moment, który wszystko zmienił.

Zanim jednak to się stało, bardzo angażowałam się w życie wspólnoty religijnej. Pisałam modlitwę wiernych, czytałam na mszach czytania z Pisma, przygotowywałam kandydatów do bierzmowania, składałam świadectwo życia na mszach. Kochałam Boga i byłam poświęcona takiej działalności. Po tym nieszczęśliwym epizodzie wszystko się zmieniło. Zaczęłam coraz częściej odczuwać samotność, będąc jednocześnie wśród ludzi, którzy mieli świadczyć o miłości Boga i bliźniego. Czy ktoś może zrozumieć ten ból?

Wielokrotnie widać było na mej twarzy łzy, ale nikt nie zapytał, dlaczego się pojawiały. Odeszłam z tej wspólnoty, bo nie mogłam znieść tej samotności.

Samotność i izolacja, jakie towarzyszą osobie chorującej psychicznie to ogromne cierpienie. Społeczeństwo spycha takie osoby na margines, czyniąc ich bezużytecznymi i niepotrzebnymi ludźmi. Co sprawia, że pozbawieni są godności, jaka przysługuje każdemu człowiekowi.

Gdy widzę tą sytuację ludzi chorujących psychicznie coś we mnie krzyczy na ten stan. Nie można tak traktować ludzi, którzy ze względu na ogromną wrażliwość tak cierpią. To przecież niesamowici ludzie, którzy czują więcej niż inni. To często artyści, pisarze, poligłoci, kucharze. Niepospolici ludzie z ciekawymi pasjami i poglądami na świat, którzy idą przez życie często z ogromnym bagażem doświadczeń.

Brak wiedzy na temat choroby jest znaczący, czego doświadczyłam wśród księży.

Miałam taki czas, że potrzebowałam z kimś porozmawiać na tematy dotyczące wiary i mojej duszy. Rozmawiali ze mną dopóty, nie dowiedzieli się, że jestem chora psychicznie. Kiedy ten fakt docierał do ich uszu, wtedy czas pomocy się kończył. Nagle nie było czasu na to, aby ze mną porozmawiać. To było bardzo przykre dla mnie, bo myślałam, że ci na pewno mnie nie odrzucą.

Czasem zastanawiam się nad tym, co będzie, gdy będę chciała założyć rodzinę i znaleźć osobę, która mnie pokocha. Czy dostanę ślub kościelny? Jak wiadomo choroba psychiczna jest przesłanką uniemożliwiającą zawarcie związku małżeńskiego. Nie rozumiem w czym jestem gorsza?

Dlaczego osoba zdrowa może otrzymać ślub kościelny, a ja nie. Wiem, że duże są kłopoty z zawarciem ślubu, jeśli jedna z osób choruje psychicznie, o czym informowali mnie znajomi ludzie.

Czy dlatego, że nie potrafię kochać innych, nie zasługuje do bycia kochaną przez kogoś? Któż o tym może decydować. Kto zna moje serce?

Ja rozumiem, że są różne przypadki osób chorujących psychicznie, ale dlaczego należy od razu uogólniać całą grupę? Przecież człowiek ze schizofrenią może mieć długie lata remisji, w czasie, których może funkcjonować jak zdrowy człowiek. Oczywiście jest to największy przejaw wykluczenia społeczno- zabranie prawa do kochania innych i do bycia kochanym przez drugą osobę.

Zadaję sobie pytanie: Czy znajdzie się ktoś, kto mnie pokocha?

Ktoś, kto przestanie patrzeć na mnie jak na wariatkę. Chciałabym, aby dostrzeżono we mnie duchowe piękno i niesamowitą wrażliwość. By ludzie zobaczyli we mnie romantyczną dziewczynę, która skupia się na tym, by ratować świat. Ale czy są takie osoby na tym świecie, które wierzą w to, co robią, kierując się moralnymi wartościami w tym świecie?

To, co robię, traktuję jako służbę wobec innych. Właśnie, gdy pisze, wspierając innych czuję się najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Wystarczy mi tak niewiele do szczęścia, dając cząstkę siebie innym czuję się potrzebna i spełniona. Pomimo jednak wszystkiego, czuję się często bardzo osamotniona. Bo są dni, kiedy to ja potrzebuję wsparcia, a przy mnie nie ma nikogo.

Dużą winę w wykluczeniu społecznym osób chorujących psychicznie pełni media.

Znacznie łatwiej jest przekazywać informacje, które budzą sensacje wśród społeczeństwa np. Jak człowiek psychicznie chory latał z siekierą po mieście.

Nie mówi się o osiągnięciach osób chorujących psychicznie, o tym, że mogą być dobrymi pracownikami, jak to ma miejsce w Krakowie- przykładem czego jest Pensjonat „ U Pana Cogito” albo Radom i „Gospoda Jaskółeczka” Czy też jakie zdolności w sobie mają, a mianowicie: kulinarne, językowe, artystyczne.

Człowiek chorujący psychicznie NIE POWINIEN CZUĆ SIĘ WINNY ZA TO, ŻE ZACHOROWAŁ. Ale czuje się tak, ponieważ społeczeństwo udowadnia mu, że jest jednym wielkim złem i koniecznością. A co jest wielką nieprawdą.

Ja jako osoba z tą niepełnosprawnością spotykam się z wykluczeniem w innych sferach. Popatrzmy choćby na orzeczenia o stopniu o niepełnosprawności, gdzie umieszczana jest literka P - symbol niepełnosprawności. Dla potencjalnego pracodawcy jest to znaczący sygnał, który wyrażnie wręcz ostrzega, aby takiej osoby nie zatrudniać.

P – jak psychiczny czyli nieobliczalny, agresywny, któremu nie można powierzyć żadnej pracy. Będąc w Powiatowym Urzędzie Pracy- urzędniczka powiedziała mi otwarcie, że raczej pracodawcy nie chcą zatrudniać osoby z tą niepełnosprawnością. Lepiej będzie dla mnie założenie własnej działalności gospodarczej, lecz nikt nie bierze pod uwagę, że nie każdy ma do tego takie zdolności. Obserwując pojawiające się oferty pracy, dostrzegam tendencje do tego, że pracodawcy chcą mieć takiego pracownika, który pracowałby jak osoba zdrowa, byle by tylko miała papier o niepełnosprawności. Trzeba się zdecydować albo się przyjmuje osobą zdrową bez ulg, albo osobę chorującą, która nie będzie w pełni wydajna jak osoba zdrowa. Jedno wyklucza drugie, ale dla pracodawców najlepiej by było połączenie tych dwóch punktów.

Zresztą gdyby pracodawca miał wybór wśród niepełnosprawnych, wybrałby osobę na wózku inwalidzkim, niż osobę chorującą psychicznie.

Staram się walczyć o prawa dla siebie i moich koleżanek i kolegów. Jeżdżę na szkolenia i konferencje. Próbuje przełamywać stereotypy przez edukację. Potrafię się zaprezentować i użyć odpowiednich argumentów, aby pokazać moje stanowisko w sprawie.

Lecz czasem muszę się ukrywać ze swoją niepełnosprawnością, ponieważ wiem, że ludzie będą mieć do mnie uprzedzenia. Zanim zacznę mówić o chorobie w swoim środowisku, najpierw chcę pokazać swoje wnętrze i to kim jestem. By ktoś nie patrzył na mnie wyłącznie przez pryzmat choroby, która może stać się etykietą na całe życie.

Mówiąc o wykluczeniu społecznym, odrzuceniu i stygmatyzacji, napiętnowaniu często dokonują tego sami lekarzy psychiatry.

Poświęcając czas wyłącznie na wypisywaniu recept. Nie wierzą w to, że z tej choroby można wyjść, dlatego nie dają nadziei na wyleczenie.

Pobyt w szpitalu psychiatrycznym jest czymś, co wywołuje dziwne uśmieszki u ludzi. Jest jeszcze gorszym złem niż pobyt w więzieniu.

Na niektóre stanowiska pracy, człowiek z taką przeszłością - mam tu na myśli chorobę psychiczną, nie ma szans. Nawet gdyby ten pobyt był jedynym epizodem.

Jeżdżę czasem po kraju na różne konferencje, poświęcone tematyce choroby psychicznej i psychiatrii środowiskowej. Podejście władz w innych miastach sprzyja rozwojowi pozytywnego wizerunku osoby chorującej psychicznie. Stowarzyszeniom, które zajmują się rehabilitacją osób po kryzysach psychicznych po prostu się pomaga.

W moim mieście nie ma na to szans.

Czego przykładem są odrzucane wielokrotnie próby o obniżenie czynszu za wynajem lokalu przez Stowarzyszenie. Zniżki takie są stosowane

w Sandomierzu czy Radomiu. W moim mieście, wystawiono czynsz miesięczny w wysokości 1400 zł + media = 1800 zł co dla mojego Stowarzyszenia jest bardzo dużym obciążeniem. To też jest jakiś rodzaj wykluczenia społecznego mojego Stowarzyszenia. Skoro w innych miastach takie inicjatywy pomocy osobom niepełnosprawnym po kryzysach psychicznych istnieją, to dlaczego nie może być tego i w moim mieście?

W moim mieście nie ma także mieszkań chronionych, przeznaczonych dla osób z chorobą psychiczną, podczas w innych miastach na takie cele pieniądze się znalazły.

Moje województwo to dawna Polska C - Galicja i pomimo, że upłynęło tyle lat ciągle odstawiamy z tyłu za innymi miastami i województwami.

To, co robi moje stowarzyszenie to ogromna sprawa. Nie tylko dla mnie, ale i dla innych chorujących psychicznie. Rehabilitacja, jaką podjęło się moje stowarzyszenie jest nieocenionym skarbem. Tu były organizowane kursy języka angielskiego i niemieckiego, kursy komputerowe, kółko teatralne, spotkania integracyjne, wycieczki, Andrzejki, spotkania opłatkowe. Ze spektaklem „Kot w butach” odwiedziliśmy chore dzieci w szpitalu. Moje stowarzyszenie pisało projekty (na oparcie dla osób chorujących psychicznie) do Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej z różnymi efektami. Jednak ostatnio obserwujemy smutną tendencję do tego, aby środki ministerialne dostawały instytucje finansowane z budżetu państwa.

Rozwiązaniem, które byłoby jakimś kompromisem dla zainteresowanych to podział środków dla wszystkich po trochu. A nie przyznawanie bardzo dużych kwot pojedynczym instytucjom. Nie można rozpatrywać instytucji, które zajmują się rehabilitacją osób po kryzysach psychicznych na lepsze i gorsze. Wobec wspólnego celu, a jakim jest rehabilitacja osób po kryzysach psychicznych wszyscy powinni być traktowani równo. Ponieważ wszyscy robią coś dobrego i pożytecznego. I wszystkich dotyka bieda i wykluczenie.

Nasz projekt do FIO pomimo tego, że przeszedł pozytywnie ocenę formalną i merytoryczną, nie otrzymaliśmy wsparcia finansowego. Czy to nie przejaw wykluczenia społecznego? Dlaczego tylko silne i mocne instytucje dostają pieniądze, małe stowarzyszenia, które robią tak wiele są dyskryminowane? Wykluczając wszystkie te małe stowarzyszenia, a przede wszystkim moje Stowarzyszenie, sama czuję się wykluczona. Zaczynać trzeba od małych spraw, aby dojść do sukcesów.

Bo gdy nie będzie środków na funkcjonowanie stowarzyszenia, wtedy nie będzie można mówić o zdrowieniu i walce z wykluczeniem społecznym tych, którym się powinno dawać szansę i pomagać. Nikt i nic nie pomogło mi jak to Stowarzyszenie. Dziś nie byłabym tą osobą, którą jestem dziś.

Większość chorób ma tak zwany „swoją dzień” w roku. Taki dzień mają także schizofrenicy przypada on we wrześniu. W wielu miastach z tego tytułu organizowane są imprezy kulturalne pod hasłem „ Schizofrenia Otwórcie Drzwi”. W moim mieście od dwóch lat nikt się tym nie zajmuje. W poprzednich latach Moje Stowarzyszenie organizowało ten dzień dla podopiecznych. Niestety od tego czasu brak pieniędzy przesądził całą sprawę. Ten jeden dzień powinien należeć do osób dotkniętych schizofrenią. Po to jest ten dzień, aby głośno mówić o problemach osób dotkniętych tą chorobą. To rodzaj wyjścia do ludzi i społeczeństwa.

Szansa na to, by ludzie chorujący na schizofrenię i ludzie zdrowi mogli się integrować i wzajemnie poznawać. Brak organizatorów tej kampanii w moim mieście to potwierdzenie, że problemy osób chorujących na schizofrenię nikogo nie obchodzą. To nic innego jak przejaw stygmatyzacji i wykluczenia społecznego. Wykluczenie społeczne jest zjawiskiem, którego trudno jest się pozbyć. Ja, jako osoba chorująca psychicznie, wiem co to znaczy. I mimo tego, że znalazłam swoje miejsce w świecie, a którym jest to Stowarzyszenie, nadal nie ustane w poszukiwaniach.

Chciałbym bym w pełni czuć się potrzebna innym ludziom. Chce być kochana i kochać innych. Chcę się rozwijać i pragnę odważnie spojrzeć w przyszłość.

Przyszłość, która będzie mi miała wiele do zaoferowania. I pomimo, że czasem muszę ukrywać ze swoją niepełnosprawnością, wierzę, że kiedyś nadejdzie dzień, dzień pełen nadziei dla mnie i dla wszystkich chorujących psychicznie.

By człowiek z taką niepełnosprawnością MIAŁ DLA KOGO ŻYĆ. By czuł się spełniony i potrzebny w społeczeństwie. Ponieważ pomijając psychozę, największym cierpieniem dla człowieka chorującego jest samotność...



Olimpia

Z mojego dzieciństwa pamiętam, że czułam się otoczona kokonem. Często chorowałam, byłam słaba, nieporadna. Wszyscy mnie wyręczali, jakby bali się, że coś zrobię źle. Chronili mnie przed światem. Zawsze przebywałam w ściśle wytyczonym otoczeniu. W szkole podstawowej nauczyciele byli już poinformowani, że pewne rzeczy przychodzą mi trudniej niż innym, że jestem powolna i bardziej na mnie uważali. A ja tak bardzo chciałam wyrwać się z tego świata, z kokona - który jak baldachim otaczał mnie z każdej strony. Ja też żyłam i czułam. Zakochiwałam się w chłopakach, kolegach średniego brata, często płakałam w poduszkę gdy oni mnie nie zauważali. Były to takie moje miłości bez wzajemności.

Czułam się osamotniona mimo, że wokół było pełno ludzi, ale Oni nie pozwolili mi na oddech, na popełnienie błędu. Nigdzie nie mogłam chodzić tak jak moi rówieśnicy czy kuzynostwo - chyba się mnie wstydzili. Przez takie traktowanie czułam, że jestem inna od nich wszystkich, częściej chorowałam, słabiej się uczyłam. Nawet jak przysłałam na ten świat to lekarz powiedział „...ta kruszynka długo nie pożyje...” co za ironia losu - Ja jeszcze żyje.

W szkole podstawowej moja choroba się nasiliła, chodziłam do niej niechętnie. Tu zaczęły się moje problemy. Zaprzyjaźniłam się z jedną z koleżanek. Długo to nie trwało ponieważ rozdzielono nas, przeniesiono mnie do innej klasy, gdyż słabiej się uczyłam. Zaczęłam wagarować, popadłam w problemy z których nie umiałam wyjść. Stałam się lekomanką. Miałam do nich dostęp więc się nimi napychałam - źle się działo. Chodziłam otumaniona, byłam zrezygnowana, zrozpaczona, bezsilna. Gdy byłam na dnie rozpaczy zapragnęłam śmierci, już nie widziałam w moim życiu szansy by coś się poprawiło. Zrobiłam ten krok! Przygotowywałam się do tego, ale miałam nadzieje, że ktoś mnie zauważy i cofnie przed tą decyzją. Pamiętam ten dzień jakby to było dzisiaj. Wzięłam fiolkę leków, które sobie wcześniej przygotowałam. Łyknęłam 30 tabletek - nie pamiętam już dokładnie, ale jakoś dotarłam do budynku w którym odbywały się praktyki szkolne. Nie wiem kiedy straciłam przytomność. Odzyskałam ją dopiero w szpitalu. Wiedziałam, że się nie udało, leżałam i myślałam co dalej będzie? Jak potoczy się moje życie? Przyszedł lekarz sprawdził kroplówkę i oczywiście zaczął wypytywać: dlaczego to zrobiłam? co się stało? Ale ja nie znałam na te pytania odpowiedzi. Gdy poczułam się lepiej to odwiedziła mnie mama z wujkiem. Nie rozumieli dlaczego tak postąpiłam. Zabrali mnie ze szpitala do domu a po świętach wróciłam do szkoły - na praktykę. Wszyscy starali mi pomóc i zastanawiali się nad zmianą szkoły. Ja chciałam zostać w tej co jestem - postanowiłam wziąć się za siebie.

Pojawiła się pani Ania - psycholog, ona mi pomogła przejść przez trudne

sytuacje. Walczyła o mnie jak lew, zawsze miałam wsparcie w niej. Nigdy nie zapomnę tego co przeżyłam. Od dłuższego czasu nie nadużywam leków, kosztowało mnie to dużo pracy, ale było warto. Staralam się nadgonić ten stracony czas. Trochę po szkole pracowałam w zakładach pracy chronionej, szkoda że jest już coraz mniej takich zakładów. Często wspominam te czasy.

Zacząłam pisać wiersze, interesował mnie świat poezji, książek. Jak sięgam pamięcią to w mojej rodzinie zawsze był alkohol, tata pił i przez to często tracił pracę. Zmienialiśmy miejsce zamieszkania. Zaczęła się bieda. Straciliśmy mieszkanie, które zadłużyliśmy i eksmitowano nas. Tułaliśmy się po rodzinie. Te miesiące na walizkach, bez swojego kąta to było coś strasznego. Nie życzę nikomu być wyrzuconym z własnego mieszkania - co za wstyd. W końcu wynajęliśmy trzy pokoje u właściciela, który nadużywa alkoholu, nie cierpię tego człowieka.

Rodzice nie pracują, mama zaczęła chorować. Korzystamy z pomocy instytucji. Ojciec czasami pomaga rodzinie w gospodarstwie, od której otrzyma coś na obiad. Nie mamy ciepłej wody. Zimą jest ciężko, bo brakuje opału.

Zacząłam uczęszczać do ŚDS, w którym poznałam dużo wspaniałych ludzi i tu realizuje swoje marzenia. Pobyt w ośrodku bardzo zmienił moje życie. Zacząłam być wartościowym człowiekiem. W otoczeniu ludzi czułam się zawsze skrępowana, załęczniona. Wyrwałam się z tych kompleksów dzięki udziałom w konkursach, przedstawieniach, recytacjach wierszy. Terapeuci bardzo mnie wspierali poprzez ćwiczenia wyrażnej mowy, pamięci, ładnego czytania. Moje osobiste zwycięstwa są pracą wielu ludzi, każdy coś mi dał z siebie, a ja to wszystko przyjmowałam i zaczęło owocować wyróżnieniami, nagrodami. Wzięłam udział w Ogólnopolskim Konkursie Literackim pt. „Wiosna u poetów” w 2007r. Recytowałam wiersz mojego autorstwa pt. „Drzewo” zdobyłam III miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim w turnieju „wywiedzione ze słowa”, gdzie konkurowałam z młodzieżą szkół średnich. W 2008 roku zaprezentowałam się w konkursie collage wierszy swojego autorstwa, w którym był również wspomniany wiersz „Drzewo”, w eliminacjach powiatowych zdobyłam I miejsce. Jako laureatka tych eliminacji pojechałam do Sopotu by wystąpić na scenie Teatru na Plaży w etapie wojewódzkim, zdobyłam I miejsce z możliwością wyjazdu na Centralne Spotkania Laureatów – wywiedzione ze słowa Ostrołęce na celu reprezentowania województwa pomorskiego – było to dla mnie duże doświadczenie, mogłam spotkać się tam z osobami, które zdobyły najwyższe laury w poszczególnych województwach. W etapie ogólnopolskim nie zdobyłam żadnego miejsca, ale przeżyca

jakie mi towarzyszyły odcisnęły mój ślad na moim dalszym życiu. Stałam się osobą, która bardziej wierzy w swoje możliwości oraz zyskałam poczucie, że jestem pełnowartościowym członkiem społeczeństwa, który ma swoje marzenia i nie boję się ich realizować, przełamując tym samym bariery, które do tej pory mnie ograniczały. Wraz z grupą z ŚDS-u zdobyliśmy Nagrodę Ministerstwa Edukacji Narodowej na Międzynarodowym Przeglądzie Teatrów Wspaniałych oraz Grand Prix Festiwalu POZAPOZY za spektakl pt. „Drzwi do wyobraźni”, w kolejnych latach III miejsce na Festiwalu POZAPOZY za spektakl „Miłość nie zazdrości”, w którym recytowałam „Ode do miłości”.

Nie jestem idealna często popełniam błędy, myślę o tym przez co przechodziłam. Niestety chwile jak kartki z kalendarza ulatują z życia – więc trzeba umieć żyć.



Bogusław

Nazywam się Bogusław. Urodziłem się w K. w okolicach Kielc. Dzieciństwa właściwie nie miałem. Na gospodarstwie było zawsze dużo pracy. Po szkole podstawowej nauki już nigdzie nie kontynuowałem. Nawet może bym chciał, ale trzeba było pójść do pracy. Nauczyciel geografii załatwił mi zatrudnienie w Spółdzielni Inwalidów „Współpraca”, bo od urodzenia jestem osobą niepełnosprawną i mam III grupę inwalidzką. Robiłem tam początkowo choinki z tworzyw sztucznych, ale to było zbyt trudne i przeniesiono mnie na produkcję cewek. Tak minęło dziewięć lat. Potem byłem „placowym” w MZK i pracowałem w Miejskiej Zieleni jako ogrodnik. Zakochałem się i ożeniłem. Mój ojciec był surowym i upartym człowiekiem. Moja mama mówiła często - „Jaki ojciec, taki syn”, bo ja też jestem uparty. Urodził mi się syn, ale moje małżeństwo się rozpadło. Nie wiem co robi żona i nie mam kontaktu z synem. Chciałbym się z nim zobaczyć. To jedno z moich marzeń.

Do Warszawy przyjechałem szukać lepszego życia. Najpierw w Warce pracowałem u pewnych gospodarzy, ale to była tylko praca sezonowa i szybko znalazłem się na Dworcu Centralnym. Przez pięć lat mieszkałem w schroniskach dla bezdomnych. Teraz mieszkam w pensjonacie socjalnym. Chciałbym się stamtąd wyprowadzić, wynająć gdzieś pokój, ale na razie nie stać mnie na to. Każdego dnia szukam pracy, jestem aktywny i nie tracę nadziei, że kiedyś będę miał własny pokój tylko dla mnie. To jest moje drugie marzenie.

Zawsze ciągnęło mnie do handlu. Lubię sprzedawać, dlatego spodobało mi się sprzedawanie gazet ulicznych. Przez wiele miesięcy sprzedawałem WSPAK na Dworcu Centralnym .

Kiedyś w swoich rodzinnych stronach handlowałem gazetami, więc tutaj, w Warszawie, szybko się za to zabrałem. Byłem jednym z najdłużej sprzedających kolporterów i, że tak powiem, jednym z najskuteczniejszych. Lubię działać, nie lubię siedzieć w miejscu.

Od piętnastu lat współpracuję z organizacją ATD jako wolontariusz. Tam wszyscy bardzo mnie motywują do działania. Kiedy sprzedawałem WSPAK czasami czułem się zmęczony, czasami gazety nie idą tak, jak bym chciał, ale mimo to nie odpuszczałem. Musiałem coś robić.

Marzeń mam wiele, ale nie chcę ich wszystkich zdradzać. W ogóle uważam, że nie o wszystkim warto mówić.

Na pewno chciałbym się spotkać z synem, który ma już swoje dzieci. Jestem więc dziadkiem i wnuki też bym chętnie poznał. W swoje rodzinne strony jeżdżę rzadko, bo nie zawsze mam pieniądze na bilet.

Z drugiej strony wiem, że tam na stałe raczej nie wrócę. Na razie mam co zrobić w Warszawie.

BR
BR

BR

Ubóstwo, jakże szeroki temat, na który można by było pisać bez końca.

Jestem młodą osobą mam dopiero, albo już 23 lata i Szmak drogi o lepszy byt, który był wręcz nieustanna walką. Uważam, że w naszym kraju nie pomaga się potrzebującym. Dlaczego?

W naszych realiach „pomaga” się ludziom, gdzie są poważne problemy alkoholowe, narkotykowe, a w rodzinach, które starają się coś zmienić daje się ochłapy, jak resztki dla świń. Dlatego, że oni mają problem. Uważam, że powinni im pomóc się leczyć, a później pomagać, ale niestety, tak było, jest i będzie.

Ja wywodzę się z wielodzietnej rodziny, gdzie było 5-cioro dzieci, jeden nosił po drugim rzeczy. Mogę się cieszyć, że los obdarzył nas dobrymi ludźmi, którzy nam pomagali, że była przyszywana babcia, dobra sąsiadka, ciocia. Od tych ludzi (ja) dostawałam jakąś paczuszkę na święta, ze słodkościami, zabawki po wnuczce, mogłam iść na ciasteczko. Lubiłam chodzić do sklepu, bo Pani zawsze dała mi za drogę cukierka, którego dumnie nosłam zadowolona do domu. Ale doceniam dziś bardzo, każdą małą drobną rzecz.

Nie wiem ile zajmie mi napisanie tego... Podchodzę do tematu dalej w dzień kolejny... Pomalutku, stopniowo, by móc powiedzieć, „co w sercu gra”.

Dlaczego?

Uczono, że jak dają to bierz... Jednak świat pokazał, że życie na niższym poziomie pieniężnym jest nieprzyjemne i nie warto o tym mówić.

Tu zostawię cząstkę siebie, może z ogólników uda mi się wejść głębiej w temat?

Przez siedem lat mojego życia mieszkaliśmy na wieżowcach i pomimo tego, że oboje rodzice pracowali, myśmy nie prowadzili takiego życia jak sąsiedzi. Miałam tam tylko jedną koleżankę, jednego kolegę, bo nie miałam takich fajnych zabawek, takich jak oni, więc nie chcieli się ze mną bawić. Zawsze kiedy świeciło słońce mama mnie wyganiała na dwór, a kiedy padał deszcz nie zdążyła się obrócić, a mnie już nie było. Kiedy padał deszcz byłam ja, kałuże, kalosze i mój wesoły świat... Nie było dzieci, które się śmiały, że nie mam tego, czy tamtego, nie było tych dzieci, które mówiły „z biedakami się nie bawię”. Trudno się pisać o tym, ponieważ bardzo mocno żyją te wspomnienia, kiedy się do nich powraca...

Wolałam świat dorosłych, był o niebo lepszy, tam byli Ci, z którymi można było pogadać, czasem się pobawić, no i nikt się nie wyśmiewał, nie wyzywał.

Mieszkając tam, wiedzieliśmy gdzie wystawiają przed śmietnik dobre zabawki, przynosiliśmy je do domu, była z nich uciecha. Wtedy była radość,

że mamy nowe zabawki w domu... Przyniosłam też swoją Barbie, prawdziwą gumową lalkę Barbie, więc czasami dzieci się ze mną pobawiły, bo miałam tą swoją prawdziwą, nie plastikową lalkę. Dziś kiedy tak sobie pomyślę o tym jest mi smutno, smutno, że od małego uczył Cię świat, że jest niesprawiedliwy. Rodziny się nie wybiera...

Z przedszkola nie pamiętam za wiele, ale jedno w tym pewne, dzieci się ze mną nie chciały bawić, bawiły tylko wtedy kiedy Pani kazała, takie realia...

Tu była „ciocia” zawsze coś na święta dała, to na ciastko zawołała, w sumie moja ciocia, bo reszta rodzeństwa już tak do niej nie chodziła, tylko ja u niej bywałam.

Przeprowadzka do innej dzielnicy, gdzie był tańszy czynsz, gdzie można było żyć inaczej... Tu kolejne 8 czy 9 lat mieszkałam, tu był ten czas gdzie dorastałam, tu były koleżanki, koledzy, nie było już tego przepychu pieniędzy, żyliśmy tak samo jak inni... Jednak, tu zaczyna świat się zmieniać, trzeba było stawić czoła nowym wyzwaniom, kolejnym wstydcom, które się rodzą z jakiegoś poczucia winy, tu mój świat zetknął się mocno ze światem dorosłych...

Mama nie pracowała, tata coraz więcej pił... Były awantury, kłótnie, izby wytrzeźwień i coraz większy brak pieniędzy... Ciągi picia, omamy, zwidy, nieprzespane noce i ciągły wstyd, że wszyscy patrzą i ten strach co dalej? Pomagałam mamie ile się dało... Ucieczki rodzeństwa z domu i wypadek siostry. Wywołało to jeszcze większe kłótnie i rozwód...

Siostra w sanatoriach, druga opuściła dom, brat już sam potrafił zadbać, tylko my w dwóję zostaliśmy z rodzeństwa pod opieką matki.

Po rozwodzie, przez jakieś cztery, pięć lat mieszkaliśmy pod jednym dachem... w jednym pokoju ja, mama i brat, w drugim ojciec, a w tym najmniejszym najstarszy brat... Jedna rodzina, trzy różne światy... Mama poszła pracować na czarno, bo żaden lekarz nie wyraził zgody ze względu na kręgosłup, z czasem doszła grupę...

Ojciec miał swoją lodówkę, my swoją, nie jedliśmy z jego.

Był taki dzień, kiedy zabrakło mamie pieniędzy, nie było na chleb... Byliśmy dwa dni bez chleba, a od ojca nam nie było wolno ruszać... Jeden dzień, drugiego poprosiłam koleżankę, by zrobiła mi kromkę. Niby były to tylko dwa dni, ale zapadły mocno w pamięci, bo kto by chciał prosić koleżankę o kromkę chleba? To był okres wakacji, albo weekend, teraz nie kojarzę, bo tak zawsze były obiady w szkole, które jadłam, że tak powiem za Państwowe pieniądze, dzięki takim pieniądzom byłam na zielonych lekcjach, jako jedyna z rodzeństwa i widziałam morze, obraz do dzisiaj zachodu słońca mam przed oczami. W tym roku jadę po raz drugi w życiu nad Bałtyk, z czego bardzo się cieszę, bo właściwie dzięki projektowi

unijnemu, w którym uczestniczyłam, mogę pojechać za darmo i spędzić miłe, fajne dwa tygodnie.

Ja w tym całym swoim życiu cieszyłam się i cieszę, że otaczają mnie fajni ludzie, na których można liczyć, właśnie dzięki nim mogłam być tu czy tam, bo niestety ale mamy stać nie było.

Kiedy cała szkoła szła do kina, raz, czy tam dwa razy poszłam z nimi, bo Pani odstąpiła swój bilet... Dwa razy pojechałam na trzydniową wycieczkę, za które zapłaciła nauczycielka ze swojej kieszeni. Cieszyłam się z tego, jednak czułam zawsze taki wstyd, że ktoś inny mi płaci, dlatego do dnia dziś nie lubię, kiedy ktoś za mnie coś płaci, nawet jeżeli jest to kawa. Nie mam pieniędzy, nie idę, mam, to sama sobie zapłacę.

W swoim życiu byłam raz na koloni, dwa razy na obozie, w tym jednym, prawdziwym harcerskim obozie. Za ten obóz, też ktoś zapłacił, nie wiem kto, bo miasto nie chciało pokryć nawet połowy, bo jakoś tak minimalnie przekraczał dochód.

Dlaczego tak o tym piszę? Bo jestem z tego dumna, że spotkałam tylu wspaniałych ludzi na swojej drodze, gdyby ich nie było, nie wiem, czy dostałabym w życiu szansę „wystawić” nos poza obręb miasta....

Kolejna przeprowadzka, kolejne pięć lat, ciężkich pięć lat. A zarazem czas odnalezienia siebie i własnego ja, wiary w swoje możliwości i lesze życie. Tu już jest czas kiedy człowiek wchodząc w świat dorosłych może sam o swoim życiu zadecydować.

Tu mieszkaliśmy z ojczymem, z którym mama wzięła ślub... Pierwszy rok ok, potem było już tylko gorzej i chyba największa bieda jaką mogłam przeżyć...

Ojczym okazał się kawałkiem ścierwa, które nie powinno mieć prawa bytu...

Kolejny alkoholik w domu. Po roku okazało się, że to całkiem innym człowiekiem...

Przestał pracować, pił, co chwilę jakaś fucha, coś tam i znowu biedaka oszukali nie dali pieniędzy... Jak ciężko było wytłumaczyć i uświadomić mamie, że to kłamstwa, że jest inaczej. Zbałamucił mamę, pozwolił poczuć się kimś... Później był moment, że znowu zaczął pracować na umowę, wtedy był pierwszy abonament, potem drugi, trzeci... Nic, że znowu nie pracował, ale abonamenty były opłacane... potem kolejne... Sprzedaż telefonu, było za co pić i tak uzbierało się ich 7, albo osiem nie wiem już sama...

A wiecie za co były opłacane, za nasze 400 zł alimentów, do tego mama jakieś grosze miała na czarno i jakieś tam 200 zł z MOPRu, co dawało jakoś tysiąc z groszami i myśmy w cztery osoby za to żyli... Dodatkowym źródłem utrzymania były śmietniki. Za to ojczyma nie trawiłam, to był dla

mnie ogromny wstyd. Zbierał puszki, złom, przynosił różne rzeczy.... Ale jak tu z takim wyjść na ulice?

A wiecie co jest w tym najbardziej komiczne? Że ludzie odbierali nas jako fajną rodzinę, a tu życie było poczuciem wstydy, żalu, wstrętu i rodziło ogromną nienawiść.

Nie wiem ile razy był na leczeniu zamkniętym... A mama ciągle w niego zapatrzona...

Bieda i alkoholizm mnie przerosły, przestałam chodzić do szkoły... W szkole wszyscy wiedzieli, nikt nie był odważny by zareagować. Szukałam wsparcia i pomocy, jedyne co z tego okresu mocno huczy w głowie; „Dziecko ile ty masz, lat musi przyjść mama”

I kolejny miesiąc zamkniętego leczenia... A ja chciałam też sobie pomóc. Poszłam do zawodówki, do „najgorszej” szkoły w mieście, tak o niej mówią, bo są w niej uczniowie z problemami, z rodzin dysfunkcyjnych, biednych.

A dla mnie to były najwspanialsze 2 lata. Wysłałam stamtąd jako wzorowa uczennica, ze świadectwem z paskiem. Mogłam korzystać ze stypendium, także było zawsze na coś nowego, na fajny ciuch, na książki na zeszyty i te poczucie równości. Było tam kilku pedagogów, jeden psycholog i całe wspaniałe grono nauczycieli, które nie boi się problemów i chce dać drugą szansę uczniom, którzy się gdzieś zatracili. Dzięki tej szkole mój świat pomimo szarości życia codziennego w końcu nabrał barw i uśmiechu. Mogłam pojechać na wymianę, byłam w Niemczech i we Francji. Nauczyć się współpracy z innymi, wystąpić przed publicznością, wyzbyć się kompleksów, pt. „jestem gorsza od innych” bo jestem biedna, bo nie mam tego i tamtego, bo mnie nie stać. Od małego odczuwałam strasznie różnicę bytu materialnego, dlatego ciężko było się wybić i uwierzyć w siebie... Że po mimo tego można mieć wiele znajomych, którym nie będzie przeszkadzało mój brak pieniędzy, którzy będą się cieszyć z tego, że jestem. Poczuc się kimś ważnym doceniony, poczuć, że życie ma sens, bo strasznie zapędziło mnie to w kozi róg, w którym widziałam tylko ukojenie w śmierci, ale brakowało odwagi... A tu podczas dwóch lat wszystko się zmieniło o 180°. Ktoś mnie słuchał, ktoś docenił i nikt nie stawał przede mną murem za to, że w domu piszczala bieda. Takich szkół życzyć więcej... Dlatego te dwa lata są dla mnie najważniejsze i tak bardzo cenne w dotychczasowym życiu.

Od 18 roku życia, co roku na wakacje wyjeżdżałam z dziećmi, zawsze za to grosz wpadł do kieszeni. A od 20 roku podjęłam się pracy na umowę zlecenie i pracuję systematycznie w ciągłości do dziś, los się po raz kolejny uśmiechnął i od września czeka na mnie praca na umowę i cały etat, z czego bardzo się cieszę.

Mama rozwiodła się z ojczymem półtora roku temu, podział majątku, gdzieś przepadł...

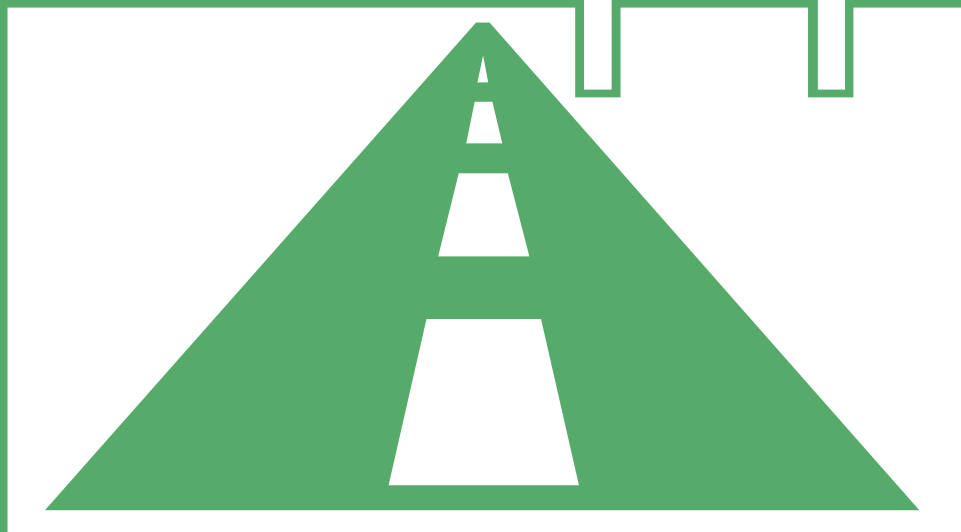
Ja od dwóch lat mieszkam z siostrą niepełnosprawną. Jako, że się dalej uczę mam alimenty, pieniądze które zarabiam, siostra ma rentę i pielęgnacyjne. Mieszkamy razem. Ona na weekendy jeździ do swojego chłopaka, ja mam weekend dla siebie, mam swojego kochanego psa i wiele radości z życia. Nie przelewa się, ale nie ma biedy, od czasu do czasu możemy gdzieś jechać, czy iść do kina i chociaż nie mam luksusów w domu, nie przeszkadza mi to, a jeżeli komuś tak, no to tylko i wyłącznie jest to jego problem i wcale nie musimy utrzymywać kontaktów.

Czerpie wiele radości z życia, żyję aktywnie i mam wielu wspaniąłych znajomych.

A kiedy spoglądam wstecz... Widzę czym jest bieda, czym jest alkoholizm, poczucie wstydu itd. Ale widzę tam też wielu wspaniąłych ludzi, którzy okazali serce, którzy pozwolili uwierzyć w siebie i w ludzi.

Czasami myślę, że Ci co ustalają nasze prawo powinni coś takiego przeżyć, może wtedy ich światopogląd na biedę, na problemy ludzi byłby inny i może w końcu ktoś by zechciał pomagać tym, którym ta pomoc jest potrzebna, a nie tylko tym, którzy udają, że coś ze swoim życiem robią, bo właśnie tym nasze miasto najbardziej pomaga. A jeżeli Ty coś w swoim życiu chciałbyś prosić, a nie masz problemu, pt. alkoholizm itp. Niestety nie dostaniesz, wsparcia. Skąd mam taki światopogląd? Bo mieszkam z niepełnosprawną siostrą i na naszym starcie szukałyśmy wsparcia, ale niestety trzeba sobie w życiu samemu radzić. Dlatego cieszę się z tego co mam i wiem, że to co mamy jest tylko i wyłącznie naszą zasługą. Może kiedyś nasz system w kraju się zmieni i zechcę podejść do pomocy inaczej. Dlatego między innymi to piszę.

**Krocząc drogą
w stronę nowego życia.**



Leszek

Mam na imię Leszek, urodziłem się w małej miejscowości w woj. Kujawsko – Pomorskim. Rodzice ze względu na pochodzenie i wykształcenie reprezentowali dwa odmienne środowiska, inteligentkie i robotnicze. Całe moje dzieciństwo i wiek dorastania są głęboko zakorzenione w rodzinnej miejscowości. Tam uczęszczałem do Szkoły Podstawowej, a potem nabierałem doświadczenia zawodowego jako Mistrz Elektromonter.

Pierwsze kroki dorosłego życia.

Nieodłącznym elementem wykonywanego zawodu były częste wyjazdy w delegacje. Będąc w podróży służbowej mieszałem w hotelach robotniczych. Panująca tam atmosfera sprzyjała spożywaniu alkoholu. Dla wielu hotel robotniczy był miejscem pierwszej inicjacji alkoholowej. Tam zapoznałem się z obowiązującymi zasadami pracy. Z czasem doskonale zaadaptowałem się do warunków tak zwanej dorosłości zawodowej i nieświadomie zdecydowałem się wykorzystać własne zdolności. Jak się wkrótce okazało także moje umiejętności gry na gitarze były okazją do częstych wyjazdów na koncerty jak i gry w nocnych lokalach. Nie było to poszukiwanie nowych wartości czy nowej formy zarobkowania, ale stwarzanie kolejnych sposobności do łatwego życia i picia. Taki tryb życia przyzwyczał mnie do traktowania wędrowki jako normalnej i naturalnej kolei rzeczy. Towarzyszyło mi w tym czasie poczucie braku przywiązania do ziemi i domu. Polegałem wyłącznie na sobie i własnych decyzjach, szybko stykając się z szerokim i nieznanym mi światem, zatracalem swoje korzenie oraz poczucie panowania nad własnym życiem.

Żyjąc bardzo intensywnie bez bliskich i przyjaciół zacząłem coraz częściej sięgać po alkohol, coraz częściej stawał się on moim sposobem na rozwiązywanie problemów oraz trudności codziennego życia. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy, że jest to utarta i przez wielu powielana droga do uzależnienia.

W międzyczasie założyłem rodzinę, mniemając iż wejście w odpowiedzialne i dorosłe życie uchroni mnie przed zgubną drogą. Po czasie okazało się jednak, że nie byłem przygotowany do założenia rodziny i bycia odpowiedzialnym mężem i ojcem. I stało się najgorsze - w sześć tygodni po narodzinach tak długo oczekiwanego syna wszedłem w konflikt z prawem i zostałem aresztowany, a następnie skazany na siedem lat pozbawienia wolności. Nie posiadając właściwej świadomości samego siebie i własnych możliwości wobec odrzucenia czułem się bezsilny. Towarzyszyły mi myśli, których przesłanie było jedno: ja wam pokażę i dam sobie radę. Takie podejście i zapalczywość spowodowały, że zostałem SAM.

Siedemnaście lat bezdomności i pragnienie normalnego życia.

Po opuszczeniu zakładu karnego opierając się na własnych decyzjach, pozostałem sam na ulicy i rozpocząłem żywot człowieka bezdomnego. W międzyczasie mieszkając na dworcach, melinach, ulicy, bez meldunku, bez pracy podjąłem się trudu poproszenia o pomoc. Okazało się, że nie jest to takie łatwe. Dla bezdusznej administracji działającej według zasad chorego systemu byłem tylko jednym ze statystycznych numerków i jedynie przedmiotem. Nic nie znaczył dla nich fakt, że jestem człowiekiem, który ma podstawowe prawo do godnego życia, poszanowania godności i pracy. Działania administracji i systemu opieki stały się murem, którego nie byłem w stanie przebić, a co dopiero zrozumieć. Każdy kontakt z instytucją stawał się ciężarem nie do zniesienia, gdzie ja stawałem się w ich oczach jednostką przegraną i zbyt ciężkim balastem.

Po odesłaniu z urzędu, bez wsparcia i pomocy wyruszyłem na ulicę. Zacząłem żyć na ulicy i z ulicy utrzymując się niejednokrotnie na krawędzi życia. W ponurej rzeczywistości iskierką światła stawało się otrzymanie małego grosza od przechodniów i ludzi wrażliwych na biedę ludzką. Z czasem życie na krawędzi prawa i żebractwo było metodą na przetrwanie. Dramat polegał na tym, że moje postępowanie jako człowieka uzależnionego od alkoholu, wydobywało moje najgorsze cechy z zakamarków mojej duszy na zewnątrz i zmniejszało kontrolę umysłu nad własnym działaniem. W mojej głowie pojawiały się myśli o opętaniu przez demony, pojawiały się omamy wzrokowe i słuchowe, ale ja ciągle byłem przekonany, że jedynym ratunkiem na takie dolegliwości jest kolejna dawka alkoholu, która potrafi zneutralizować lęk, pomaga wyjść z kryjówki, w której czyha obawa, samotność i stany depresyjne.

Żyjąc w ten sposób postanowiłem ponownie zwrócić się do władz obiecujących dobrobyt po wsparcie. Niestety okazali się skąpi i bardzo skostniali. Nadal, jak to było za pierwszym razem, nie mogłem uzyskać od państwa żadnej pomocy, co miało mnie nakłonić pewnie do akceptacji poniżającego życia. Jako człowiek ulicy, bez domu, meldunku oraz dokumentów nie mogłem nawet podjąć jakiegokolwiek pracy zarobkowej, byłem nikim we własnym kraju o którego wolność i niepodległość walczyli moi dziadkowie i ojciec. W konfrontacji z rzeczywistością biurokratyczną, wymaganiami przedsiębiorców, niewrażliwością urzędniczą byłem bezsilny i pokonany.

Nie rozumiałem co się tak naprawdę ze mną i wokół mnie działo, ale w chwilach trzeźwości czułem, że muszę coś z tym zrobić, przecież w pamięci mam obrazy z beztroskiego dzieciństwa i wspaniałych chwil mło-

dości, wiedziałem już, że taki stan rzeczy nie może trwać wiecznie. Gdzieś w głębi duszy, czułem się innym dobrym człowiekiem, który może i ma prawo żyć godnie, ale nie miałem pomysłu ani wsparcia jaką drogę obrać aby stać się tym kim naprawdę chciałem być. Czułem, że nie jestem wolny, że moim postępowaniem kieruje przymus picia, czyli jakaś siła, nad którą sam nie mogę zapanować. Mimo to podjąłem pierwszą, samodzielną próbę w walce z alkoholem, na zasadzie wiary w silną wolę. Szybko okazało się, że zaufanie do siebie względem walki z tym podstępny nałogiem jest nic nie warte i było tylko przyczyną kolejnego upadku. Teraz już wiem ile znaczy nawet najbardziej wytężona siła ludzkiej woli wobec podstępnej perfidii alkoholu i obłądu w jaki popadłem. Jednak nie rezygnowałem, szukałem nadal drogi, która poprowadziła by mnie w nowe godniejsze życie, w głębi duszy bojąc się nowego życia w trzeźwości.

Samozaparcie i pomoc wspólnoty początkiem nowej jakości życia.

Los chciał, a może to zbieg okoliczności sprawił, że na mojej wydawałoby się beznadziejnej drodze pełnej upokorzeń, frustracji, gniewu, cierpienia i nieszczęścia pojawiła się możliwość skorzystania z udziału w terapii w Ośrodku Leczenia Uzależnień w Charcicach. To właśnie tam dowiedziałem się całej prawdy o mechanizmach tego podstępnego nałogu. Opuszczając ośrodek wiedziałem jedno, że moja trzeźwość w dużej mierze zależy nie tyle od mojej woli, co od zmiany dotychczasowego środowiska, sposobu myślenia oraz przewartościowania dotychczasowego stylu i sposobu życia, oraz bezwzględnej uczciwości wobec siebie i innych osób. Jednocześnie czułem, że takich zmian nie da się dokonać samemu. Miałem to szczęście, że na moje drodze do trzeźwości trafiłem do Wspólnoty prowadzonej przez Fundację Pomocy Wzajemnej Barka. Spotkałem w niej ludzi, którym skutecznie udaje się kroczyć drogą trzeźwości i chętnie dzielą się swoim doświadczeniem, dając siłę oraz nadzieję tym, którzy znajdują się na początku drogi do trzeźwego życia. Idąc tą drogą człowiek krok po kroku odzyskuje samego siebie. Jestem wdzięczny Bogu i sobie, że nie odrzuciłem tej szansy. Zrozumiałem, że tylko absolutna abstynencja jest pierwszym krokiem do zmiany w życiu i co ciekawe zmiany na lepsze, a niekoniecznie na łatwiejsze. To tu w Barce zacząłem zdawać sobie sprawę z braku pewnych umiejętności. Zacząłem na nowo przy pomocy innych odbudowywać zaufanie do ludzi przy pomocy akceptacji i poszanowania. Pomogło mi w tym włączenie mnie w pełnienie różnych funkcji społecznych jak i do działań na rzecz osób potrzebujących. Gdy otworzyłem się na innych ludzi, odeszły ode mnie obawy przed

dzieleniem się własnym życiem. W miarę odbudowywania zaufania do siebie stawałem się gotowy do podejmowania nowych działań. Zmieniło się też to, że już nie spędzałem czasu na dogadzaniu sobie, ale mogłem wspierać potrzebujących. Dopiero taka świadomość pozwoliła mi przejść do kolejnego etapu – etapu odnajdywania samego siebie. Na nowo uczyłem się odpowiedzialności i dzięki temu, dziś po blisko siedemnastu latach życia na ulicy, odzyskałem nadzieję, przestałem cierpieć z powodu nałogu, a osiągnięte sukcesy pomagają mi odbudowywać poczucie własnej wartości.

Obecnie moim sensem życia jest wspieranie innych osób, zwłaszcza takich jakim jeszcze niedawno byłem ja sam. Dziś mogę to czynić w sposób dojrzały i profesjonalny będąc ekspertem od spraw streetworkingu w projekcie systemowym Gminne Standardy Wychodzenia z Bezdomności, oraz w projekcie Barki UK Centrum Koordynacji Sieci Integracji Migrantów zajmującym się powrotami osób znajdujących się w ekstremalnych warunkach na ulicach Londynu i Kopenhagi. Ponadto aktywnie działam jako przewodniczący Stowarzyszenia Szkoła Animacji Społecznej prowadząc i animując spotkania Grup Samokształceniowych oraz Grup Wsparcia dla osób uzależnionych, jak i wiele innych działań na rzecz wsparcia osób wykluczonych oraz zagrożonych wykluczeniem społecznym.

Tak szerokie pole działalności wymaga siły psychicznej, ciężkiej pracy i wytrwałości. Tym co pozwala mi rzetelnie wypełniać swoje obowiązki i zadania jest wsparcie oraz pomoc wielu osób, z którymi mam możliwość współpracować dzieląc się sobą jak, i swoim doświadczeniem.





Dominik

Nazywam się Dominik, mam 27 lat. Chciałbym opowiedzieć o moim życiu i jak sobie z nim radzę. Urodziłem się w Sosnowcu, ale po rozwodzie rodziców przeprowadziliśmy się do Tczewa, gdzie do tej pory mieszkam. Moje dzieciństwo nie należało do najszcześniejszych.

W sumie pamiętam niewiele. O niektórych akcjach wspomnienia po prostu zatarł czas. Ale o większość sam ze wszystkich sił starałam się zapamiętać. Najgorsze to lata szkolne. Ze względu na pracę zawodową mojej mamy chodziłem do przedszkola. Pamiętam tyle, że nie chciałem tam chodzić i często płakałem. Resztę edukacji skończyłem w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Tczewie. Te lata nie należały do najlepszych. Nie miałem przyjaciół ani żadnego kolegi, z którymi mógłbym zwyczajnie porozmawiać. Często mnie przezywano, dokuczano, a nawet dochodziło do przemocy w stosunku do mojej osoby. Na przerwach siedziałem zawsze sam, nie miałem się do kogo nawet odezwać. Często mama przychodziła do szkoły by zapobiec złemu zachowaniu kolegów z klasy, jak i poza nią ale to nic nie pomagało, nadal czułem się samotny i odrzucony przez dzieci. Pamiętam kiedyś zaprosiłem do domu kolegę. Cieszyłem się, że będę mógł się z nim zaprzyjaźnić i w końcu będę miał towarzysza do zabaw, a tu niestety kolejne rozczarowanie. Był miłym chłopcem, ale okazał się złodziejem, ponieważ zabrał mi moje ulubione klocki lego, więc przestałem zapraszać kolegów do siebie. Znowu powróciło uczucie samotności i niechęci do życia i odrzucenie.

Do tego dochodziła jeszcze moja sytuacja w domu. Nie miałem ojca, mieszkalem z mamą i babcią. Brakowało mi miłości ojcowskiej, osoby która by pokierowała mnie w dorosłe życie patrząc oczami mężczyzny. Wiem, że mogłem zawsze liczyć na rodzinę, z którą mieszkalem, mama była i nadal jest moim wsparciem, przyjacielem w moich trudnych dniach. Zawsze zazdrościłem swoim rówieśnikom, że wychowywali się w rodzinie pełnej, gdzie byli obydwoje rodziców. Pragnąłem kiedyś chociaż raz pochwalić się, że ja i tata poszliśmy razem na rowery, że graliśmy w piłkę - tak jak opowiadali inni. Ja niestety takich chwil w życiu nie miałem. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale właśnie mi takich zwykłych zabaw z ojcem brakowało. Ważnym dniem był dla mnie dzień I Komunii Świętej, pragnąłem żeby tata był w tej chwili ze mną. Wypisałem sam zaproszenie, zakleiłem kopertę i wysłałem. Czekałem na niego, nawet nie przysłał odpowiedzi dlaczego nie przyjechał. Poczulem ogromną pustkę i żal. Wtedy był okres, że byłem na niego strasznie zły, bo jaki człowiek mógłby wypatrzeć się własnego syna i go porzucić. Bywało nawet, że obwiniałem siebie, że od nas odszedł, bo urodziło mu się chore dziecko, którym byłem. Mijały lata - ja nadal w samotności. Po skończeniu szkoły chciałem wyuczyć się jakiegoś zawodu. Moim marzeniem było i jest nadal być kierowcą, ale ze względu na moje dolegliwości neurologiczne jest to niemożliwe. Nie wybrałem żadnego zawodu, bo nie było dla mnie odpowiedniego - murarzem nie

mogłem być ze względu na zawroty głowy, w stolarce nie dał bym sobie rady z narzędziami. Więc siedziałem w domu.

Pewnego dnia mama dowiedziała się, że istnieje ośrodek dla osób niepełnosprawnych w Tczewie na ulicy Gdańskiej. Poszedłem razem z nią, by dowiedzieć się coś o nim. Nie zdecydowałem się jednak na niego, ponieważ nie spodobał mi się ze względu na warunki i to, że zajęcia odbywały się po południami, a ja chciałem by rozpoczynały się od rana. I tu dopadło mnie straszne przygnębienie, uczucie bezradności i niemocy. Zastanawiałem się po co ja istnieje na tym świecie, bo przecież ja się do niczego nie nadaje, nawet nie udało mi się nic osiągnąć. Kim ja jestem? Takie pytanie sobie zadawałem. Odpowiedź wtedy była prosta - osobą chorą, niepotrzebną nikomu, która tylko zawadza. Ten stan trwał jakiś czas, zamknąłem się w sobie.

Po jakimś czasie przypadkowo dowiedziałem się od kuzynki, że istnieje również w Tczewie Środowiskowy Dom Samopomocy, więc udaliśmy się tam by dowiedzieć na jakich zasadach działa ten ośrodek. Już po pierwszym wrażeniu spodobało mi się - dużo przestrzeni, zajęcia odbywały się od godziny 8.00, bardzo sympatyczni ludzie. Po rozmowie z panią Kierownik zdecydowałem, że chcę uczęszczać na zajęcia w tej placówce, na które chodzę do dziś.

Od tego momentu moje życie zmieniło się, nabrało koloru. Uwierzyłem w siebie i we własne siły. Chętnie biorę udział w zajęciach różnego typu, wycieczkach, turnusach rehabilitacyjnych, zabawach. Zostałem wybrany do Rady Domu, jestem przewodniczącym, pomagam w załatwianiu różnych spraw związanych z naszą placówką. Tu odkryłem swoją pasję jaką jest obsługa komputera. Czynn timer chodzę na zajęcia komputerowe do Forum Inicjatyw Społecznych, na których ukończyłem kursy z Microsoft Office XP i Word XP, Microsoft Power Point 2007 oraz tworzenia stron internetowych struktur dokumentów HTML i grafiki. Od jakiegoś czasu też działam w Banku Czasu - to jest forma wzajemnej pomocy np. ja kogoś nauczę obsługi komputera, a on mi upiecze ciasto. Lubię tam działać, ponieważ można spotkać różne osoby, z którymi można miło spędzić czas. Mogę teraz powiedzieć, że spotkałem wielu przyjaciół, na których mogę zawsze liczyć.

Ilekoć wracam wspomnieniem do czasów dzieciństwa, przychodzi mi na myśl pytanie: ile biednych niewinnych dzieci musi przeżywać każdego dnia ten sam koszmar, co ja kiedyś. Nieważne czy zdrowe, czy też niepełnosprawne, jak ja - jesteśmy tak samo odrzucone przez społeczeństwo. Chociaż patrząc wstecz myślę, że chorzy ludzie byli i nadal są dyskryminowani przez innych. Przecież to nie nasza wina, że jesteśmy inni, nie

chcieliśmy być inni. Mamy takie same prawo do życia, szczęścia, planów i ich realizacji.

Teraz na szczęście udało mi się od tego wszystkiego uwolnić. Jestem dorosłą, odpowiedzialną, pełną wiary w siebie i w lepsze jutro osobą. Kto wie, być może to moja przeszłość właśnie tak, a nie inaczej ukształtowała mój charakter. Dlatego mino wszystko dziękuje za to dzieciństwo, za litry łez wylane ukradkiem, za te cierpienia, za wszystko... bo dzięki temu jestem takim, jakim jestem - a dzięki osobom dobrej woli mogę nadal kształtować swoją postawę i starać się być dobrym, pełnowartościowym człowiekiem. Mimo swojej „inności” chce pokazać zdrowemu społeczeństwu, że mino niepełnosprawności można pokonywać trudy jakie niesie ze sobą życie. Wiem teraz, że nie warto się poddawać, bo nasze istnienie na tym świecie jest zbyt krótkie by się jemu poddać, trzeba starać się i walczyć by zmienić mentalność ludzi. Dzięki temu żyło by się wszystkim łatwiej, bo każdy ma prawo do szczęścia i istnienia na ziemi.



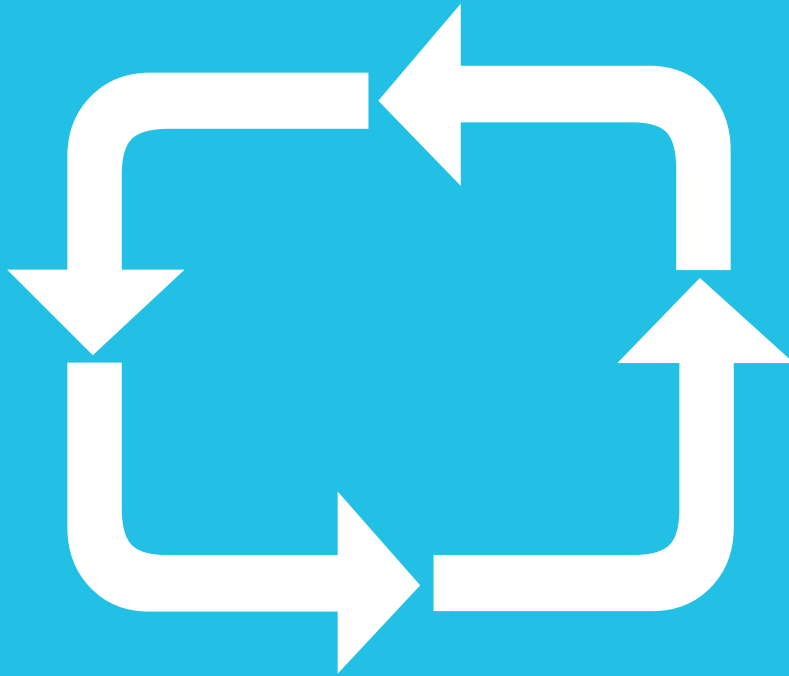
Ela

Nazywam się Cesarz Elżbieta. Chce opisać swoje życie, które nie jest usłane różami. Może moje przeżycia będą motywacją do dalszej walki o przetrwanie dla tych, którzy tak jak ja walczą z samotnością i biedą.

Moje wspomnienia zaczynają się od dzieciństwa. Mieszkaliśmy w Tczewie na osiedlu Czyżykowo, ojciec był kolejarzem, a mama zajmowała się wychowaniem dzieci i domem. Moja rodzina była duża, bo było nas aż dziewięcioro.

Często brakowało nam pieniędzy na życie, dlatego mama dorabiała jako sprzątaczką. Ja zaś jako najstarsza w rodzinie musiałam zajmować się rodzeństwem. Zaczęłam chodzić do szkoły podstawowej, lecz nie dawałam sobie rady z nauką i przeniesiono mnie do szkoły specjalnej, gdzie ukończyłam osiem klas. Następnie zrobiłam kurs krawiecki i zaczęłam pracę w Spółdzielni Inwalidów „Wisła”. Szyłam drobne rzeczy jako pomoc krawcowej. Mimo, że bardzo się starałam, praca szła mi opornie. Traktowano mnie jak służącą. Sprzątałam i byłam na każdej posyłki. Czułam, że jestem gorsza od innych i nielubiana przez koleżanki. Gdy zakład rozwiązano, zaczęłam chorować i przesłam na III grupę inwalidzką. Mając dwadzieścia sześć lat zaszłam w ciążę. Urodziłam syna, który od urodzenia zaczął chorować. Stwierdzono u niego zaburzenia emocjonalne (charakteropatię) – przeszedł na I grupę inwalidzką.

Mój partner, z którym miałam syna, zostawiła nas ponieważ nie chciał mieć z nami nic wspólnego. Moje życie legło w gruzach, łudziłam się, że założę normalny dom rodzinny, w którym panowałyby spokój i harmonia. Chciałam wyrwać się z rodzinnego domu gdzie pito alkohol i często dochodziło do awantur. Po wielu staraniach dostałam swoje upragnione mieszkanie. Wreszcie spokój i przespane noce o których tak marzyłam. Los jednak spletał mi figła i zaczęła się gehenna. Syn chodził razem ze mną do Środowiskowego Domu Samopomocy w Tczewie, gdzie udzielono nam wsparcia. Pomimo usilnych starań choroba syna w szybkim tempie narastała. Stał się agresywny i bardzo pobudliwy seksualnie. Bałam się z nim pod jednym dachem mieszkać. Często swoją agresję wyładowywał na mnie. Ja nie miałam oparcia w rodzinie, ponieważ rodzice zmarli, a rodzeństwo samo potrzebowało pomocy. Bracia są alkoholikami, a siostra ma też problemy w rodzinie. Po ostatnim ataku szła mój własny syn, gdy próbował mnie zgwałcić i strasznie pobił zdecydowałam się, że oddam go do zamkniętego ośrodka DPS w Damaszce. Tam również sprawia dużo problemów, ale ja poczułam się bezpieczna. Dostałam nowe mieszkanie, poznałam przyjaciela i zaczęłam w końcu normalne życie. Do mojego skromnego zasiłku dorabiałam w różnych zakładach, co pozwalała nam skromnie, ale spokojnie żyć. Jednak nade mną ciąży jakieś fatum. Zaczęłam chorować, a mój przyjaciel zmarł na białaczkę. Znowu zwątpienie i apatia. Moje życie to pasmo nieszczęść. Pomimo problemów, które mnie spotykają nie tracę nadziei, że w końcu los się do mnie uśmiechnie i zaznam jeszcze trochę szczęścia i zadowolenia.



Adam

Mam na imię Adam. Urodziłem się w K. w rodzinie robotniczej - tak dawniej się mówiło. Moje życie, to życie na ulicy. Od 7 roku z kluczem na szyi. Miałem pecha albo szczęście, że rodzice nie należeli do partii. Byłem traktowany jak wyrzutek, choć nie rozumiałem dlaczego tak jest. Już w przedszkolu wiedziałem, że skargi nic nie pomagają. Dodają tylko kłopotów mnie i mojej mamie. Ulica i blokowiska to było to, co mnie fascynowało. Miałem kumpli, którzy wiedzieli jak mi pomóc. Byli starsi, uczyli jak się bronić, jak zarobić, wypić i zapalić, mieliśmy swoje tajemnice. Traktowali mnie jak swojaka. Łączyło nas jedno. Rodzice pracowali, ojcowie pili i my też. Chcieliśmy być tacy sami. Oczywiście mieliśmy marzenia. Każdy miał być bogaty, mieszkać w dużym domu, mieć rodzinę. Od mniej więcej 14 roku życia piłem jak stary i paliłem - nic złego. Kiedy skończyłem 15 lat mogłem jeździć za granicę i zarabiać duże pieniądze. Chodziłem do szkoły gastronomicznej, a właściwie to byłem tam gościem. Oceny miałem dobre, lecz nieobecności powodowały, że obniżali mi stopnie. Wziąłem się za handel. Najpierw jeździłem do Rosji, później do Turcji i Czechosłowacji. Kasy miałem dużo, to i kolegów nie brakowało. Nie zauważyłem, że jestem uzależniony.

Miałem 18 lat kiedy zostałem wyrzucony ze szkoły za pobicie dyrektora. Wtedy zauważyłem, że jestem inny, że coś jest nie tak. Przepijałem wszystko, co zarobiłem uczciwie i co ukradłem za granicą. Koledzy, których szanowałem odchodzili. Zostali tylko ci, z którymi piłem, jeździłem na zarobek. Tak zwani frajerzy. Mówili, że marnuję życie - ale ja byłem mądrzejszy; miałem kasę, wiedziałem co robię. Kiedy, kasa się kończyła zostawałem sam i nadal nic nie rozumiałem. Myślałem, że jestem głupi, aż pewnego razu wpadłem na pomysł, że już nikogo nie skrzywdzę. Wypiłem flaszkę z gwinta, łyknąłem leki i podciąłem sobie żyły. Ku mojemu zdziwieniu nie umarłem. Obudziłem się na izbie przyjęć. Lekarz krzychał. Nie znoszę krzyku, więc uciekłem. Byłem zły, że wszystko co chcę zrobić mi nie wychodzi. Męcę rodzinę, dziewczynę, kumpli i wszystkich. Postanowiłem się zmienić. Poszedłem do szpitala psychiatrycznego, żeby zobaczyć czy jestem zdrowy na umyśle i tu znowu heca - okazuje się, że jestem zdrowy tylko mam jakieś zaburzenie osobowości. Mały pryszcz. Pójdę do szkoły ogólnokształcącej o dużej renomie, oczywiście zaocznej. Skończę studia i jestem gość. Panna zadowolona, mama dumna, jest ok. Duże plany - szkoła, rodzina, mama. Wszystko proste, gdyby nie moje picie, którego nie umiałem już przerwać. Znowu zawodziłem osoby, które kochałem do szaleństwa. W 19 urodziny, które obchodziłem u siebie w domu, usłyszałem jak ludzie mówią, że taki fajny facet był. Ten czas przeszły zadziałał. Moja mama, ojciec i reszta towarzystwa, włącznie z moją miłością, mieli mnie dość. Ja ich tak kocham, że nie mogłem z tym żyć. Kiedy zaczęli śpiewać

sto lat, wyskoczyłem przez okno z trzeciego piętra na głowę. Tak miałem przestać męczyć ludzi. Dzięki BOGU nie umarłem. Teraz nie piję od pięciu lat. Kończę ogólniak, zamierzam studiować. Mam 39lat i pomagam ludziom. Oczywiście alkohol zabrał mi wszystko. Straciłem najważniejsze – zdrowie, rodzinę, wolność, ale to inna opowieść. Mam studia z życia. Wszystko odbudowuję. Ufam ludziom, a ludzie mi ufają. To daje siłę przetrwać najbardziej przykre zdarzenia, które przydarzają się w życiu. Nikt nie mówi, że ma być lekko ale na trzeźwo jest jakaś szansa. Jaka nie wiem, ale wiem i przynajmniej pamiętam jakie podejmuje decyzje. Może będzie jeszcze kiedyś czas to napiszę jak straciłem rodzinę, wolność, dom i jak się odnalazłem. Nikt nie jest zły z wyboru. Każdy ma swoje marzenia i swoją wartość osobistą. Jesteśmy tylko ludźmi.



Mã-jã

Jesienią 1991 roku mój świat się skończył. Tak czułam się, kiedy we wrześniu otrzymałam zwolnienie z pracy... Pierwsze grupowe zwolnienia w Polsce... Pierwsze na PKP, gdzie pracowałam od 17-lat. Pracowałam w administracji, najpierw na stacji Malbork, a od 1984 r. w Śremie. Bardzo lubiłam moją pracę... więcej - ja ją kochałam. Byłam odpowiedzialna za to, aby na każdym stanowisku był odpowiedni człowiek, o każdej porze dnia i nocy. Pracy było dużo, ale ja lubiłam ten ruch, odpowiedzialność. Ba - byłam podobno niezastąpiona. W czasie choroby przynoszono mi papiery do domu, nawet do szpitala. Wtedy nie było jeszcze wszechobecnych komputerów-jedna stara maszyna do pisania (na kilka stanowisk pracy) i najprostszy kalkulator. W Śremie, gdzie przeniosłam się w 1983 roku, na początku nie było nawet kalkulatora. Wtedy, we wrześniu 1991 roku jeden paperek boleśnie zweryfikował te poglądy. Nie ma ludzi niezastąpionych! Ba, są nawet niepotrzebni... po 30. latach nienagannej pracy. Wiedziałam, że pracownika można zwolnić za ciężkie naruszenia dyscypliny... Za co mnie zwolniono? Za co ukarano? Czułam się jak wyrzucona na ulicę i nie wiedziałam za co. Zwolnienie było z trzymiesięcznym wypowiedzeniem. Chodziłam więc nadal do pracy, wykonywałam te same obowiązki, ale coś się zmieniło. Tak z dnia na dzień. Jeszcze boleśniej odczułam to kiedy wystąpiłam o rentę kolejową (poradziła mi tak pani z Urzędu Pracy, gdzie poszłam pytać o jakąś pracę dla siebie). Nie miałam nic do stracenia - miałam 47 lat i zdiagnozowaną chorobę zwyrodnieniową kręgosłupa i innych stawów - zaryzykowałam. Zmienił się stosunek innych pracowników do mnie. Zaczęto mnie unikać, izolować - cichły rozmowy jak wchodziłam do jakiegoś pomieszczenia. Tak jakby inni bali się, że przez obcowanie ze mną też popadną w niełaskę i zostaną zwolnieni, albo się czymś zarażą. Nagle nie uznawano orzeczenia lekarza neurologa u którego od lat się leczyłam. Wysyłano mnie do innych lekarzy - do Poznania, do Puszczykowa, zawsze z odpowiednim komentarzem - udaje chorobę, żeby załatwić sobie rentę - jak dowiedziałam się po latach. Ale co można udawać w chorobach kręgosłupa czy stawów? Wystarczy zrobić zdjęcie... Ja nie rozumiałam wtedy niczego... wszyscy się ode mnie odsunęli, byłam sama, zaszczuta, wyobcowana. Byłam, a jakby mnie nie było... nie istniałam dla nikogo, nikt mnie nie zauważał. Jakbym była przezroczysta - nawet dziś trudno mi to uczucie wyrazić słowami... Wtedy myślałam, że świat się skończył... Że spotkała mnie wielka, niezasłużona tragedia. Nie wiedziałam co zgotuje mi los... Rentę dostałam bez problemu - choć finansowo było to mniej niż połowa mojej pensji. Trudno - musiałam sobie jakoś dorobić. Za otrzymaną

odprawę i wcześniejsze 30-lecie kupiłam wspólnie z synem starego malucha, którego wkrótce nazwałam „fiacik-gracik”, bo wiecznie się psuł. Za resztę pieniędzy kupiłam trochę rajstop i ze starym rozkładanym łóżkiem stanęłam na targu. Cóż, żadna praca nie hańbi. Potem dołączyłam jeszcze zabawki. Syn mi pomagał. Przywoził towar z hurtowni, zawoził rano na targowisko - wieczorem zabierał. Pomagał cały majdan wtargnąc na 4 piętro. Myślałam, że idzie ku dobremu...

Nagle mój świat znowu runął. Znowu jesienią... 9 listopada 1993 roku mój syn Piotruś zginął w wypadku samochodowym. Miał 24 lata. Tylko 24... Zginął jako pasażer, w samochodzie kolegi - razem ze swoją dziewczyną Izą z którą chodził 3 lata. W wypadku zginęło czworo młodych ludzi. Wiadomość ta spadła na mnie jak grom i takie spustoszenie uczyniła w moim życiu... Znowu niczego nie rozumiałam... Jak to - nie ma już Piotrusia? Nie wróci? Nie żyje? Pierwsze dni po wypadku i pogrzeb przeżyłam jak we mgle. Pamiętam tylko dwie trumny obok siebie, twarze dwóch kolegów syna, kolor kurtki i omykające się na krawężniku cmentarnej alejki nogi chłopca, który niósł trumnę... Mojego Syna...

Dni które nadeszły potem były smutne, szare, samotne... Siedziałam całe dni w domu, sama - mąż zniknął na całe dni, noc. Znowu zaczął pić... Córka dzwoniła - „Mamusi jak się czujesz?” Dobrze, odpowiadałam zawsze - ona też jeździła samochodem... Nie chciałam jej martwić. Kiedy tak siedziałam sama, strasznie się bałam o nią, o męża - że też już nie wrócą, że ich nie zobaczę więcej... Dwa tygodnie po wypadku Syna przeżyłam przemijające niedotlenienie mózgu. Czułam się coraz gorzej - fizycznie i psychicznie. Zauważyłam któregoś dnia, że widząc swoje odbicie w lustrze pomyślałam - to Ona - jej syn zginął w wypadku. Tak jakby były nas dwie - ja i Ona... Jej syn - nie mój. Tak było łatwiej myśleć... Po latach dowiedziałam się, że to była obronna reakcja mózgu - żeby przetrwać tą tragedię. Cały czas byłam sama, nikt mnie nie odwiedzał. Ludzie znowu jakoś dziwnie mnie unikali - jakby nieszczęście było zaraźliwe... Sama nie wiem jak - TO - przeżyłam... Rano wstawałam, coś pewnie robiłam... jadłam... jakoś żyłam. Liczyłam tygodnie bez Piotrusia, próbowałam pisać pamiętnik o Nim...

Nadeszła zima 1994 roku. Pewnego dnia, kiedy jak zwykle siedziałam przy oknie (jakbym na coś czekała... na kogoś...) uświadomiłam sobie jakieś słowa, które uparcie wracają w moich myślach... Pozwoliłam im zaistnieć już bardziej świadomie - i tak powstał mój pierwszy wiersz. Wiersz o Piotrusiu... o całej tragedii... o mojej tęsknocie... czekaniu...

Potem były inne wiersze... Zawarłam w nich całą moją tęsknotę za Sy-

nem, ból, osamotnienie. To była maja pamięć o Nim... O Nich... Nie widziałam tego wypadku... Zdarzył się nocą, 24 km od domu... Ale w moich wierszach byłam tam...

Po śmierci Syna rozmowy o Nim, nawet tylko wspomnienie, stało się tematem tabu, nawet wśród rodziny. Nie rozumiałam tego. Przecież On był - żył 24 lata z nami. Nie wspominać Go, nie mówić o Nim, to tak jakby Go wcale nie było. Kiedy czasem, nawet przypadkiem wspomniałam coś o Nim, rozmowa się urywała. Patrzyli na mnie jak na zadżumioną i tak mnie traktowano. Całą moją tęsknotę, potrzebę pamięci o Nim przelewałam na papier. To były moje rozmowy o Nim, moja pamięć, wspomnienia. Pisanie wierszy pomagały mi przetrwać okres żałoby, bólu, osamotnienia i wyobcowania. Wierszy poświęconych pamięci Syna napisałam ponad 40.

Pisze też inne wiersze. Jeśli coś mnie wzruszy, zasmuci, poruszy - przelewam to na papier. Tak jest mi łatwiej mierzyć się z codziennością i kolejnymi wydarzeniami jakie niesie życie. I tak – po katastrofie 10 kwietnia 2010 roku powstał wiersz, który zatytułowałam: Katyń 2010.¹³

13. Do pamiętnika były dołączone wiersze, ale ze względu na rodzaj publikacji redakcja postanowiła ich nie zamieszczać.



Artur

Zastanawiam się czy mam ten powiedzmy artykuł, świadectwo, czy jak to zwał zatytułować i prawdę mówiąc nic nie przychodzi mi do głowy. Więc zacznę od tego, że mam na imię Artur i w bardzo skróconej wersji chcę podzielić się doświadczeniem z mego życia. Każdemu to mówię to i tu napiszę, że urodziłem się bo nie miałem innego wyjścia, gdyby to ode mnie zależało - nie pchałbym się na ten świat. Niedługo po urodzeniu miałem okazję się o tym przekonać.

Kiedy zabierano mnie od matki gdzieś w 3 miesiącu życia, lekarze nie dawali mi wiele szans na przeżycie. Stwierdzono wówczas u mnie obustronne zapalenie płuc, kłębkowe zapalenie nerek, zapalenie opon mózgowych jakieś tam jeszcze inne choroby w tym zapalenie uszu oraz wszy i pchły na całym ciele włącznie z rzeszami i brwiami. To był początek mego szczęśliwego dzieciństwa. Piszę o tym, bo tamto tak myślę zaważyło na dalszy mój rozwój, jak i resztę życia. Teraz to już pójdzie to pisanie szybko. Najpierw byłem umieszczony w domu małego dziecka z częstymi pobytami w różnych szpitalach, potem były różne domy dziecka gdzie jak wiadomo w latach tzw. komuny nie było czegoś takiego jak przystosowanie do życia w społeczeństwie a tym bardziej nauki do usamodzielnienia się po opuszczeniu takiej placówki. Żeby było ciekawiej to wysłano mnie do takiej szkoły zawodowej po ukończeniu której okazało się, że ja ze względu na stan zdrowia nie mogę wykonywać wyuczonego zawodu.

I tak z chwilą kiedy tylko ukończyłem 18 lat załatwiono mi pracę w Hucie Warszawy z hotelem robotniczym i pa. Pamiętam, że ja nie potrafiłem robić zwykłych zakupów w sklepie, załatwić coś na pocztce, nie mówiąc już o jakimkolwiek załatwianiu spraw urzędowych. Ale za to pomagał mi w tym alkohol, stawałem się odważniejszy by móc cokolwiek zdziałać. Także w niedługim czasie zaczął on dominować w moim życiu do tego stopnia, że wyrzucono mnie z pracy no i oczywiście z hotelu robotniczego, i do czasu załatwienia sobie drugiej pracy z hotelem spałem gdzie się dało, czyli w różnych schroniskach dla bezdomnych dworcach kanałach ciepłowniczych klatkach schodowych piwnicach itp. mało jedząc dużo pijąc.

Tak jak już wspominałem ze względu na stan zdrowia lekarze nie dawali mi często zgody na pracę w jakiejś firmie, a jeżeli już miałem zgodę to i tak ją tra ciłem i dalej byłem bezdomnym. Trwało to 5 lat, kiedy to z urzędu gminy przy pomocy innych ludzi, bo sam to bym nie dał rady tego załatwić, otrzymałem mieszkanie komunalne. Co prawda rarytas to nie jest, ale na ten czas cieszyłem się, że już nie będę bezdomny.

Mieszkanie te urządziłem przez 15 lat i do tej pory jeszcze nie urządziłem, ale to już inna sprawa. Cóż z tego, że miałem mieszkanie jak ja nie umiałem żyć, być odpowiedzialnym itd. Żyłem w ciągłym lęku i obawie, że nie radzę sobie

z życiem. Do tego dochodził lęk którego nie da się opisać kiedy przestawałem pić, a przestawałem zazwyczaj tylko bo nie miałem już za co pić albo siły na dalsze picie. Tak, że przez kilkanaście dobrych lat byłem na 12 oddziałach odwykowych i kilkudziesięciu oddziałach detoksykacyjnych. Na koniec nawet wynająłem mieszkanie by mieć za co pić dalej. Nigdy nie miałem przyjaciół, a tych co naprawdę chcieli mi pomóc odrzucałem.

Pewnego dnia kiedy tak wlokłem się po ulicy niedaleko mego mieszkania, do którego nie miałem wstępu, ludzie na ulicy na mój widok spluwali z pogardą. Wtedy to poczułem, że utraciłem człowieczeństwo, że nie należę do społeczeństwa. Na śmietniku leżał stary materac, położyłem się na nim i chciałem umrzeć. Nie miałem siły popełnić samobójstwa, a próbowałem wiele razy – tak, że i w szpitalu bardzo długo z tego powodu leżałem. Ale tam na tym śmietniku byłem w takim stanie, że po prostu nie miałem siły. Chciałem wtedy aby znalazł się ktoś kto mnie zabije. Nie wiem jak to się stało ale kiedy tak leżałem pełen lęku rezygnacji z życia poczułem coś co nazwałbym pokorą. I to była taka pokora nie taka jak często teraz słyszę że trzeba jej się uczyć itp. Ja czułem ją w sercu.

Pokorę wobec bezsilności istnienia, pokorę wobec życia i wobec mej choroby alkoholowej. Pamiętam, że nie mogłem dobrze chodzić (byłem zbyt wycieńczony) ale jakoś doczołgałem się do poradni odwykowej i dalej to już niewiele pamiętałem, bo dostałem delirium wraz z padaczką alkoholową. Wiem tylko tyle że lekarze dawali mi 1 tydzień życia. Mówili że jak to przetrzymam to będę żył. Tak naprawdę to ja na tym śmietniku narodziłem się na nowo.

Teraz nie piję blisko 10 lat, skończyłem szkołę średnią zdając maturę i obecnie studiuje na Uniwersytecie Warszawskim. Często kiedy wracam myślami do tego co było myślę, że było mi to pisane bym mógł dojrzeć drugiego człowieka i starać się z pokorą przyjmować życie takie jakie jest. W obecnej chwili też nie wiedzie mi się najlepiej mam sporo różnych spraw np. z długami sprzed lat, brak pracy, i inne życiowe problemy ale myślę że najważniejsze jest to abym pomimo różnych przeciwności losu szedł naprzód bo tak naprawdę zrozumiałem, że nikt mi nie pomoże tak jak ja sam sobie. Nie oznacza to oczywiście zamknięcia się w sobie i być zapatrzonym w siebie. Oznacza to bowiem, że musi człowiek nauczyć się prosić o pomoc, nie wstydzić się tego oraz nie odrzucać pomocy, po to by móc samemu pomagać. Cały czas tego się uczę a jest to najcięższa z możliwych nauk. Nauka życia.

Co do tej nauki życia nie jest to takie proste jak się wydaje. Nieraz zrażałem do siebie ludzi którzy chętni byli mi iść z jakąkolwiek pomocą. Nauka życia to nauka siebie: spojrzenie na siebie oczyma innego człowieka, i na to też potrzeba dużo czasu. Mnie zajmuje to do dnia dzisiejszego.

Zaczęłam teraz od tego, że do nikogo nie miałem zaufania, myślałam w kate-

gorii takiej, że jak ktoś chce mi pomóc to oznacza tylko to, że coś ode mnie chce, a paradoksalnie opierałem się na innych, bo nie umiałem żyć. Nieraz się słyszy, że człowiek uczy się na błędach. I owszem, tyle że w moim przypadku ja aby nauczyć się na jakimś błędzie musiałem powielić go kilka razy zanim do mnie dotarło, że coś źle robię. Przysparzało mi to nieraz wiele problemów i kłopotów. Zwykle relacje międzyludzkie sprawiały mi kłopoty. Przeszedłem sporo treningów takich jak: trening asertywności, interpersonalny, jak radzić sobie ze złością. Na pewno te treningi wiele mi dały, ale wiecie - najlepszym treningiem i sprawdzeniem tego jest samo życie. Tak więc uważam, że uczę się całe życie.

Na dzień dzisiejszy wcale nie wiedzie mi się dobrze i najgorsze jest to, że ja siebie za to winię. Popadłem w coś co bym nazwał koło zadłużenia. Wiadomo, jak nie piłem - coś tam w życiu zacząłem zmieniać, to i chciałem jakoś je polepszyć.

Pracowałem, wziąłem kredyt który spłaciłem, to skoro szło mi dobrze to wziąłem następny kredyt i to jeszcze ubezpieczony od utraty pracy. I kiedy tracę tę pracę okazuje się, że żadne ubezpieczenie mnie nie obejmuje bo jestem osobą niepełnosprawną. Zaczynają się kłopoty. Nie stać mnie na spłaty rat, odsetki rosną, na domiar złego okazuje się że jeszcze sprzed 10 lat też mam jakieś niespłacone zadłużenia, była to końcówka mojego picia.

A ostatnio jeszcze przychodzi mi rachunek za prąd na 9 tysięcy zł. Gdzieś czuję, że jest to niesprawiedliwe. I tu zaczyna mi się wszystko walić. Z jednej strony banki, z drugiej elektrownia i te zadłużenia będą rosnąć, bo mnie nie stać na kwotę rzędu 45 tysięcy by mieć spokój. A tego spokoju najbardziej potrzebuję - brak jego przeszkadza mi w studiowaniu, pisaniu prac, uczeniu się do egzaminu itd. Brak skupienia nad tym wszystkim powoduje coś co nazywam zmęczeniem życiem.

I dlatego kiedy miałem na myśli naukę życia, to bez oparcia rodziny której nigdy nie miałem jest to trudne i ryzykowne, że popadnie się w bezsilność w jakiej ja teraz się znajduję. Jest to trudne. Należy, moim zdaniem, nie czekać bezsilnie aż coś samo przyjdzie, tylko małymi krokami iść i szukać, a czasami i prosić o pomoc.

Tak jak w moim przypadku przez przypadek znalazłem się w ATD Czwarty Świat. I nie chodzi tu o to, że tam dostaję pieniądze czy to, co sobie zażyczą. Chodzi o to, że zdobywa się przyjaciół i zdobywa nowe życiowe doświadczenia.

KAROL

Trzy miesiące - a jednak zmiany na całe życie. Jak to się zaczęło?

Maj – czwartek, wszystko działo się bardzo szybko. Na lekcji historii planujemy z kolegami co będziemy robić podczas długiej przerwy - pomysł był taki, że będziemy się „gonić”. Zabrział dzwonek i ruszyliśmy na boisko szkolne. Nagle stop. Bezruch, nie wiem co się ze mną stało. Byłem jak słup - sztywny nie mogłem wykonać żadnego ruchu, nie docierały do mnie żadne głosy. W takiej chwili wszystko jest obce, odległe. Wszyscy zbiegli się na boisko, cały tłum przyglądał się mi. Mimo to iż nic nie czułem – wiedziałem, że teraz każdy patrzy się na mnie. Dopiero po około 10 minutach mogłem wydusić z siebie słowa. Przywołałem do siebie kolegów i poprosiłem ich o pomoc. Czułem się dziwnie, trudno to sobie wyobrazić, ale każda minuta mojego powrotu do ruchu i odbioru głosów była coraz trudniejsza. Już nie tylko wzrok ale i komentarze pozostałych były dla mnie wyjątkowo bolesne. Czułem się okropnie. Mimo, że byli to moi koledzy to jednak nie było mi łatwo ani zrozumieć całe zajście, a już tym bardziej je zaakceptować. Bardzo ciężko było mi wrócić do szkoły - klasy - grupy. Po tym zajściu bardzo dużo myślałem o tym co dalej? Czy będzie gorzej? Jak wrócę do dalszego funkcjonowania. Szkoła, koledzy - dom, rodzina i lekarz - wszystko zaczęło się toczyć bardzo szybko. Tak naprawdę trudne chwile - to te kiedy czujesz jak wszyscy cię opuszczają, odsuwają się od ciebie - a ty zostajesz z tym wszystkim sam. Zgoda są rodzice i lekarze. Ale to za mało, aby można było powiedzieć „przecież nic się nie stało” - „wszystko będzie dobrze”. To tylko puste słowa, a tak naprawdę wszyscy boją się podejść, porozmawiać. Zostajesz, tylko ty i wspomnienie z całej tej sytuacji. A dalej...?

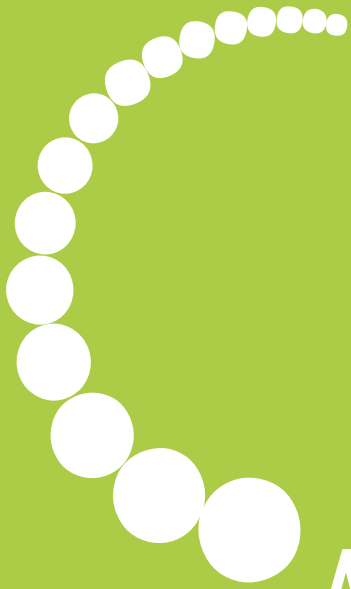
Czerwiec - ostatni miesiąc szkoły spędziłem w szpitalu, poznałem kilka osób choć wiedziałem, że to na krótko. Przecież jak wrócę do szkoły, to znowu się zacznie to samo - szept i odrzucenie. Pozostanę sam. Brak zrozumienia i pomocy ze strony innych. Zwaliło się na mnie tyle spraw i problemów, że nie umiałem sobie z niczym poradzić. Każdy problem był trudny do rozwiązania, trudniejszy niż można było sobie wyobrazić. Człowiek nie zdaje sobie sprawy ile jeszcze może się przydarzyć. I tak naprawdę ile jeszcze może go spotkać przykrości. Oczywiście jakby tego wszystkiego było mało nazbierało się sporo zaległości ze szkoły, trzeba było wszystko nadrobić. Trudno jest sobie poradzić z całym natłokiem spraw - w szkole wykluczenie ze strony grupy rówieśników i w domu każdy się martwi czy dobrze się „czuje”, czy potrzebuje pomocy, ale nie da się na te pytanie odpowiedzieć jednym słowem. Nawet w kilku słowach trudno się o tym mówi. W takich chwilach dużo się dzieje, ale jeszcze więcej człowiek odczuwa na własnej skórze. Po prostu wyspa pełna lu-

dzi, a człowiek czuje się jak rozbitek - sam na wyspie nikt nie słyszy, nie rozumie, omija, odtrąca.

Lipiec - po powrocie do domu ze szpitala zacząłem myśleć o tym jak było przed wypadkiem, oglądałem stare zdjęcia z czasów szkolnych, wszystko na nich było mi odległe, poczułem w sercu ból, a w oczach pojawiły się łzy. Dużo czasu rozmyślałem jak będzie wyglądać moje życie. Wykluczenie - okropne słowo. Dopiero teraz poznałem jego znaczenie i sens, nigdy nie myślałem że mnie to spotka. A jednak ciągle dzieją się sytuacje, których się nie rozumie, a konsekwencje dają się wyraźnie odczuć na wszystkich sferach życia. Chciałoby się o wszystkim zapomnieć, ale nie da się tego wymazać z pamięci. Chciałoby się cofnąć czas, ale nie da się tego uczynić. Codziennie wraca do mnie wszystko: samotność, wstręt przed światem i ludźmi, odrzucenie i brak akceptacji ze strony innych osób. Świat jest okrutny i bezlitosny. Rzeczywistość nabrała innego znaczenia i kształtu. Dziś wiem, że dużo straciłem, moje plany na przyszłość zniknęły, a o ich powrocie jest bardzo trudno mówić, zarówno w domu jak i wśród znajomych. Każdego dnia staje przed lustrem i widzę innego siebie - zmienionego przez chorobę i ludzi. Właśnie dziś rozumiem jak bardzo duży wpływ na los człowieka ma drugi człowiek .

Mimo wszystko, nie uciekam od ludzi, tylko doszukuje się w każdej osobie tego co w niej dobre i wartościowe. Uczę się żyć z „wykluczeniem”.





Antonina

Przyszłam na świat 4 września, 1954 roku. Do dzisiaj nie wiem, jak i dlaczego trafiłam do tej kobiety. Z tego, co wiem, to przyszła z pracy z dwutygodniowym niemowlakiem do domu i powiedziała, że teraz to jej dziecko.

Była młodą, 27 – letnią kobietą, która wraz z rodziną przyjechała ze Lwowa w 1945 roku na ziemię odzyskane. Rok wcześniej, po stracie syna, rozeszła się z mężem. Początek mojego dzieciństwa nie był zły, chodziłam do przedszkola, bo mama (tak ją nazywałam) pracowała. Ale była jednak samotna i starała się znaleźć partnera. Nie byli to ciekawi ludzie, tym bardziej, że spałam z nią, więc kiedy oni byli, to płakałam w poduszkę, że robią jej krzywdę, nie mogłam się ruszać, bo mnie biła, że jej przeszkadzam. Teraz to rozumiem. Różni byli i różnie się zachowywali, ale nie lubiłam ich, a oni mnie. Pamiętam jednego, bo zawsze latał nago i pytał się mnie, czy mi się podoba. Jego właśnie pamiętam najbardziej, wredny i w okularach, nienawidziłam go, on mnie też. Kiedy mówiłam o tym mamie, lekceważyła to. Potem poznała swojego męża, to był potwór, ale ona go pokochała chorą miłością. Czasami mi się wydaje, że gdyby spalił siedem wsi, też by go chroniła. Był ich ślub, przyjęcie, a zaraz jak goście wyszli, zaczęła się awantura, pobił ją, więc uciekła ze mną na strych. Od tej pory zaczął się koszmar życiowy. Był pijakiem, karciarzem i alfonsem. Którakolwiek koleżanka matki wpadła mu w oko, to później przechodziła przez jego łóżko, o mnie też nie zapomniał. Gdy powiedziałam matce, co mi zrobił, to stwierdziła, że kłamie, że sama musiałam go do tego sprowokować, a miałam przecież dopiero 9 lat. Najgorszy był głód i zimno. Jak przyszła Beata na świat, on nie patrzył, że jego dziecko jest głodne, wódka była najważniejsza. Któregoś dnia, zanim się urodziła Beata, przyszedł do domu pijany po coś do jedzenia, matka nie chciała mu dać, więc mnie złapał i przyłożył ostrze brzytwy do gardła mówiąc, że mi je poderżnie, jeśli mu nie da. Dała mu, a mnie udało się wybiec z domu za matką. Spałyśmy wtedy u dziadka, powiedziałam dziadkowi, co i jak, ale ona mnie złała, że powiedziałam. Zawsze go chroniła. Potem to już uciekałyśmy z malutką Beatą, szukał nas. Mnie często ganiał z siekierą, bo to moja wina, że jestem i żyję. Jak miałam 11 lat, to wysłano mnie do pracy. Zaraz po szkole jeździłam tam, gdzie robiono szaszłyki z różną, kiełbasy i kurczaki i pomimo że było ciężko, to przynajmniej zjadłam i byłam w cieple. Chociaż jak wracałam do domu, to nie wiedziałam, gdzie będę spać. Kiedy przyszła ostra zima, nie było czym napalić, więc kazano mi gdzieś zdobyć opał. A że u moich sąsiadów na parterze było podobnie, tylko dzieci było więcej, więc chodziłam z Jakiem i Zbyszkiem na węgiel. W nowych blokach były kotłownie i hałdy węgla na placu, więc tam żeśmy szli. Jacek stał na czatach, a ja ze Zbysz-

kiem z duszą na ramieniu przechodziliśmy przez płot i po prostu kradliśmy węgiel, potem ładowaliśmy do worków, na sanki i przywoziliśmy do nas na podwórko. Zaczynało się dzielenie, kłóciliśmy się o każdy kawałek, biliśmy się, bo „ty masz większy, albo ty”. To było straszne, trwało kilka lat, jak raz zabrakło węgla, bo nie było skąd wziąć, to dostałam tak tęgie bity, że byłam granatowa.

Przyszło Boże Narodzenie, ja miałam 12 lat, Beata – 2 latka. Ale że ten tyfus przepełił wszystko, to nie było nic do jedzenia. Jaka ja byłam wtedy niemiłosiernie głodna, na wigilię jadłam z Beatą tartą bułkę z wodą. W pierwszy dzień świąt matka wysłała mnie z kartką do swojej siostry. Oczywiście ciotka się na mnie wydarła, że przyjechałam rano, naszykowała do szklanek po musztardzie jedzenie dla Beaty, ale mnie się nawet nie spytała, czy mi dać choć kromkę chleba. Do dziś mam do niej żal o taką bezduszność. Przecież ja byłam tylko dzieckiem. Jako katoliczka powinienam jej wybaczyć, ale nie umiem.

I tak było przez dwanaście lat. Spanie po strychach, piwnicach, klatkach schodowych. Zazdrościłam wtedy ludziom bardzo. Jak chodziłyśmy po ulicach, to zaglądałam ludziom do okien, dzieci czyste, nakarmione, w ciepłym domu, a my szukałyśmy miejsca, gdzie przenocujemy następną noc. Jak spałyśmy w domu, to z kolei pilnowałam Beaty przed nim, mnie skrzywdził, ale jej – nie pozwoliłam. Spałam z nożem pod poduszką. Jak powiedziała matce, co on zamierza zrobić Beacie, to powiedziała, że kłamie i uбиła mnie łopatką do węgla, wbijając mi jej koniec w plecy. Jak nie chciałam jechać do jej siostry z kartką od niej, to lała mnie kablem. Nie raz rozcięła mi głowę, krew mi oczy zalewała, ale jej siostra o wszystko zawsze obwiniła mnie. Jej rodzina nigdy mnie nie zaakceptowała, nauczyli Beatę zwracać się do mnie „znajda” lub „bękart” i jeszcze gorsze epitety szły pod moim adresem.

Już jako dziecko wiedziałam, że to nie jest moja biologiczna matka, więc gdy dorosłam, zaczęłam zadawać pytania. Pewnego razu usłyszałam, że nigdy mi prawdy nie powie, bo odejdę, a ją zostawię samą. Pewnie tak by się stało. To były koszmarnie lata bicia, poniżenia, głodu. Za swoje pieniądze nic nie mogłam sobie kupić, bo to zaraz znikało albo na wódkę, albo było zostawiane na jedzenie.

Ja nie wiem, co ona robiła z pieniędzmi. Jak pracowałam przy szaszłykach, to brała moje pieniądze, później pracowałam po dwie zmiany w firmie ogrodniczej i oddawałam jej pieniądze, a tych nigdy nie było. Miałam już dość takiego życia. Za wszelką cenę chciałam się wyzwolić, ale to było trudne, ona mnie szantażowała psychicznie, że przecież ona tyle dla mnie zrobiła, więc teraz ja nie mogę jej zostawić. A z drugiej strony wszem i wobec mówiła, że

to jej „szczęście” pije i się rozbija przeze mnie, bo to ja jestem ta zła. Nie raz słyszałam od ciotki, że trzeba było mnie utopić. Ale nikt nigdy nie starał się dociec prawdy, jak było faktycznie, tak było prościej. Jedyna osoba, która znała prawdę, był jej ojciec, ale ten zmarł na raka trzustki w 1963 roku.

No cóż, ten koszmar trwał nadal, aż poznałam swojego męża. Myślałam, że wreszcie będzie lepiej, spokojniej, skończę jakąś szkołę, ale pomyliłam się.

Mój mąż był typowym synkiem mamusi, był najmłodszy i dla niego liczyło się tylko zdanie mamy. Moja teściowa była osobą hardą. Miała trzech synów i trzymała ich krótko. Dwaj się wyzwolili, mimo że rozwaliła ich małżeństwa, bo synowe były złe i nie słuchały jej. Więc skupiła swoją uwagę na mnie. Potrafiła rozpętać piekło, doprowadzić do tego, że mąż zaczął mnie bić, a ona wtedy wychodziła. Takich sytuacji było wiele. Przyszły na świat dzieci. Moja teściowa wychodziła z założenia, że jak nie podobne do ojca, to nie jego. Urodziłam pięcioro dzieci, czworo jest podobnych do mnie, do kogoś z rodziny, do siebie są bardzo podobni, ale do męża tylko najmłodszy syn, no więc to tylko on jest jego synem. Moja teściowa stwierdziła, że jeśli nie twoje, to trzeba wprowadzić rządy twardej ręki... Zaczęło się szkolenie i bicie dzieci. Nie mogłam na to pozwolić, bałam się, ale broniłam dzieci biorąc razy na siebie. Gdy urodził się Adam, rozpętał się horror. Adaś odziedziczył geny po moim teściu, tak że wyglądał jak mała kopia dziadka. Więc moja teściowa uznała, że jeżeli wnuk jest tak podobny do dziadka, to musi być jego. Zaczęła rozpowiadać o tym dookoła, a ja dowiedziałam się o tym od bratowej męża. Ludzie pukali się w głowę, ale jej nikt nie mógł przetłumaczyć, że to jest nieprawda. Mąż przestał pracować, ja musiałam nastarczyć na dom i dzieci, bo on wybrał wódkę i mamę. Jak mówiłam o tym teściowej, to ona mówiła, że to nieprawda. Mój teść przyjeżdżał z Kielc i mieszkał u nas, mimo że było ciasno, więc widział, jak jest, ale, cóż, do mojej teściowej nic nie docierało. Za wszelką cenę chciała mnie zniszczyć. Prawie jej się udało. Przy pomocy swoich przyjaciół sędziów zabrała mi dwóch synków, o których wcześniej nie mówiłam.. Po śmierci mojej macochy wniosłam pozew o rozwód i alimenty na dzieci. Ja byłam sama, a moja teściowa miała wysoko postawionych przyjaciół, na stanowiskach w sądzie. Po strasznych upokorzeniach udało mi się wywalczyć dwoje dzieci, tj. Piotra i Kasię (potem urodził się Adaś, Krzys i Ania), natomiast Rafał i Maciek poszli do adopcji. Do dziś mam ten nieszczęsnny pozew, teściowej i mojego męża, który zrzeka się dzieci. A to boli, przez tyle lat nie ma dnia, żebym o nich nie myślała, gdzie śpią, jak żyją. Dopiero po latach moja teściowa stwierdziła, że chciała się na mnie zemścić i mnie zniszczyć. Ten cel niemal osiągnęła. Zresztą ona była człowiekiem, który myślał tylko o sobie, żeby tylko jej było dobrze i żeby zawsze miała korzyść z tego, co robi. Ja jednak miałam dość takiego

życia. W 1990 roku mój teść zaprosił mnie do siebie z dziećmi, co było tym bardziej zrozumiałe, że Piotr z winy ojca już od roku z nim mieszkał. Ania miała wtedy pół roczku. Przyjechałam, mój teść niemal zaraz po naszym przyjeździe zmarł, a ja zostałam sama. Wiedziałam, że we Wrocławiu nic dobrego mnie nie czeka, ale z drugiej strony – obce miasto, obcy ludzie, ani pieniędzy, ani pracy i piątka dzieci na głowie. Oprócz Ani wszyscy w szkole. To było straszne. Łapałam, co mogłam, na jedzenie starczało, ale na rachunki już nie. Odciepli mi światło, zimno, głodno, chłodno i do domu daleko. W końcu ktoś mi polecił pracę, dostałam ją, na początku to były grosze, ale pomału uzyskiwałam pomoc i jakoś poszło.

Mój Adaś od piątego miesiąca życia chorował na astmę oskrzelową. Jak przyjechałam do Kielc, przez jakiś czas był spokój, ale choroba się nasiliła i zaczął się z moim synem koszmar. Choroba wystąpiła w całej okazałości. Szpitale, sanatoria, i znowu szpitale. Ostatnie dwa lata jego życia były jednym ogromem cierpienia i rozpacz. Cały czas był na lekach, których dawkę trzeba było bez przerwy podwajać. W 1999 roku, w październiku, nadszedł ten koszmarny dzień. Wieczorem wezwałam do niego pogotowie, bo miał bardzo ciężki atak, dostałam skierowanie na następną dzień do szpitala, ale w nocy, około trzeciej, obudził mnie krzyk „Mamo!”, zerwałam się, złapałam go w oknie, podciągnęłam do wersalki, a on za chwilę skonał mi na rękach... Dzieci wezwały pogotowie, próbowałam go reanimować, dostał 22. adrenaliny w serce, dostał też 2 000 hydrocortizonu i po dwóch godzinach serce ruszyło. Lekarz mi powiedział, że to było niepotrzebne, bo on – nawet gdyby przeżył – to po tym wszystkim tylko by się męczył, bo przecież już trzy minuty serce nie biło, kiedy oni przyjechali. To było dla mnie przeraźliwie straszne, zdarzyło się jedenaście lat temu, a ja do dzisiaj widzę go, jak je ostatni posiłek, co je, co mówi. To był taki dobry, kochany chłopak, szczerzy aż do bólu.

Po tym wszystkim nie mogłam dogadać się z synową i wynajęłam mieszkanie, by tam zamieszkać razem z dziećmi. Córka wyszła za mąż, wyprowadziła się do męża, a ja zostałam sama z Anią. A Krzyśka gdzieś nosi.

Mieszkałam tu i tam, ale za każdym razem, jak cena wynajmu szła w górę, to już nie dawałam rady i trzeba było szukać czegoś innego. Dopóki pracowałam, było dobrze, mogłam kupić dziecku komputer i inne niezbędne dla Ani rzeczy, ale powróciła choroba. Trzydzieści lat temu chorowałam na gruźlicę, która teraz znowu dała o sobie znać. Nie wiedziałam o tym. Dopiero jak zrobiłam zdjęcie rtg to wyszło. I o pracy mogłam na razie zapomnieć. Zaczęłam się leczyć, poszłam na zwolnienie, szpital odkrył resztę, renta, a teraz okazało się, że mogę sobie raz na zawsze zapomnieć o powrocie do pracy. Ostatnie badania wykazały całkowitą niezdolność do pracy. Zawsze żyłam w biedzie i nędzy, a teraz głód znowu zajrzał mi w oczy. Córka kończy szkołę, ja mam rentę, której nie starcza na rachun-

ki, a co dopiero mówić o życiu, lekarstwach? No cóż, dziękuję Bogu, że chodzę, żyję, mam wspaniałe wnuki, mądre dzieci, które bardzo kocham, a które też borykają się z życiem, ale mi pomagają tyle, ile mogą. Oby ich życie było lepsze niż moje.

Pani Antonina choruje m.in. na ciężki przypadek astmy. Do swojej maszyny powinna być podłączona 17 godzin na dobę. Niestety nie stać jej na zapłacenie rachunków za prąd elektryczny, nie mówiąc o wykupieniu wszystkich lekarstw.



Moje wspomnienia i przemyślenia

BIEDA

Dla większości osób dotkniętych biedą temat dosyć trudny i smutny. Dla mnie tak samo, ale też nie do końca. Uważam, że dzięki temu jestem silniejsza i bardziej potrafię sobie radzić z trudnościami, które mnie spotykają. Jako dziecko nie wiedziałam co to jest bieda. Miałam wspaniałą Mamę, która choć wychowywała mnie samą nigdy nie dopuściła do tego, żeby czegoś mi brakowało. Pracowała po 12-15 godzin dziennie. Ja wtedy nie doceniałam tego co robiła i jak się poświęcała. Pamiętam czasy, gdy wszystko w sklepach było na kartki, a ja przejeżdżona szynką wymieniałam się w szkole z innymi dziećmi na zwykły chleb posmarowany margaryną lub wyrzucałam swoje jedzenie. Teraz, gdy sama mam dzieci i wiem już co to jest wartość pieniędzy mam ogromny szacunek do swojej Mamy. Choć nie jest już ze mną, bo zabrała mi ją straszna choroba jaką jest nowotwór złośliwy jestem jej wdzięczna za wszystko co dla mnie zrobiła i jak się poświęciła. Moja sytuacja diametralnie się zmieniła, gdy urodziłam pierwsze dziecko córkę. Wtedy zaczęły się duże problemy mój partner a teraz obecny mąż stracił wtedy pracę i tak właśnie zaczęły się nasze pierwsze problemy finansowe. Dorabiał na czarno, była pomoc z Opieki Społecznej, ale to nie starczało na podstawowe potrzeby. Zaczęły powstawać zadłużenia, zaległości z opłatami mieszkaniowymi itd. Żyliśmy z dnia na dzień. Znajomi też zaczęli się odsuwać. Nie potrzebny był im ktoś nie posiadający pieniędzy. Borykaliśmy się z wieloma problemami a nowe dochodziły. Potem kolejna ciąża, choroba Mamy. Mąż znowu miał pracę, ale po urodzeniu drugiego dziecka i pogorszeniu się stanu zdrowia Mamy wszystko na nowo zaczęło się walić. Bardzo się zadłużyliśmy, strasznie chciałam pomóc swojej Mamie myślałam, że jeśli zapewnie jej wszystko co najlepsze to ona cudownie wyzdrowieje. To trwało trzy miesiące było wtedy bardzo ciężko nie tylko finansowo ale też fizycznie i psychicznie. Mąż pracował na nocki a ja opiekowałam się sama dwójką małych dzieci córką 3 letnią, synem 6 miesięcznym i Mamą, która wymagała tak samo dużo opieki oraz wkładu finansowego jak małe dziecko. Dużo moich znajomych radziło mi wtedy, że dla nas będzie najlepiej jak oddam Mamę do ośrodka opiekuńczego. Nie zrobiłam tego wtedy i nie żałuję do dzisiaj. Mama opiekowała się mną jak byłam dzieckiem i wychowała mnie na dobrego człowieka, a ja bardzo ją kochałam i kocham nadal pomimo, że jej ze mną nie ma, ale nadal jest i będzie w moim sercu. Następnym krokiem, który jeszcze bardziej pogłębił naszą biedę było trzecie dziecko syn i kolejny raz strata pracy mojego męża. Było bardzo trudno i nadal tak jest, ale pomimo wszystkiego nie żałuję tego co wydarzyło się w moim życiu. Teraz mamy pod opieką Mamę mojego męża, która też choruje na nowotwór i jest trudno, ale damy radę.

Mam wspaniałą rodzinę, kochającego męża i troje cudownych dzieci. Dla mojej rodziny jestem gotowa przenosić góry i walczyć z przeciwnościami losu. Bieda nikogo z nas nie hamuje. Najważniejsza jest chęć podniesienia się z tego i uwierzenia w swoje możliwości. Ja wiem, że dam radę. Raz jest lepiej raz gorzej, ale nie wolno się poddawać i załamywać, bo to nic nie da a tylko jeszcze bardziej może pogorszyć naszą sytuację. Wspaniałą możliwość na wyjście z biedy daje projekt Kapitał Ludzki, który jest właśnie skierowany dla takich osób jak ja. Dzięki temu mam możliwość podniesienia swoich kwalifikacji i spełnienia swoich marzeń. Podjęcia pracy i zapewnienia moim dzieciom wszystkiego co najlepsze - to największe moje marzenie. Wiem, że mi się uda bo mam w sobie wiele siły i chęci do podjęcia wyzwania. To ja decyduję o tym kim będę i jak będzie wyglądało moje życie. A moim celem jest całkowite wyjście z biedy. Kiedyś moje ubóstwo będzie tylko złym snem, z którego nie długo się obudzę. Jest takie powiedzenie, że pieniądze leżą na ulicy tylko trzeba po nie sięgnąć. I to jest prawda trzeba dobrze się rozglądać a przede wszystkim mieć swój cel w życiu. To, że jesteśmy biedni nie wyklucza nas ze społeczeństwa, nie robi z nas gorszych. To my musimy zmienić swoje nastawienie do siebie i swoich problemów tylko wtedy uda nam się wyjść z dołka i zaistnieć. Jestem matką, mam dzieci i one wiele uczą się ode mnie dlatego muszę im pokazać, że życie to nie tylko cierpienie czy bieda. My też mamy prawo być szczęśliwi tylko sami musimy tego chcieć. Ja pomimo wszystkiego jestem szczęśliwa i wierzę, że uda mi się zrealizować moje plany.





Robert



Urodziłem się w latach 70. Jestem drugim dzieckiem moich rodziców. Mam o dwa lata starszą siostrę. Moja rodzina nie była zamożna.

We wczesnych latach mojego dzieciństwa zostawił nas ojciec i odszedł do innej kobiety.

Moje relacje z mamą były nie najlepsze, ponieważ chorowała na raka mózgu. Ciężko z nią było nawiązać rozmowę, ponieważ jej stan był bardzo ciężki. Nadużywała alkoholu, co jej na pewno nie pomagało w chorobie. Ten fakt powstał przez to, że została sama z dwójką dzieci.

Gdy poszedłem do trzeciej klasy szkoły podstawowej zamieszkałem z ojcem i z jego drugą kobietą. Wtedy zaczął się mój koszmar życiowy. Znęcali się nade mną psychicznie i fizycznie, czasami za nic dostawałem lanie. Nie podobał się im mój sposób sprzątnięcia, zawsze mówili, że jest źle zrobione. Nigdy nie miałem swojego zdania w domu, to co oni mówili było zawsze najważniejsze. Macocha wyraźnie mi dawała do zrozumienia, że jestem tylko jej chłopcem na posyłki. Lekarze podejrzewają, że początki mojej choroby mają podłoże z dzieciństwa. Chodzi o sposób jaki byłem traktowany. Do osiemnastego roku życia mieszkałem z ojcem i macochą, która uważała, że jej opieka nade mną dobiegła końca.

Po ukończeniu Szkoły Zawodowej i po zdobyciu zawodu ślusarz – mechanik podjąłem pracę w Zakładzie Szklarskim jako wykonawca luster. Moja praca zawodowa legła w gruzach, kiedy pogłębiła się choroba. Nie mogłem się odnaleźć w żadnej pracy, ponieważ nic mi nie wychodziło, a pracodawcy twierdzili, że nic nie potrafię zrobić, a to była wina choroby.

Po ośmiu miesiącach zostałem powołany do wojska. Z wojska zwolniono mnie po pół roku służby, ze względów zdrowotnych (zwyrodnienie kręgosłupa, problemy z układem krążenia), a także podejrzewali już początek choroby psychicznej. Po wojsku na dwa miesiące wróciłem do domu ojca i ponownie podjąłem pracę w tym samym zakładzie pracy. W trakcie pracy, ojciec „wyrzucił” mnie z domu, zamieszkałem wówczas na wsi w domu babci. Z tego powodu zwolniłem się z pracy, gdyż miałem problem z dojazdem.

Kilkakrotnie podejmowałem różne prace, ale z uwagi na mój stan zdrowia gdzie nic mi nie wychodziło, pracodawcy wymawiali mi posadę. Założyłem również swoją działalność gospodarczą (sklep z odzieżą używaną), ale ze względu na brak obrotów musiałem ją zamknąć. W międzyczasie, moje stosunki z ojcem poprawiły się, na tyle, że zatrudnił mnie w swojej firmie. Ale i wtedy traktował mnie jak „gorszego pracownika”, wytykając mi na każdym kroku moją niby złą pracę. Nie byłem z tego zadowolony, a wręcz mnie to denerwowało, ale w sumie wytrzymałem u niego około półtora

roku. Pracowałem jeszcze w jednym zakładzie, dzięki któremu zdobyłem uprawnienia do zasiłku dla bezrobotnych, ale nie zdążyłem odebrać ani jednego świadczenia, gdyż trafiłem do szpitala psychiatrycznego. Było to na początku 2000 r. Nie pamiętam co się ze mną działo ponieważ stan był bardzo ciężki. Później byłem wiele razy hospitalizowany. Początkowe rozpoznanie mojej choroby to zespół paranoidalny, ale po kolejnych wizytach w szpitalu stwierdzono schizofrenię paranoidalną.

Rodzina nie rozumiała i nadal nie rozumie mojej choroby ponieważ jest to dla nich coś bardzo dziwnego. Ojciec podejrzewał, że biorę narkotyki. Nawet po rozmowie z lekarzem, który powiedział mu, że to nie narkotyki, tylko choroba, ojciec obstawał przy swoim. Początkowo podczas pobytów w szpitalu ojciec mnie odwiedzał, ale później stwierdził, że nie ma dla mnie czasu.

Przed postawieniem rozpoznania i podjęcia leczenia w 1999 roku przez trzy tygodnie byłem osobą bezdomną. Spałem wówczas na klatce schodowej lub na dworcu. Dochodziło nawet do tego, że jadłem chleb ze śmietnika.

Było to w okresie świąt Bożego Narodzenia. W dzień wigilii poszedłem do ojca złożyć życzenia, ale wyrzucił mnie z domu. Wigilię tą spędziłem na dworcu.

W czasie leczenia szpitalnego zdobyłem uprawnienia rencisty, a tym samym otrzymałem stały dochód. Po wyjściu ze szpitala mieszkałem w domu siostry, ale bardzo krótko. Następnie zamieszkałem w mieszkaniu ojca, w którym on już nie mieszkał. Był to krótki okres czasu, po którym ojciec kupił mi mieszkanie – kawalerkę, która jest zapisana na niego. W lokalu tym mieszkam do dzisiejszego dnia.

Od 2000 roku korzystam z pomocy MOPS-u w postaci zasiłków i uczęszczania do Środowiskowego Domu Samopomocy. Z pomocy tej korzystam do chwili obecnej. Moim dochodem miesięcznym jest renta w wysokości około 400 zł, w dzisiejszych czasach jest to bardzo mała kwota. Gdyż po opłaceniu wszystkich opłat pozostaje mi niewiele na życie. Uważam się za osobę zaradną życiowo, potrafię załatwić swoje sprawy urzędowe, prowadzić samodzielnie gospodarstwo domowe.

Obecnie nie utrzymuje z rodziną kontaktu, ponieważ ojciec wyrzekł się mnie, mówiąc, że nie ma syna. Z kolei z siostrą rozmawiam tylko podczas przypadkowych spotkań na ulicy, ale nie odwiedzam jej, głównie z powodu, że czułem się przez nią wykorzystywany, zarówno finansowo jak i w pracach domowych.

W czasie jednej z hospitalizacji poznałem swoją towarzyszkę życia. Pomaga mi ona w trudnych chwilach i dotrzymuje mi towarzystwa na co

dzień. Również jej rodzina pomaga mi w kwestii materialnej, za którą ja potrafię się odwdziżyć np. posprzątać mieszkanie, umyć samochód, zrobić zakupy itp.

W ten sposób wyszedłem z największego kryzysu. Od czasu jak poznałem moją przyjaciółkę, żyje mi się lepiej.

Obecnie uczęszczam do Środowiskowego Domu Samopomocy, tu spędzam większość swojego czasu. Zacząłem pracować jako wolontariusz w kuchni MOPS-u, z czego jestem zadowolony, gdyż mam jakieś zajęcie, przez co czuję się przydatny i dowartościowany.

Uważam się za osobę pogodną, łatwo nawiązującą kontakt, chętnie pomagającą innym i myślę, że inne osoby też tak o mnie myślą, gdyż odwzajemniają mi moją życzliwość. W stanach zaostrzeń choroby, czuję, że inni mnie ignorują, baczniej mnie obserwują i patrzą na mnie tak jakbym chorobę miał wypisaną na czole. Uświadamiam to sobie dopiero po poprawie stanu zdrowia.

Obecnie czuję się lepiej dzięki lekom, które przyjmuję i otoczeniu, w którym przebywam. Myślę, że w życiu najważniejsza jest uczciwość i tak właśnie staram się postępować.



Atena

Wielu z nas pożąda wszystkiego co dobre, po obu stronach.
Oczywiście, fakty są dobre – dajcie nam więcej faktów.
 Wiliam James „Pragmatyzm”

Spółczeństwo i otoczenie w jakim żyje człowiek zmienia się. Wpływ na jego postępowanie, słownictwo i obyczajowość ma w dużej mierze grupa osób, jaka się otacza.

Nie możemy jednostajnie określić ubóstwa, dotyczy ono nie tylko sfery materialnej, ale także duchowej. Ubogim można być nie posiadając środków do życia, ale posiadać bogate wnętrze, zainteresowania i pasje. Są tacy, którzy mają majątek, wspaniałe mieszkanie i pracę, ale nic ich nie interesuje. Prymitywni i gburowaci w otoczeniu z pracownikami, ale cenieni wśród środowiska w jakim się znajdują.

Pasję, zainteresowania rozwija się z wewnętrznej potrzeby i chęci zaspokojenia swoich pasji, zainteresowań, pragnień. Np. lubię czytać książki z dziedziny filozofii, więc często chodzę do biblioteki i je wypożyczam.

Zainteresowanie filozofią rozwijam poprzez jej studiowanie, dyskusje na forach internetowych, ale także poprzez rozmowy, w których pojawiają się wątki filozoficzne. Nie jest to proste, gdyż związane jest to z kosztami i wyrzeczeniami.

Bez żadnych zainteresowań, poszukiwania swojego celu występuje ubóstwo wewnętrzne. W jednym środowisku taka osoba będzie budziła zainteresowanie, jego członkowie zachowują do niej pewien prestiż, a w innych litość i brak szacunku.

Środowisko ma duży wpływ na nasze usposobienie, zainteresowania, ale też wyrażanie opinii czy poglądów. Przykładem może być odmienność zainteresowań młodzieży licealnej, czy ze szkół zawodowych. Nauczyciele ze szkół zawodowych zbyt mało kładą nacisku na rozwój zainteresowania się naukami humanistycznymi. W pewnym sensie nie jest to pozytywne. We współczesnym świecie człowiek powinien znać swoje prawa, ale także być zorientowanym w problemach społecznych i politycznych kraju, ale co najważniejsze, potrafić wysunąć swoje indywidualne wnioski i racje.

Po skończonej szkole uczeń (absolwent) powinien odbyć kilkumiesięczną płatną praktykę u pracodawcy, a później zostać zatrudniony. Urzędy Pracy, jakie działają w Polsce, to praktycznie osobom będącymi bezrobotnymi czy poszukującymi pracy, nie oferują praktycznej pomocy. Rola doradcy zawodowego do określenia kompetencji praktycznie jest żadna. Każdy z nas zdaje sobie doskonale sprawę, ze swoich mocnych, pozytywnych umiejętności, a także z tego czego mu brak. Oferty, które zamieszczone są na tablicach ogłoszeń są nieaktualne, doradcy zawodowi każdej przycho-
 dzącej osobie np. ze średnim lub wyższym wykształceniem przedstawiają

to samo. A oferty pracy w Urzędzie Pracy, dostępne są także na stronie internetowej, wszyscy chętni je przeglądają. A dodatkowo wiszą one przez 1 miesiąc i nikt ich nie sprawdza.

Uważam, że do walki z bezrobociem w Urzędach Pracy i wielu innych instytucjach do tych celów powołanych, powinno podejść się praktycznie. Każdej osobie bezrobotnej powinno się przedstawić kilka ofert pracy, adresowanych do niej indywidualnie i wówczas ona po kilku spotkaniach stwierdzi, który pracodawca wyraził deklarację jej zatrudnienia.

Jeszcze nagminnym błędem działalności Urzędów Pracy, jest to, że nikt nie sprawdza aktualności tych ofert oraz ich dostępności. Często są one śmieszne, napisane z błędami, bez podania adresu kontaktowego, tylko adres mailowy. Oczywiście są tacy, nie sprawdzają i wysyłają CV, licząc, iż ktoś ich zatrudni. Nie ma nic bardziej złudnego. Przez długi okres korzystania z tzw. dobrodziejstwa Urzędu Pracy, nigdy nie spotkałam się z jakimś indywidualnym podejściem. Próby wyjścia i pomocy są bardzo małe i znikome.

Szkolenia znajduje dzięki Internetowi w odległym mieście Gdańsku, a przygotowanie zawodowe zdobyłam w pięknej miejscowości Szubin w powiecie nakielskim. Tylko dzięki temu, iż wykonałam około 100 proszących telefonów, większość tylko chciała te informacje wysłuchać.

Różnie też przedstawia się problem dotyczący zdobycia miejsca praktyki, w celu uzyskania uprawnień pedagogicznych. Możliwość praktyki miałam także dzięki dyrekcji Zespołu Szkół również w powiecie nakielskim. Mimo, iż było to daleko bo około 40 minut dojazdu PKS-em od miejsca zamieszkania. Ale pozostały przyjaźnie i wspomnienia, a to jest najważniejsze.

Ubóstwo powoduje, iż człowiek nieposiadający środków finansowych nie może korzystać z imprez kulturalnych, ale i także nie stać go na zakup żywności i opłacenie należności związanych z mieszkaniem. Powoli następuje jego tzw. wewnętrzne znikanie, czyli umieranie i gaśnięcie jego pragnień i dążeń. Zgadza się na wszystko, jako słabsze ogniwo jest też wykorzystywany i niedoceniany. Najgorzej jest wówczas, gdy maleją coraz bardziej jego szanse, a perspektyw brak.

Co roku tysiące młodych osób kończy studia, upragnione szkoły i kierunki. Jaka jest ich droga, co się z nimi dzieje? Dziwię się, że nikt nie zrobił żadnej szczegółowej ankiety, czy też analizy jaka jest przyszłość tej młodzieży? A to jest bardzo ważne w tworzeniu miejsc pracy i staży dla tej grupy docelowej. Młody człowiek już właściwie w ostatnich klasach szkoły gimnazjalnej, a później przez okres szkoły ponad gimnazjalnej, potrzebuje jakiegoś wsparcia opiekuna. Nie jest to rola doradcy zawodowego,

czy psychologa szkolnego, ale powinni się nim zająć psychoterapeuci i socjologowie. I wobec tego w placówkach oświatowych dla tych osób powinien znaleźć się etat. Często młoda osoba jest onieśmielona pytaniami, jakie kieruje do niej wychowawca czy szkolny psycholog. Poszukuje tych odpowiedzi poza szkołą, a nie zawsze ma to pozytywny wymiar.

Szkoły, placówki sprawujące nadzór nad młodym człowiekiem, często nie są zainteresowane stanem psychicznym tych młodych osób. Nauczyciele realizują program, ale nie są chętni do indywidualnej pomocy osobom, które tej pomocy szukają i potrzebują.

W krajach zachodnich inaczej wygląda szkolnictwo, czy też opieka zdrowotna. Brak tam rozległego pisania na nurtujące problemy, jest tylko stanowcze i konsekwentne działanie.

I to jest najważniejsze, brak jest tematów zastępczych, które bulwersują opinie publiczną, stwarzają możliwości podejmowanie dyskusji, lecz tak naprawdę tematy zwolnień grupowych, czy sytuacji na rynku pracy nikt nie podejmuje. A szkoda? Ci co mają rodziców nie narzekają, żyją na wspólnym budżecie. Tylko do kiedy?

Bezpłatne staże otrzymują tylko te osoby, które mają znajomości. Nikt, pomimo szczerych chęci, nie weźmie do swojej firmy osoby, która przyjdzie z ulicy, nieznaną. Nawet na staż weźmie kogoś z rodziny. Sama z resztą bardzo długo szukałam miejsca na przygotowanie zawodowe, całkowicie płatne z Urzędu Pracy, akurat się udało. Ale ciągle słyszałam też, iż nie jestem z tej miejscowości, dlaczego ktoś ma mi pomagać itd. Nie było przyjemnie, ale udało mi się być tam 6 miesięcy, pieniądze w kwocie 500 zł (na rękę) za 8 godzin dziennie otrzymywałam raz na miesiąc!!!

Takie są polskie realia. Nie dziwię się, że większość moich znajomych wyjeżdża za granicę. Każdy chce posiadać jakieś perspektywy, tu nie ma żadnych. Tyle się mówi, iż brakuje nauczycieli do etyki. Co roku prasa przedstawia dyskusje przedstawicieli szkół, iż niestety brakuje kadry i wielu pedagogów musi iść na studia podyplomowe... Jest to kompletna bzdura i kłamstwa. A szczególnie, że jest w Polsce dużo szkół wyższych, które kształcą przyszłych absolwentów filozofii, którzy dodatkowo uzyskują uprawnienia pedagogiczne. A poza tym codziennie do szkół przynoszone, przysyłane są oferty podjęcia pracy przez absolwentów różnych kierunków. I niestety stwierdzenie, że brakuje kadry do nauki etyki jest kłamliwe i fałszywe. Nikt przecież tym osobom, które składają swoje dokumenty aplikacyjne pracy nie oferuje, a ich CV są niszczone. Więc skąd to bezsensowne twierdzenie.

Mieszkam w małej miejscowości, która jest dosyć rozległa. Jest w niej Urząd Gminy, Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej, Gminny Ośrodek Zdrowia, Gminny Ośrodek Kultury i wiele różnych mniejszych instytucji. Jest także dosyć rozbudowana placówka oświatowa wraz z gimnazjum.

Niestety nigdy nie udało mi się tu znaleźć zatrudnienia, ani też możliwości odbycia praktyki w wymiarze 150 godzin. Etyka, filozofia jest przez większość osób wyśmiewana i niedoceniana. Zapewne mała i znikoma większość zdaje sobie sprawę z tego, iż od początku istnienia cywilizacji obezna jest filozofia. Filozofia wraz ze wszystkimi pytaniami, dominuje w każdym umyśle, zarówno egipskiego niewolnika, jak i też współczesnego człowieka. Stojącego wobec niepewności swej egzystencji, ale i duchowemu, wewnętrznemu zagrożeniu. I z nią też należy dotrzeć do tych, którzy jej potrzebują.

Działam od wielu lat w Stowarzyszeniu „Kraina Uśmiechu”, które mieści się w Szubinie. Ono prowadzi świetlicę socjoterapeutyczną, do której uczęszczają dzieci i młodzież. Znajdują w niej nie tylko miejsce do odrobienia lekcji, czy porozmawiać z rówieśnikami, ale to co jak ujął Platon najcenniejsze, a mianowicie przyjaźń i zrozumienie. Otrzymują w niej także ciepły posiłek, ale także wyposażenie tornistrów. Jest to bardzo ważne, z tej uwagi, iż wielu rodziców tych dzieci nie ma pracy i posiada kłopoty finansowe i zdrowotne.

Powiat nakielski wraz z miastem Szubin oraz Nakłem należy do rejonów o najwyższym wskaźniku procentowym osób bezrobotnych. Likwidowane są duże państwowe zakłady, powstają małe prywatne firmy, które zatrudniają nie zawsze uczciwie, bez umów i zabezpieczenia socjalnego. Zniszczone zostały PGR, po których pozostały ruiny, upadające gospodarstwa i znajdujący się w tragicznej sytuacji byli pracownicy.

Bezrobocie, nędza w naszym państwie jest utajona. O wielu problemach się nie mówi, zajmuje się społeczeństwo polskie tematami zastępczymi. Tylko po to by przestali myśleć i przeciwdziałać ubożeniu społeczeństwa. Powtarzanie pewnych niedorzeczności, iż „bezrobotna osoba jest leniwa, nieposiadająca kwalifikacji” jest celowe, gdyż ci co to słyszą zaczynają wierzyć.

Najpierw trzeba coś doświadczyć, sprawdzić, a potem dopiero o tym powiedzieć, iż to rzeczywiście jest prawdą. Wiele osób nie rejestruje się wcale w Urzędach Pracy, gdyż mijają to się z celem. Nikt i tak żadnej propozycji pracy nie oferuje, tylko właściwie traci się na dojazdy. Dojazdy, jakie są kosztowne i wyczerpujące szczególnie dla osób z małych miejscowości. Miejscowości mają utrudnienia komunikacyjne i częstotliwość dojazdu jest także ograniczona.

Dziwię się tylko, że nikt tematu bezrobocia nie nagłośnił w prasie i mediach. A jest niestety o czym pisać i tematu nie można pomijać.

Świat się zmienia. Obok bogatych, zamożnych dzielnic są też dzielnice biedy i nędzy. Społeczności, które w nich zamieszkują, niekiedy żyją w bardzo prymitywnych warunkach. Brak toalet, niski metraż, niska tem-

peratura wewnątrz pomieszczeń, brak bezpieczeństwa i wilgoć, tak wygląda zamieszkanie w takich dzielnicach.

Dzieci i młodzież na ogół uczęszczają wówczas do najbliższej placówki oświatowej. Spowodowane to jest zbyt drogim dojazdem lub kłopotami komunikacyjnymi, które uniemożliwiają naukę w innym gimnazjum, szkole ponad gimnazjalnej. Ta często posiada małą ofertę edukacyjną, nauczyciele często nie zauważają potencjału i talentu tej społeczności. Młodzież ma w sobie ogromną siłę intuicyjnego poznania takiej osoby, która jest doskonałym pedagogiem i przyjacielem. A tego daru, talentu pedagogicznego posiadają nieliczni.

W ubogich dzielnicach, czy też regionach naszego kraju jest problem dostępu do Internetu oraz codziennej prasy. Jedyną rozrywką jest oglądanie telewizji, gdyż w niej odnajduje się obrazy życia o jakim się pragnie i myśli. Radość przeplata się z żalem i troską. Często są samobójstwa, czy też akty desperacji szczególnie wśród osób zwolnionych z pracy, bezrobotnych. Jakże brakuje nadziei, gdy dzieci i rodzina są głodne, a opłaty niezapłacone. Długi rosną, odsetki też, a jeszcze brak nadziei. Nadziei jakże ważnej do lepszego samopoczucia swojej wartości.

Obserwując PGR-WOLWARK (powiat nakielski) zauważyłam, iż ludzie Ci, którzy przez całe życie ciężko pracowali, zdobywali kwalifikacje jakie były im potrzebne do wykonania pracy. Dzisiaj są już niepotrzebni i wykluczeni, poprzez to iż nie posiadają możliwości zatrudnienia.

Instytucje działające do walki z bezrobociem i ubóstwem często kierują się tylko jakąś ideą, a jeśli już w grę wchodzi praktyczne działanie, wygląda to już nieco inaczej.

Przekonałam się sama czym jest brak znajomości, nie liczę już na żadną pomoc instytucji, organizacji czy urzędu, który przeciwdziała z tym zjawiskiem. Będąc w trudnej sytuacji zwróciłam się do Ośrodka Pomocy Społecznej, wcześniej otrzymałam wsparcie materialne, ale później ucieszyłam się, iż wreszcie zarobię. Przedstawiono mi jako podopiecznej ofertę pracy jako opiekunki na okres półkolonii organizowanej w placówce oświatowej, Z radością złożyłam dokumenty, przedstawiłam kwalifikacje, uprawnienia pedagogiczne, liczne krajowe szkolenia itd. Niestety po czasie okazało się, iż ja jako podopieczna pracy tej nie otrzymałam, tylko podejmie ją osoba na emeryturze ze stałym dochodem. Załamalam się i straciłam nadzieję na to, że w moim życiu nastąpią jakieś pozytywne zmiany. Zaczynałam żałować tych kilku lat studiów, uczenia się na pamięć wersów z „Metafizyki” Arystotelesa, czy czytania trudnego Wiliama Jamesa. Zaczynałam działać, wysyłać CV, maile z prośbami o zatrudnienie. Po zostały bez odpowiedzi.

Jak się okazuje liczą się znajomości. Nasze umiejętności, kwalifikacje stają się nieważne wobec osób, które są z kręgu rodziny pracodawcy.

Kim my jesteśmy? Niepotrzebne pyłki, bezużyteczne embriony, które giną. Codziennie widzę osoby żebrzące wraz ze swoimi zwierzętami. Słusznie z resztą stwierdził św. Franciszek, „iż to są nasi bracia mniejsi”. Im też należy pomóc. Nędzą, wykluczeniem dotknięci są nie tylko ludzie, ale również zwierzęta. Zwierzę głodne niszczy, popada w choroby, traci siłę. Wówczas inne zwierzęta go także odrzucają. Zdycha, gdyż brakuje mu siły do przetrwania i zwycięstwa nad przeciwnościami.

Umieranie powolne jest najgorsze, szczególnie gdy zatracą się w nas wszelka nadzieja. Pozbawia się nas wolności, która tak przedstawia Hanna Buczyńska-Garewicz „Człowiek wobec losu”, „człowiek, o ile myśli, o tyle jest wolny”. Czyli nie ma wolności bez możliwości myślenia i działania.

Brak środków finansowych uniemożliwia mi powzięcie interesujących pomysłów. Próbuje się bronić lecz niestety już nie starcza sił.

Wydaje mi się, że nad sytuacją w Polsce nie należy się zastanawiać, tylko wyszukać takie priorytety, które pozwolą na polepszenie sytuacji. Wykluczenie społeczne staje się głównym problemem. Osoby zagrożone nim pozbawione są uczestnictwa w życiu społecznym, kulturalnym kraju. Wykluczenie nie dotyczy tylko niektórych regionów, dzielnic czy grup społecznych, ale także mniejszości narodowych czy uchodźców. Przykładem może być społeczność romska. Romowie, którzy mieszkają w Polsce są to przeważnie ludzie ubodzy. Zawody, które wykonywali zanikają. Szkoda, że nikt nie zrobił analizy dotyczącej rynku pracy wśród rodzin romskich. Wielu z nich nie potrafi czytać ani pisać. I powinno to się zmienić. W Bydgoszczy są skupiska romskich rodzin, ale wątpię czy znalazł się ktoś, kto próbował do nich dotrzeć. W naszym państwie istnieje wiele stereotypów dotyczących obrazu Roma – Cygana, to niszczy jego prawdziwe oblicze. Nie dziele ludzi na ich pochodzenie, czy rasę lub religię, tylko na cechy charakteru. Albo jest dobry lub zły. I to o nim świadczy.

Również ten problem dotyczy obozów dla uchodźców, często pracują w nim osoby poniżające, lekceważące ich. Nie potrafiące zrozumieć sytuacji uchodźcy na rynku pracy i jego odporności psychicznej wobec utraty ojczyzny, a i też doświadczenie śmierci najbliższych. „Język moim światem, wyznacza mi granicę” zacytowałam słowa L. Wittgsteina – niby jesteśmy Polakami, w większości katolicy, ale jakże się różnimy. Różnice są w naszej umysłowości, nie potrafimy zaakceptować odmienności. Stąd też następują obszary wykluczenia. Wykluczyć można kogoś ze względu na ubóstwo czy też odmienność seksualną i religijną.

W naszym umyśle pojawia się pytanie, jak może czuć się młody człowiek,

który zamiast religii chce iść na etykę. Etykę na jakiej pozna dzieła Platona czy Konfucjusza, ale będzie starał się zrozumieć postępowanie lekarza wobec przekazywania informacji o stanie zdrowia pacjentowi. I również ten młody człowiek będzie wykluczony, często też odrzucony w małym wiejskim środowisku, poprzez swoje zainteresowanie i dążenie do wiedzy.

Wykluczenie zawsze dotyczy grup, które są słabsze. Dotyczy to nie tylko osób bezrobotnych, bezdomnych czy także z mniejszości narodowych, religijnych, seksualnych, ale także samotnych matek i ojców. To właśnie oni walczą o życie swoich dzieci, ich prawo do nauki, ale i też uzyskania środków na zaspokojenie potrzeb rodziny – to właśnie trudności w polskich sądach czy instytucjach. To oni właśnie walczą i wierzą w polepszenie sytuacji najbliższych. Bezprawie, niskie egzekwowanie zadłużenia alimentacyjnego wobec osób, na które zostało ono zasądzone, niestety dotyczy Polski. Prawo jest tylko pisane, a egzekwowanie jego to już zupełnie inna sytuacja.

Wykluczenie dotyczy również osób niepełnosprawnych. Często pozbawieni są oni możliwości terapii, nawiązywanie kontaktów z rówieśnikami. Powodem są bariery zarówno architektoniczne, ale i komunikacyjne. Z małych miejscowości, wsi taka osoba nie wyjedzie z tej uwagi, iż autobusy PKS czy kursujące busy są niedostosowane do przewożenia tych osób. W związku z tym często te osoby są wykluczone z życia kulturalnego, czy też politycznego danego regionu. Organizacje często pomagają tylko dla rozgłosu czy ukazania ich pozytywnych celów. A niestety rzeczywistość przedstawia się zupełnie odmiennie.

W pewnym sensie też i nasze społeczeństwo powinno rozszerzyć swoje horyzonty myślowe, by przekonać się jakie naprawdę problemy są najważniejsze. A nie zajmować się tematami zastępczymi, tylko tworzyć to co najważniejsze. Miejsca zatrudnienia dla powiększającej się grupy osób bezrobotnych, pozbawionych dalszych perspektyw. Te osoby nudzą już się dyskusjami w mediach na błahe tematy, podczas gdy ich byt jest zagrożony i niepewny.

Czy zatem słuszne wydaje się zakończenie „wielu komunistów to również ofiary prania mózgu” Anthony de Mello „Przebudzenie” str. 29.

Ku zastanowieniu i przemyśleniu faktów jakie są w naszej współczesnej Polsce.



Piotr

Chciałem opisać swoje życie dla tych, którzy tak jak Ja walczą z samotnością szukają swojego miejsca na ziemi. Najmilsze wspomnienia, które pamiętam wiążą się z moim domem rodzinnym. Mieszkaliśmy w Tczewie na osiedlu Garnuszewskiego, ojciec był piekarzem i dojeżdżał do piekarni do Stegny. Często podczas ferii zabierał mnie do pracy. Bardzo lubiłem tam przebywać, konwojenci często zabierali mnie do samochodu i razem rozwoziliśmy chleb do sklepów. Czułem się tam lubiany i chciany. To były moje jeszcze beztraskie lata, gdzie byłem otoczony miłością, czułem się kochany przez wszystkich członków rodziny. Wspominając tamte czasy uśmiecham się i czuję nutkę żalu, że te lata już nigdy nie wrócą.

Zacząłem chodzić do szkoły sportowej, jednak nie dokończyłem pierwszej klasy i już wtedy po raz pierwszy poczułem, że jestem gorszy, inny, nie rozumiałem co się ze mną dzieje. Zostałem przeniesiony do szkoły specjalnej gdzie nic się nie zmieniło. Nadal wyzywano mnie, a najgorsze było to, iż na podwórku też byłem nie lubiany przez kolegów. Może i nie byłem „święty”, ale zawsze wiedziałem, że rodzice mnie obronią. Jednak coraz częściej zdarzało się, że odsuwałem się od kolegów, wybierałem samotność. I nagle cios!!! Nagły zgon ojca. Wydawało mi się, że to koniec świata. Straciłem obrońcę. Chodziłem wówczas do Specjalnej Szkoły Zawodowej. Nie miałem tam przyjaciół, choć bardzo się starałem. Czułem się bardzo niechciany i zadawałem sobie pytanie „dlaczego to mnie spotkało”, chociaż z drugiej strony zawsze myślałem, iż jestem lepszy od innych, że to pozostali są chorzy, głupszy ode mnie.

Nigdy nie lubiłem swojego zawodu (stolarz), jakiego wybrałem w szkole. Zawsze chciałem być kierowcą lub ślusarzem, ale tych zawodów nie było i nie miałem innego wyjścia. Dlatego z niechęcią się uczyłem, ale też wiem, że byłem strasznym leniem. Jeszcze gorzej było na praktykach w Warsztatach Doskonalenia Zawodowego. Czułem się tam bardzo samotny, odrzucony przez kolegów, a w dodatku zawsze coś mi się przytrafiało. A to nabiłem sobie krwiaka w głowie, a to spadłem z drabiny i uszkodziłem nerkę. Dzięki siostrze, że nie pozwoliła na operację w Tczewie tylko szukała pomocy u profesora w Gdańsku, który uchronił moją nerkę, chociaż od czasu do czasu daje ona o sobie znać.

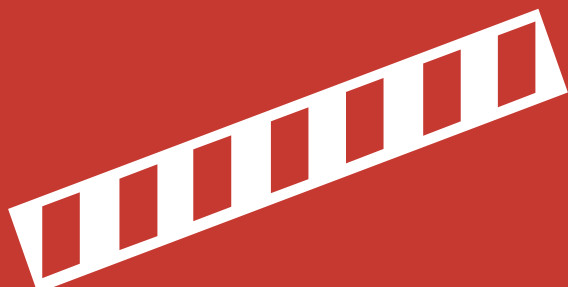
W tym czasie przeprowadziliśmy się z mamą na osiedle Suchostrzygi. Otrzymaliśmy mieszkanie obok siostry, i tam mieszkam do tej pory. Nie bardzo pomagałem мамie w pracach porządkowych w domu. Po prostu mi się nie chciało, nie myślałem o przyszłości, a zwłaszcza o tym, że może mi jej kiedykolwiek zabraknąć. Tego okresu też nie zaliczam do szczęśliwych, musieliśmy żyć z renty po ojcu. A było tego niewiele. Nie mogłem nawet pomarzyć o spodniach, bluzach i innych rzeczach jakie mieli inni. I tak zostało do tej pory. Jednak czytałem dużo książek o II wojnie światowej, obozach

koncentracyjnych. I tak pogłębiałem się w samotności. Nie chciało mi się nigdzie wychodzić, zresztą nie miałem z kim. Wydawało mi się, że żyję w jakiejś szklanej kuli, wszystko widzę, ale nic nie czuję, jakby życie przechodziło koło mnie, a Ja nie mogłem wejść do niego.

Po ukończeniu szkoły próbowałem zrealizować swoje marzenia, ukończyć kurs prawa jazdy. Miałem problemy z jazdą samochodem i po prostu zostałem przez kierownika LOK wyrzucony z kursu. Byłem bardzo zły, znowu gorszy. A gdy nie wzięli mnie do wojska po raz drugi w życiu zapłakałem. Nie wiedziałem dlaczego, co się dzieje (powiedzieli, że się nie nadaję) i wtedy jakby dotarło do mnie, że jednak jestem chory, a zaraz potem myśl – Nie! jestem zdrowy, to oni się mylą. Zawsze znalazłem ukojenie w ramionach mamy. Nie dopuszczałem myśli że mogę stracić matkę. A jednak tak się stało. Drugi cios !! Zostałem sam. Nie wiedziałem co ze mną będzie, jak będę żył, czy sobie poradzę. Przecież obok mieszkała siostra. Ona mi na pewno pomoże. Wówczas nachodziły mnie jakieś złe myśli, słyszałem głosy, miałem lęki. Straciłem grunt pod nogami, nie wiedziałem co jest prawdą, a co nie. Zatracałem się w nicość. I to był następny cios i najgorszy - moja choroba. Nie wiadomo skąd się wzięła, ale pozostała do tej pory. Pamiętam lęk jaki mi ciągle towarzyszył, moją agresję i pobyty w Szpitalu Psychiatrycznym. Od tamtej pory czuję, że ludzie się mnie boją, spotykam się z nietolerancją, brakiem zaufania, naznaczeniem. Bardzo mnie to boli, zastanawiam się dlaczego tak się dzieje. Skąd w ludziach jest tyle nietolerancji, a wręcz nienawiści do nas ludzi chorych. Pamiętam, że czułem się ciągle zagrożony – wydawało mi się, że wszyscy ludzie byli przeciwko mnie, byłem podsłuchiwany, obserwowany, kazali mi robić różne dziwne rzeczy. Wtedy nie miałem poczucia choroby. Gdy oddawali mnie do Szpitala myślałem, że nawet najbliżsi są przeciwko mnie. Gdy ciągle słyszałem, że jestem chory, czułem się jeszcze bardziej wyobcowany. Dochodziła do mnie świadomość choroby. „Schizofrenia” brzmiała jak wyrok. Jeszcze jedno wspomnienie – gdy opuszczałem szpital byłem sam, wyizolowany społecznie. Wszyscy wokół mnie nie wiedzieli jak się zachować i najczęściej unikali kontaktu z mną. Czułem się odrzucony, zepchnięty na margines i pozostawiony samemu sobie, ale nadal byłem bardzo wrażliwy na swoim punkcie. Zacząłem pracować w Spółdzielni Inwalidów w Tczewie. Musiałem dorobić do mojej niskiej renty. Komisja orzekła II grupę, a po rodzicach nie otrzymałem żadnego zasiłku, ponieważ uznano, że choroba nie powstała przed 16 rokiem życia. Myślałem, że odbiję się od dna, że znajdę kolegów. Jak mogłem czuć się w pracy dobrze skoro nie dopuszczali mnie do maszyn. Mielіłem ręcznie na młynku tworzywo i byłem taki „przynies pozamiataj”, a Ja czułem się od nich lepszy (choć kończyliśmy tą samą szkołę) i dawałem im to odczuć. Nikt mnie nie polubił byłem

samotnikiem, nie nawiązywałem kontaktów z pracownikami. Pracowałem do likwidacji zakładu. A jednak miałem szczęście. Otworzono w 1996 roku Środowiskowy Dom Samopomocy w Tczewie. Zacząłem tam uczęszczać. Na początku bardzo mi się tam podobało. Poprzez różne zajęcia i treningi nauczyliśmy się nawiązywania kontaktów ze światem zewnętrznym, nauczyliśmy się go rozumieć, aktywizować, rozwijać swoje zdolności. Wspominam czasy, kiedy grałem w różnych przedstawieniach, brałem udział w zajęciach, a co najważniejsze dla mnie - rozpoznawać pierwsze objawy choroby i móc sobie z nimi radzić. No cóż choroba przez lata postępuje, a ja coraz gorzej się czuję. W Ośrodku mam kolegów, ale czuję, że jestem nie lubiany (nawet wiem dlaczego?). I koło się zamyka. Czuję się niezrozumiany, co doprowadza mnie do nie kontrolowania swoich czynów. Samotność i tak już chyba pozostanie do końca życia. A może nie? Skomplikowało się też moje życie domowe. Zawsze miałem oparcie w siostrze, która też musi sobie radzić z problemami jakie niesie choroba psychiczna. Jednak obecnie nie poświęca mi ona tak dużo czasu. Pracuje i zajmuje się wnukiem, ja „zszedłem” na drugi plan i to mnie denerwuje. Czuję się ciągle uzależniony od niej. Robi mi jedzenie, podaje leki. Boję się też jak wyjeżdża, że mnie nie obroni przed „lumpami”, którzy mnie zaczepiają, wołają (a nawet napisali na moich drzwiach) „pedał”. Jestem zły na siostrę, że nie jestem już w centrum zainteresowania. To doprowadza do różnych konfliktów między nami. I jeszcze moja bieda, wszystkie pieniądze oddaję siostrze, która dokonuje opłat mojego M3. I co zostaje z mojej renty, tylko parę złotych na papierosy (z których nie zrezygnuję). I co dalej? Gdzie ubiór, jedzenie. Czy tak dużo oczekuję? Żyję i marzę o wygranej w totolotka. Wysyłam chociaż po jednej budce. Czasem wpadnie trójka czasem nie, i tak do następnego razu. Myślę, że z moimi towarzyszami życia tj. nędzą i ubóstwem przyjdzie mi zmagać się do końca życia.

Podczas pisania swoich wspomnień myślę że przyzwyczałem się już do wyobcowania, osamotnienia wynikające z faktu, że jestem inny, chory na schizofrenię. Jednocześnie pobyt w Ośrodku uświadomił mi, że my chorzy mamy takie samo prawo do funkcjonowania w społeczeństwie, że jesteśmy tacy sami jak inni, i że choroba psychiczna nie wyklucza nas ze społeczeństwa. Ciągle będę to powtarzał, gdy będzie mi źle.



**Sposób na życie
piękno – natura
skały i ciernie
cierpienie – radość**

Krystyna

Moja historia

Żeby opisać moją biografię, muszę cofnąć się do roku 1939.

W tym to roku 1 września, mój ojciec Józef Barański został powołany do obrony ojczyzny i Warszawy przed okupantem hitlerowskim, zostawiając mamę i trójkę dzieci w Śremie. Miałam wtedy trzy latka.

Ojciec uczestniczył w największej bitwie pod Bzurą i dostał się do obozu jenieckiego, który znajdował się w Żyrardowie. Jednak udało mu się uciec i wrócił pieszo z obozu do Śremu.

I tak do naszego miasta wkroczył hitleryzm i faszyzm. Ojciec z magistratu otrzymał pracę jako szosowy i był świadkiem rozstrzelanych polaków na posesji pana Błoszyka. Schował się do lasu i słyszał słowa, które stamtąd dochodziły: „precz z hitleryzmem”, „niech żyje Polska” itp. Przedostając się przez las, zauważył człowieka, który szedł drogą, opowiedział mu o wszystkim co widział.

Kazał zostawić w lesie żywność, którą mu dostarczy po pracy do domu. Tamten się zgodził, odczekał jeszcze chwilę, aż część gestapowców się rozeszła. Nie mając nic przy sobie odważnie ruszył w drogę. Po zrewidowaniu przez gestapowców, gdy nic nie znalezione, mógł bezpiecznie pójść do domu. Po pracy ojciec dostarczył towar do tegoż pana pod wskazany adres. Podziękowaniom, wdzięczności nie było końca. Pan ten powiedział że to, co zrobił ojciec ratując mu życie nie ma żadnej ceny. Powiedział również, że po wojnie on będzie kimś ważnym w mieście i że nasza rodzina ma zapewnione mieszkanie i pracę do końca życia. Jednak rodzice o sprawie zapomnieli.

Zycie brutalne, faszystowskie toczyło się dalej. Mama pracowała u pani Henzel i była okrutnie traktowana przez nią i jej 6-letniego synka, który smagał ją biczem i krzyczał schnell, schnell (szybko, szybko) Maria. Na obiad dostała ziemniaki w mundurkach polane tłuszczem. Mama nie chciała tego zjeść mówiąc po niemiecku, że nie jest świnia i jada tak jak każdy człowiek. Najstarsza siostra była wywieziona do prac wykopkowych na polu, tam się przeziębila i wróciła w 1945 roku chora. Było to zapalenie płuc (galopujące suchoty), w tamtych czasach nie do wyleczenia. W wieku 18 lat, w 1948 roku zmarła, co było traumą dla całej naszej rodziny, że tak młoda osoba musiała odejść z tego świata poznając głównie okrucieństwa hitleryzmu.

Ja również ucierpiałam, kiedy bawiłam się przed domem, a przechodził dziesięcioletni Hitlerjungend, który kopnął mnie i pobił, bo nie ustąpiłam mu miejsca i nie powiedziałam „Hi, Hitler!”, a on nosił przecież niemiecki mundur.

Byłam też świadkiem jak gestapowiec uderzył mamę w twarz i nie można było nic zrobić; ojciec zakrył mi usta ręką, bo strasznie krzyczałam.

Również w okresie okupacji zginął w Oświęcimiu mój wujek zostawiając roczne dziecko i żonę w ciąży.

Aż nadszedł rok 1945, styczeń - zostaliśmy wyzwoleni przez wojska rosyjskie, wszyscy pobiegli na Rynek bardzo szczęśliwi i wtedy to pierwszy raz usłyszałam pieśń patriotyczną „Rota”, gdzie bardzo mocno były zaakcentowane słowa „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz ni dzieci nam germani!...” Potem był odśpiewany hymn Polski.

W lutym przysłano po ojca gońca, by przyszedł do Starostwa na ul. Mickiewicza.

Pan Kozłowski Konrad pierwszy starosta po wojnie, oznajmił ojcu, że zgodnie z obietnicą ma zapewnione mieszkanie i pracę w Starostwie.

Ja jako dziecko i później nastolatka oceniałam to jakbym weszła do bajkowego mieszkania, bo przecież przedtem mieliśmy jeden pokój i kuchnię bez jakichkolwiek wygód (bez prądu, wody, ubikacji itp.). A w Starostwie luksus - trzy pokoje, ubikacja i kuchnia - umeblowane, z centralnym ogrzewaniem i prądem i innymi wygodami.

Cała moja rodzina była bardzo szczęśliwa. W roku 1945, w listopadzie, urodził mi się brat.

Drugim takim elementem była piękna ulica Mickiewicza- drzewa; pachnące lipy rosły po obu stronach ulicy, na krawędzi chodnika gdzie schodząc się zielonymi gałęziami tych pachnących lip tworzyły piękny szpaler przez który zaglądały i oświetlały ulicę: wieczorem - przepiękne gwiazdy i księżyc, a rano - błękitne niebo i słońce.

I tak przy pięknej ulicy Mickiewicza, w budynku Starostwa, gdzie mieszkałam na drugim piętrze, spędziłam cudowne lata dzieciństwa i młodości.

Po ukończeniu Szkoły Maszynopisania, w roku 1952 mając szesnaście lat zaczęłam pracować już nie w Starostwie, a Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

Pracując skończyłam Liceum Ogólnokształcące w Poznaniu przy ul. Strzeleckiej, a później Szkołę dla Kierowników Administracyjno - Gospodarczych w Poznaniu. Pracowałam w planowaniu, w PPRN Wydział Rolnictwa i Leśnictwa, gdzie praca z kierownictwem układała się bardzo dobrze. W Wydziale Rolnictwa pracowałam 23 lata.

Mając 27 lat, w 1963 roku wyszłam za mąż, a wesele odbyło się w Starostwie, gdzie mieszkałam. Urodziłam syna i córkę dalej pracując w PPRN.

W związku z likwidacją powiatów w 1975 roku zostałam służbowo przeniesiona do Medycznego Studium Zawodowego w Śremie. Tam pełniłam funkcję Kierownika administracyjno-gospodarczego i zaadaptowałam

wraz z dyrektorem budynek po byłym Wydziale Rolnictwa i Leśnictwa i Urzędzie Skarbowym na szkołę i internat. Praca z dyrektorami Studium układała się też bardzo dobrze, co miało wyraz w moich awansach i podwyżkach.

W 1981 roku zmarła mi mama, co bardzo boleśnie odczułam, miałam jednak duże poparcie rodziny i pani dyrektor, co pozwoliło mi w miarę normalnie funkcjonować.

Dyrektorzy się zmieniali, a ja pracowałam w Studium do 1992 roku.

W 1990 roku zmarł nagle mój mąż mając 49 lat. Zostałam sama z dziećmi i była to dla mnie wielka tragedia. Rok później zmarł mieszkający u mnie ojciec, co pograżyło mnie jeszcze bardziej, bo odeszły najbliższe mi osoby: matka, mąż i ojciec.

W tym to czasie pełniła funkcję nowa p.o. dyrektor – osoba, którą ja pomażałam przyjąć do pracy. W 1992 roku pewnego dnia pani ta wezwała mnie do swojego gabinetu oznajmiając, że powinnam pójść na wcześniejszą emeryturę, gdyż spełniam wszystkie warunki. Ja jednak prosiłam bym mogła pracować jeszcze do listopada, gdyż otrzymałabym gratyfikację za przepracowane 40 lat – 40% pensji. Gratyfikacja moja była zaplanowana w naszym budżecie.

Przypomniałam również p.o. pani dyrektor o pomocy w przyjęciu jej do pracy. Jednak pani ta była bezwzględna i zmuszona byłam odejść na emeryturę i tu zaczęły się moje poważne problemy ze zdrowiem.

W grudniu tegoż roku zostałam zaproszona do pracy na Wigilię i przy tej okazji pani p.o. dyrektor podziękowała mi za tak owocną, dotychczasową pracę. Ja powiedziałam parę słów dziękując pracownikom obsługi za współpracę. Było mi bardzo przykro i smutno, bo praca byłaby dla mnie sposobem na życie. Gdy rozchodziliśmy się, to czułam, że coś złego się ze mną dzieje. Trzymałam się ściany, by dojść do sekretariatu i zadzwonić po syna (nikt się nie zainteresował, co się ze mną dzieje), a ja czułam, że nogi się pode mną uginają, szumi w głowie i spycha na prawą stronę. Gdy przyjechałam do domu, nie mogłam dojść do łazienki, bo nie mogłam utrzymać równowagi. Dzieci natychmiast zawiozły mnie na pogotowie. Stwierdzono udar mózgu spowodowany ogromnie wysokim ciśnieniem i położono na oddziale neurologicznym; mój stan był krytyczny, byłam nieprzytomna. Zrobiono mi punkcję, tomograf komputerowy i wiele szczegółowych badań. Działo się to wszystko w dniu 20 grudnia 1992 roku. Zaocześnie przyznano mi I grupę inwalidzką na stałe.

Było mi bardzo ciężko, bo jako osoba przedsiębiorcza i aktywna stałam się uzależniona od osób trzecich. Gdy człowiek intensywnie pracuje i jest na tzw. wysokich obrotach - czuje się potrzebny; stres natomiast potrafi bardzo osłabić odporność organizmu.

Gdy straciłam drogie mi osoby i pracę czułam się skrzywdzona i mniej potrzebna lecz miałam jeszcze dla kogo żyć, dla moich dzieci, które bardzo moją chorobę przeżyły i wspomagały mnie.

Dzieciom powiedziano, że stan jest bardzo ciężki i mają być na wszystko przygotowane.

Po kilku dniach odzyskałam przytomność, ale słabo widziałam, niewyraźnie mówiłam i wcale nie chodziłam.

Miałam porażoną lewą stronę ciała, brak czucia na temperaturę, jak również duży oczopląs i problemy z koordynacją. Stan mój trochę się polepszył poprzez moją silną wolę życia, dobrą opiekę lekarską, rehabilitację w szpitalu, a przede wszystkim poprzez największą, troskliwą opiekę moich kochanych dzieci, które uczyły mnie na nowo mówić i chodzić.

W szpitalu w Śremie byłam od 20 grudnia 1992 roku do 23 lutego 1993 roku. W domu opiekowały się mną dzieci i lekarz neurolog. Dzieci mnie trzymały i asekurowały, a ja codziennie chodziłam po korytarzu na moim piętrze, w bloku i szurałam nogami; chciałam koniecznie chodzić i być potrzebną. Dzieci mnie w tym bardzo dopingowały. Chcę podkreślić, że przez okres, kiedy leżałam w szpitalu nikt mnie z pracowników nie odwiedził, natomiast bardzo opiekowały się i interesowały słuchaczki Studium, które miały w tym szpitalu praktyki. Kilka lat dochodziłam do jakiegokolwiek formy poprzez króciutkie spacerki wokół bloku, do sklepu- zawsze w asyście dwóch osób, które mnie trzymały. Moje częste pobyty w szpitalu przez okres trzech do czterech lat spowodowały poprawę mojego zdrowia (chodzenia, mówienia, widzenia).

Jan Kochanowski napisał: „Szlachetne zdrowie nikt się nie dowie jako smakujesz aż się zepsujesz” i rzeczywiście, ten, kto nie choruje, nie ma obrażenia ani uczucia dla osób, które cierpią. Muszę nadmienić, że w tych ciężkich chwilach, kiedy miałam udar i dwie operacje byłam przygnębiona, miałam depresję.

Będąc w październiku 2005 roku w szpitalu, w Śremie (mój stan był bardzo ciężki) schudłam 10 kg, a w Poznaniu, w szpitalu w styczniu 2006 roku następne 10 kg. Córka szybko postarała się o usługi rehabilitacyjne i psychologiczne. Rozmowy z psychologami bardzo mi pomogły, nauczyłam się radzenia z niektórymi problemami, dbania o siebie, o swoje zdrowie. Rehabilitacja przyczyniła się do podniesienia mojej kondycji fizycznej (dziś mogę przejść kawałek sama). Gdy lekarz neurolog zobaczył, w jakiej jestem formie, jak się polepszył mój stan zdrowia - to nie mógł uwierzyć, bo to on kazał dzieciom na wszystko się przygotować.

Dziś dalej potrzebuję opieki, bo pozostałości po udarze nadal są i nie mogę samodzielnie funkcjonować. Bardzo często jeżdżę do lekarzy, do

wielu specjalistów (neurolog, kardiolog, diabetolog, endokrynolog, okulista nefrolog, gastroenterolog, chirurg naczyńniowy, laryngolog), gdyż od momentu udaru zaczął się problem ze zdrowiem wielu innych narządów. Choruję obecnie na nadciśnienie, cukrzycę, niewydolność nerek i serca, tarczycę, jaskrę, powikłania po cukrzycy i udarze (polineuropatia cukrzycowa), jestem po zabiegu zaćmy, woreczka żółciowego, po których mój stan był też bardzo ciężki.

Dziękuję Bogu za łaskę jaką mnie obdarzył pozwalając mi żyć - za miłość, nadzieję i wiarę - kocham to życie tu na ziemi. Jest to najprawdziwsza historia mojego życia.

Cieszę się bardzo, że po tak wielu ciężkich chorobach mój umysł sprawnie funkcjonuje i jestem sama zdumiona, że mam taką dobrą pamięć, co bardzo pomaga mi w pisaniu wierszy i refleksji. Dostałam drugie życie i chciałabym je dobrze i pozytywnie wykorzystać.

Pierwszą osobą, która mnie zdołingowała był pan Starosta, któremu opowiedziałam swoją historię życia w Starostwie. Miałam opisać w szczegółach ten budynek i teren wokół niego. I tak zaczęłam powoli pisać (w załączeniu moja książeczka „Moja historia od roku 1939-1945 - okres okupacji do roku 1945-2008 - po okupacji”.

Kocham życie i cieszę się, że mam różne zainteresowania np. lubię spotkania z koleżankami w kawiarce, piszę wiersze, kocham przyrodę, należę do kółka literackiego .

Brałam też udział w Satyrykonie (mówiłam napisany przeze mnie wiersz), gdzie honorowym gościem był Artur Andrus; otrzymałam nagrodę i dyplom i to mnie bardzo podbudowało. Uczęszczam również na Uniwersytet Ludzi Ciekawych Świata organizowany przez bibliotekę. Oczywiście, nie mogę uczestniczyć w tych przedsięwzięciach sama ze względu na mój stan zdrowia; towarzyszy mi w tym moja kochana córka.

Chciałam również nadmienić, że od 1994 roku córka postarała się o opiekę przez OPS w Śremie i tę opiekę mam do dziś. Później, a mianowicie w 2006 roku doszła opieka psychologiczna i rehabilitacyjna – bo choroba chorobę goni i nie mogę sobie poradzić z takim obciążeniem psychicznym.

Jestem bardzo wdzięczna pani dyrektor OPS-u za troskę, za serce, za przydzielenie mi opiekunki, rehabilitacji i psychologa. Dziękuję pracownikom PKPS-u za przysyłanie mi odpowiedniej, fachowej kadry.

Bardzo mi było ciężko i przykro kiedy odebrano mi w 2009 roku usługi psychologiczne. Zaczęłam sama szukać pomocy w innych miejscach i dowiedziałam się, że jest bezpłatna pomoc psychologiczna. Zadzwoiłam i poszłam na pierwsze spotkanie. Pani ta do dziś mnie wspiera, a ja jej

pomagam w pisaniu wierszy do programu „Drzewo życia, moja droga, pozwól mi żyć i czuć, tęsknię za normalnością”.

Najdroższą dla człowieka rzeczą jest życie. Dane ono jest tu na ziemi raz człowiekowi i trzeba przeżyć je tak, aby nie płonąć ze wstydu za lata przeżyte bez celu...

Całe życie, wszystkie siły oddałam rzeczy najpiękniejszej na świecie-pracy, która dawała mi dużo satysfakcji, troski o życie, miłości do Boga i do ludzi, do śpiewu, do wierszy, do literatury, do czynienia dobra oraz wychowywania dzieci i uczenia ich szacunku dla innych, uczenia ich wiary, nadziei i miłości.

Zawsze walczyłam o piękno, o estetykę. To piękno jest wśród nas, świat jest piękny: kwiaty, morza, góry, łąki, lasy - zatem piękno przyrody martwej i żywej.

Troska o życie jest odbiciem wiary, która mówi „*Otoczmy troską życie*”.

Boże, byłeś moją nadzieją w chorobie, w dniach samotności, niepokojem w chwilach zwątpienia i pewnością w chwilach wiary.

Życie jest odbiciem miłości i wiary. Przeważnie każdy ofiarowuje, z obojętnie jakiej okazji, czy to imienin, czy spotkania z kimś bliskim - kwiaty. Jest to wyrażenie szacunku, miłości i nadziei; ale w tych kwiatach zobaczy tylko więdnące piękno. Ale jeśli zachwyci się kwiatem rosnącym na łące, w ogrodzie, zatrzyma go na zawsze w pamięci. Bo ten kwiat jest nieodłączną częścią wieczoru, zachodu słońca, zapachu wilgotnej ziemi i chmur na horyzoncie. A czy miłość dwojga ludzi, to nie życie? Powstaje nowy człowiek, którego musimy karmić, kochać, tulić, szanować i dawać mu tyle miłości i ciepła, aby czuł się potrzebny i bezpieczny.

Narodziny dziecka uważam za „Cud Boski”.

Cierpienie

Cierpienie - to cierpienie duszy i ciała. Trzeba się poddać cierpieniu, nie opierać się. Pogodzić się z nim. Przyjąć je w zupełności i uczynić z niego cząstkę życia. Idziemy do lekarza by ratował nasze cierpienie, nasze ciało. Ale również modlimy się do drugiego lekarza - Boga, który ratuje naszą duszę i daje nam dalej życie. Wszystko, co z życia czerpiemy, podlega pewnej przemianie:

Cierpienie musi stać się miłością - oto cała tajemnica. Wszystkie cierpienia pochodzące z zewnątrz są niczym w porównaniu z ciemną nocą duszy.

Cierpię, ale budzę się rano i myślę, jaki to wspaniały skarb żyć, oddychać i móc się radować. Życia nikt nie otrzymał na własność, lecz po to, aby wszyscy je dobrze wykorzystali.

Dar uzdrawiania ludzi i mnie jest łaską, ale łaską jest również umiejętność godnego życia, miłości bliźniego, poszanowania pracy.

Szacunek

Szacunek, jest to grzeczność połączona z troską o uczucia i dobro drugiej osoby.

Jest podstawą wszystkich wartości moralnych.

Jeśli mamy szacunek i zaufanie dla siebie i dla innych ludzi, respektujemy także pozostałe wartości moralne - nie kłamiemy, nie kradniemy, nie krzywdzimy innych, nie zaniedbujemy swych bliskich, swych powinności ani talentów. Staramy się postępować mądrze i sprawiedliwie, dbamy o przyrodę i piękno aby służyły nam i innym. Każdy człowiek jest godny szacunku, nawet dziecko.

Sposobami okazywania szacunku jest uśmiech, przyjazne patrzywanie w oczy, używanie kulturalnego języka, drobna pomoc, dotrzymanie słowa, prawdomówność, punktualność, słuchanie cudzej wypowiedzi bez przerywania, sprzątanie po sobie, niezakłócanie spokoju innym, nieużywanie cudzych rzeczy bez zgody właściciela itp.

Im więcej okazujemy szacunku innym ludziom, tym więcej go do nas wraca.

Chcę nadmienić, że kiedy byłam w ciężkim stanie (po udarze), wzbudzałam wśród znajomych litość i współczucie, a teraz ci sami ludzie przez swoje zachowanie i nietakt w postaci uszczypliwych uwag typu: „Ty jesteś chora? Chciałabym tak wyglądać!” zadają mi ból; ale tak naprawdę to moich chorób by nie chcieli, tylko mój wygląd. Jak już wspomniałam jestem kobietą zadbaną, dużo też w wyglądzie pomagają mi geny rodzinne. Zastanawiam się, co powoduje u ludzi taką reakcję - zazdrość? Przecież każdy może ładnie wyglądać ubierając się gustownie i schludnie.

Chciałam podkreślić, że z początku wstydziłam się pisać wiersze, bo nie wierzyłam w siebie.

Jednak moje obawy dzięki Pani Psycholog, która mnie przekonywała, że dobrze piszę, pomału zostały pokonane.

Otworzyłam się. Czerpałam inspirację po prostu z życia, takie, jakie jest, wspomnienia o przyrodzie, bo bardzo uwielbiam naturę, a potem wątki autobiograficzne - coraz bardziej odważnie.

Pisałam też o wydarzeniach, klęskach i komentowałam te wydarzenia.

Moim marzeniem byłoby, bym mogła wydać moje wiersze, chociaż część na terenie mojego kochanego miasta Śrem.

Bardzo bym chciała, żeby została pamiątka nie tylko po mnie, ale również po ojcu, o którym tyle pisałam, o naszej, naprawdę wielkiej historii rodzinnej.¹⁴

14. Do pamiętnika były dołączone wiersze, ale ze względu na rodzaj publikacji redakcja postanowiła ich nie zamieszczać.



Sławko

O d urodzenia byłem radośniejszy od innych. Mama była bardzo ciepłą osobą, ale odkąd pamiętam Tata pił i przyjeżdżał z pracy pijany. Wtedy jeszcze nie rozumiałem tak jak teraz że był chory, uzależniony. Gdy widziałem Tatę w takim stanie podczas awantur w domu, obiecywałem sobie, że nigdy nie będę pił alkoholu ani palił papierosów, że ja taki nie będę. Mama starała się ukrywać nałóg ojca, zrozumieć go, ale widziałem też, że było jej bardzo wstyd. Moja starsza siostra zawsze stawała w obronę mamy, ale ja byłem jeszcze za mały, żeby cokolwiek zrobić.

Po śmierci taty miałem 18 lat i właśnie na koniec szkoły zawodowej przypadł mój pierwszy kontakt z alkoholem. Zauważyłem, że od razu stałem się odważniejszy, także w stosunku do dziewcząt, w towarzystwie grałem pierwsze skrzypce. Spodobało mi się to do tego stopnia, że moja wcześniejsza obietnica przestała się liczyć. Liczyło się tylko to, że wreszcie nie wstydziałem się ładnych koleżanek i sam potrafiłem rozpocząć kontakt. Coraz więcej wolnych dni spędzaliśmy na dyskotekach, gdzie alkohol był nieodłączny. Do tego wszystkiego po nieukończonyj szkole zawodowej rozpocząłem dorywcze prace na budowie i wciąż szukałem mojego miejsca w życiu. Zawsze byłem tylko pomocnikiem, choć chciałem coś tworzyć, wymyślać samodzielnie. Moje życie prywatne to tylko przelotne znajomości - powoli alkohol i koledzy stawali się ważniejsi nawet od tego żeby z kimś być. Czuję się wykluczony z życia, gdyż alkohol po części stał się moją protezą, bez której nie potrafiłem sobie radzić z codziennością, cieszyć się życiem. Alkohol musiał być zawsze obecny, zarówno w chwilach radości jak i smutku.

Pomimo tego udało mi się poznać dziewczynę z sąsiedztwa, która bardzo mnie pokochała i była w stanie wybaczyć mi wszelkie wysoki - a tych było coraz więcej. Nie byłem przekonany na początku co do tego związku, ale z czasem pokochałem ją za jej dobry charakter, cierpliwość i serce. Jej rodzice od początku mnie nie akceptowali, co teraz rozumiem: moje zachowanie pod wpływem alkoholu było zupełnie inne od tego jaki jestem na co dzień. Stawałem się agresywny i coraz częściej słyszałem od innych, że powinienem odwiedzić psychiatrę i zgłosić się na leczenie. W pracy koledzy zawsze mi dokuczali, wyśmiewali się bo na co dzień byłem bardzo dobrotliwy i pogodny - wystarczyło, że raz przyszedłem do pracy pijany a już zaczęli się mnie bać.

Mój związek stawał się coraz bliższy, ale jednocześnie bałem się że nie poradzę sobie jako głowa rodziny. Po kilku latach wciąż chodziliśmy ze sobą, ale bałem się odpowiedzialności zostania mężem i ojcem. Coraz bardziej brnąłem w nałóg, zaczęły się kilkudniowe ciągi w przerwie od pracy. W końcu straciłem pracę nie tylko ze względu na redukcję etatów, ale i na

moje nasilające się picie. Rok żyłem z zasiłku, później podejmowałem się dorywczych prac, gdzie oczywiście wciąż przewijał się alkohol. Wtedy już czułem, że wymagam fachowej pomocy a moja dziewczyna zaraz mnie zostawi. Próbowałem kontrolować alkohol poprzez unikanie kolegów, ale najdłużej udało się wytrzymać miesiąc. Wtedy to pojawiły się próby z narkotykami i łączenie ich z alkoholem. Widziałem, że krzywdzę najbliższych, nie potrafię przestać pić, i nawet już alkohol nie sprawiał mi takiej przyjemności jak kiedyś. W tej matni przestałem dostrzegać sens dalszego życia, nie chciałem dłużej żyć pijąc.

Pewnego dnia mama wyszła z domu odwiedzić przyjaciela, a ja postanowiłem że to jest ten dzień kiedy z sobą skończę. Założyłem na szyję różaniec, mimo że nie byłem wtedy szczególnie wierzący i napisałem list do mamy z prośbą o wybaczenie i wytłumaczenie wszystkiego mojej dziewczynie. Podciąłem sobie żyły, ale w tym czasie zemdlałem. Obudziłem się w nocy widząc, że straciłem dużo krwi. Byłem zbyt słaby, żeby się podnieść więc mama znalazła mnie dopiero nad ranem. Na pogotowiu pozszywali mi rękę. Gdy tylko doszedłem do siebie, psychiatra jeszcze w szpitalu przeprowadził ze mną wywiad i skierował do szpitala psychiatrycznego, gdzie odbyłem siedmioletnią terapię uzależnień. Uwierzyłem, że wygram z alkoholem. Wkoło miałem pozytywne przykłady innych ludzi, którzy dawali mi siłę: jeden z terapeutów był niepijącym alkoholikiem. Po terapii byłem przekonany, że to koniec moich problemów z alkoholem. Rozpocząłem udział w spotkaniach AA i powoli zacząłem się zmieniać jako człowiek: zbliżyłem się do Boga, kupowałem książki religijne i uczęszczałem do kościoła. Byłem jak natchniony, bardzo radosny. Zacząłem interesować się egzorcyzmami, bo byłem przekonany, że będę musiał stoczyć o siebie walkę ze złem. Ja czułem się w porządku, ale ludzie wkoło znów zaczęli zauważać, że dzieje się coś dziwnego, niepokojącego. Doszło do tego że od rana do wieczora tylko się modliłem - byłem przekonany że to jest właściwe.

Któregoś wieczora odwiedziła mnie moja dziewczyna. Czułem w środku, jakby wstępował we mnie zły duch i że zaraz mogę być dla niej zagrożeniem. Dlatego wypędziłem ją z domu, aby ją ochronić przed tym czymś strasznym, niewiadomym we mnie. Gdy mama wróciła, wydawało mi się, że zły duch jest w niej i przyłożyłem jej lichterz do głowy. Na szczęście też uciekła z domu i zostałem sam. Uznałem, że ten zły duch mieszka we mnie i jedynym sposobem żeby go pokonać, muszę zaatakować samego siebie. Tym razem targnąłem się na moja drugą rękę i trafiłem na oddział chorób psychicznych.

W głowie słyszałem przekleństwa przede wszystkim religijne, obrażające

Boga i Maryję. Pojawił się lęk przed ludźmi - wszyscy wydawali mi się zagrożeniem. Gdy widziałem kogoś znajomego, szybko przechodziłem na drugą stronę, bałem się nie tylko rozmawiać, ale i jakiegokolwiek styczności z drugim człowiekiem. Wtedy stwierdzono u mnie schizofrenię. Nie miałem pojęcia co to jest, bo chorych psychicznie zawsze traktowałem z góry, lekceważąco. Pomyślałem, że znalazłem się w piekle i nie wiedziałem za co tam trafiłem. Byłem kompletnie przerażony, widziałem zupełnie niestworzone rzeczy, które na zewnątrz szpitala nigdy nie miałyby miejsca. Moje otoczenie było załamane, ponieważ spodziewaliśmy się, że po odwyku alkoholowym wszystko wróci zupełnie do normy. Moja chorobę otaczał wstyd, dużo osób odwróciło się ode mnie z powodu niewiedzy. Po części było mi to na rękę, gdyż i tak nie chciałem nikogo widzieć. Z moją dziewczyną umówiliśmy się na spacer do parku. Nie zapomnę tego końca życia - ona płakała, a my mówiliśmy sobie, że jedynym wyjściem jest rozstanie. Nie winię jej za to, że wystraszyła się tego, kim wtedy byłem.

Od tego czasu minęło 9 lat i mieszkam z mamą. Dopuszczam możliwość, że kiedyś jeszcze się z kimś związę. Po zakończonej hospitalizacji leczyłem się w mojej Poradni Zdrowia Psychicznego, gdzie zacząłem uczęszczać na spotkania grupy samopomocowej, zrzeszającej osoby z podobnymi problemami. Do dzisiaj czuje się związany z tą grupą i utrzymuję z nimi kontakt. Leczyłem się już kilka lat, gdy pracownik socjalny zaproponował mi udział w wypoczynku letnim organizowanym przez Środowiskowy Dom Samopomocy. Byłem wylękniony, że nie sprostał przebywaniu z ludźmi sporą część dnia, ale po dwóch latach zdecydowałem się zostać uczestnikiem Środowiskowego Domu. Traktuję to jako pracę nad sobą i moim charakterem, naukę cierpliwości, dopasowywania się do innych, miłości i życzliwości do drugiego człowieka. Jestem dużo mniej przygaszony, gdyż przyjmuję niską dawkę leków i wśród ludzi uczę się odwagi i polegania na sobie.

Najgorsze wykluczenie jakie odczułem wiązało się jednak ze schizofrenią, gdyż ona początkowo zupełnie odcięła mnie od innych. Bałem się ludzi, codziennej niepewności, obsesyjnie sprawdzałem, czy w domu wszystko jest w porządku. Do dziś myślę, że ciężko byłoby mi stawić czoła codzienności, pracy rodzinie i odpowiedzialności. Staram się czerpać satysfakcję z tego jak żyję tu i teraz. Alkohol który kiedyś był moim problemem zdejmował ze mnie odpowiedzialność za moje postępowanie - teraz wiem że odpowiadam sam za moje życie. Nie upiększam go używkami tylko stawiam mu czoła takie, jakie jest. Wybaczyłem sobie i czekam na dzień, kiedy znów będę mógł się cieszyć z małych rzeczy.

Wiesław



Urodziłem się 29 stycznia 1964 roku w Słupsku. Nie pamiętam swojego rodzinnego domu, gdyż od czwartego roku życia przebywałem wspólnie z moimi starszymi braćmi Ryszardem i Alojzym w Domu Dziecka. Gdy podrosłem opowiedzieli mi Oni, iż nasi rodzice nadużywali alkoholu, w domu nigdy nie było spokoju, częste awantury połączone ze znęcaniem się nad nami, doprowadziły do odebrania im praw rodzicielskich. Nie pamiętam aby kiedykolwiek nas odwiedzili, nawet o śmierci ojca dowiedzieliśmy się od wychowawców, nie wiem dlaczego ale nie byliśmy na pogrzebie. W Domu Dziecka przebywałem do osiemnastego roku życia, był to bardzo trudny okres, ciężko było myśleć o tym, że inni mają swój własny dom, rodziców a moi będąc tak blisko w ogóle się mną nie interesują. Dochodziły do mnie tylko nieprzyjemne informacje, że mama po śmierci ojca pograżyła się jeszcze bardziej, cały smutek, żal, rozgoryczenie trzymałem w sobie. Pomimo różnych przeciwności ukończyłem szkołę zawodową, zdobyłem zawód murarza, bracia się usamodzielnili, przeprowadzili się do swoich mieszkań i założyli rodziny a ja nadal mieszkalem w Dom Dziecka. Utrzymywaliśmy ze sobą kontakt, pomimo iż mieszkaliśmy w różnych miejscowościach. W wieku osiemnastu lat zostałem powołany do wojska, w trakcie mojej służby zginął tragicznie brat Ryszard, następnie dowiedziałem się o tragicznej śmierci mojej znanej tylko ze słyszenia mamy. Brat Alek przeprowadził się wraz ze swoją rodziną na Śląsk, nasze kontakty bardzo się rozluźniły, początkowo kilkakrotnie zapraszał mnie na święta, jednak później nasz kontakt ograniczył się tylko do rozmów telefonicznych, żona brata Ryszarda całkowicie się odseparowała. Po roku służby w wojsku przeniesiono mnie do rezerwy ze względu na przebytą operację. Po powrocie ze szpitala podjąłem pracę w moim wyuczonym zawodzie, zamieszkałem w hotelu pracowniczym. Początkowo wszystko układało się dobrze, jednak po jakimś czasie zatrichęłem chęć do życia, izolowałem się od kolegów w pracy, zacząłem bać się zamkniętych pomieszczeń, miałem silne stany lękowe, słyszałem różne głosy w głowie, błądziłem po dworcach bez jakiegokolwiek celu, smutny, przygnębiony, zdezorientowany, ludzie obok patrzyli na mnie z politowaniem, szyderczym uśmiechkiem na twarzy, a czasem z lękiem i niepokojem. Nie uszło to uwadze pracodawcy, za jego namową udałem się do lekarza zakładowego, który skierował mnie do szpitala psychiatrycznego w Starogardzie Gdańskim. Tam po długotrwałej obserwacji dowiedziałem się, że jestem chory na schizofrenię paranoidalną, która najprawdopodobniej zaczęła się rozwijać już bardzo dawno. Opuszczenie przez rodziców, pobyt w Domu Dziecka, gdzie nie zawsze byłem rozumiany, śmierć bliskich, utrata kontaktów z jedynym bratem, przyczyniły się z pewnością do

rozwoju choroby. Mój pobyt w szpitalu trwał trzy i pół roku, nie mogłem wrócić do poprzedniej pracy, gdyż nie było tam już miejsca dla „psychola”. Zmieniłem miejsce zamieszkania i zakład pracy, jednak nowe środowisko dowiedziało się o mojej chorobie, nie patrzyło na mnie przychylnie, zaczęły się szykany, wyśmiewali się ze mnie, poniżali mnie, nie mogłem sobie z tym poradzić i choroba zaczęła na nowo dawać znaki osobie z jeszcze większym nasileniem. Na powrót trafiłem do szpitala, tym razem na dwa i pół roku. Długotrwały pobyt w szpitalu psychiatrycznym, pogarszający się stan zdrowia, brak bliskiej rodziny, niemożność podjęcia pracy, brak mieszkania, nie radzenie sobie z problemami związanymi z codziennością spowodowały, iż zaproponowano mi pójście do Domu Pomocy Społecznej w Damaszce. Nie widząc innego rozwiązania skorzystałem z tej możliwości, z lękiem i obawą weszłam w nowy okres swojego życia. Dzięki wyrozumiałości terapeutów i osób podobnie jak ja doświadczonych przez los i zmagających się z różnymi przypadłościami, nauczyłem się na powrót żyć. Chyba po raz pierwszy miałem możliwość rozwijania swoich zainteresowań, tj.: tenis stołowy i ziemny, unihoc, koszykówka, siatkówka, piłka nożna. Odnalazłem wiarę w swoje siły i nadzieję na zwykłe proste życie, nareszcie znalazłem miejsce na ziemi, czułem się potrzebny i doceniany. Nauczyłem się tam jak sobie radzić z trudnościami na co dzień, podejmować właściwe decyzje, szanować siebie i innych, nie tylko brać ale i również dzielić się. Moja praca i postawa sprawiły, iż zaproponowano mi zamieszkanie w Mieszkanium Chronionym w Tczewie, obawiałem się czy poradzę sobie z nowym wyzwaniem, czy znajdę akceptację w nowym prawie całkowicie nieznanym mi środowisku, czy tak jak kiedyś nie spotkam się z szykanami, wyzwiskami, brakiem tolerancji?. Podjąłem decyzję i wspólnie z trzema panami zamieszkałem w dwu-pokojowym mieszkaniu z łazienką, aneksem kuchennym, przylegającym do Środowiskowego Domu Samopomocy. Pod dyskretnym okiem pracowników Tczewskiego Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej wkroczyłem w prawie całkowicie samodzielne życie. Obawy zaczęły znikać, wokół spotkałem dużo ludzi dobrej woli, którzy w trudnych chwilach są zawsze w pobliżu. Praca woltarystyczna, którą wykonuję na rzecz MOPS-u daje mi dużo satysfakcji i wiary we własne możliwości, dzięki niej poznałem wielu wartościowych ludzi, którym nie przeszkadza fakt iż jestem chory, traktują mnie na równi z sobą, nawiązałem dużo nowych znajomości i przyjaźni, uczestnictwo w zajęciach terapeutycznych w Środowiskowych Domach Samopomocy pozwala mi na dalsze rozwijanie moich zainteresowań oraz daje mi możliwość rozwijania nowych. Pomimo choroby i pewnych ograniczeń z nią związanych, czuję się wartościowym człowiekiem, który nie tylko

bierze pomoc, ale udziela jej również innym potrzebującym. Nie ztraciłem kontaktu z Domem Pomocy w Damaszce, który w chwili gdy nie miałem gdzie się podziąć otworzył przede mną swoje drzwi i tchnął wiarę we własne siły. Moim marzeniem jest całkowite usamodzielnienie się, zamieszkanie we własnym mieszkaniu, myślę że dzięki pracy nad samym sobą i przy pomocy przychylnych mi ludzi moje marzenie może się spełnić. Jestem na ten moment na dobrej drodze, konsekwentnie dążę do sobie wybranego celu, zwracam uwagę na to aby dbać o swoje zdrowie, prawidłowe kontakty z ludźmi, nie chcę się już nigdy tak czuć jak przed laty, osamotniony, niechciany i wyśmiewany.



Wojciech

Mam na imię Wojtek, jestem osobą niepełnosprawną. Wspominając dawne czasy widzę w myślach radosne i smutne dni. Były to dni mojego dzieciństwa i dorastania. Gdy miałem siedem lat chodziłem do normalnej szkoły na moim osiedlu. Jednak nie radziłem sobie z nauką. Nauczyciele w drugiej klasie stwierdzili, żeby przenieść mnie do szkoły specjalnej. Na początki było mi bardzo trudno, mam dużą wadę wymowy przez co nowi koledzy naśmiewali się ze mnie. Nie rozumiałem dlaczego musiałem zmienić szkołę – przecież tam zostali wszyscy znajomi z osiedla i miałem blisko do domu. Z czasem jednak koledzy mnie zaakceptowali, a nauka nie przynosiła już takich trudności. Poczuję się lepiej. Szkołę zakończyłem na zawodzie ogrodnik.

Po skończonej edukacji zarejestrowałem się w Urzędzie Pracy jako bezrobotny. Jednak długo nie mogłem znaleźć pracy w zawodzie. Po pół roku dostałem ofertę z firmy zajmującej się produkcją schodów. Na umówioną rozmowę kwalifikacyjną poszedłem z tatą – który do dziś wspiera mnie w każdej sytuacji. Czuję się niepewnie. Pan zadający mi różne pytania stwierdził, że nie poradzę sobie na proponowanym stanowisku. Byłem bardzo przygnębiony tą sytuacją.

Mając wsparcie rodziny i za ich namową postanowiłem szukać dalej. Tak trafiłem na rozmowę do McDonald's. Najpierw miałem dwutygodniowe szkolenie, po którym zostałem zatrudniony. Cieszyłem się jak dziecko. W pracy było fajnie, koledzy nie traktowali mnie źle, byli mili. Jednak po roku zmienił się kierownik i poprzeczka wymagań została postawiona wyżej. Stało się - stwierdził, że pracuję za wolno i zostałem zwolniony. Był to dla mnie ogromny cios. Po raz kolejny ktoś uznał, że nie nadaję się do pracy. Byłem zrezygnowany. Bałem się czy kiedyś będę umiał sprostać wzrastającym wobec mnie oczekiwaniom.

Mijały tygodnie. Po kolejnej wizycie w Urzędzie Pracy dostałem ofertę. Miałem wykładać towar na półkach w hipermarkecie. Po rozmowie z kierownikiem zostałem przyjęty. Ucieszyłem się, że los się do mnie uśmiechnął. Znowu mogłem pracować. Niestety moja radość nie trwała zbyt długo. Po około dwóch tygodniach szef wezwał mnie na rozmowę. Myślałem, że będzie tak jak mówili mi koledzy: „Wojtek jesteś tak dobrym pracownikiem, na pewno dostaniesz podwyżkę”. Jednak okazało się zupełnie inaczej. Znowu zostałem zwolniony. Kierownik stwierdził, iż pracuję za wolno i nie nadaję się na to stanowisko. Było mi strasznie przykro.

Całymi dniami dochodziłem do siebie, byłem zrezygnowany i zniechęcony. Świat wydawał mi się bezsensu, a ludzie okrutni. Przecież ja tylko chciałem pracować, wykonywałem swoje obowiązki. Nie mogłem zrozumieć dlaczego tak mnie potraktowano.

Na szczęście otaczała mnie wspierająca rodzina. Siostry bardzo mi pomogły. Przekonały mnie, że powinienem skorzystać z oferty Środowiskowego Domu Samopomocy. Uczęszczam do ośrodka już dwa lata. Znalazłem tu wsparcie i zrozumienie. Spełniam się podczas zajęć w poszczególnych pracowniach – często jestem chwalony, pomagam kolegom i koleżankom. Teraz wiem, że tu jest moje miejsce. Jednak czasami wracam do chwil, gdy pracowałem i czuję smutek. Dlaczego Ci wszyscy ludzie – między innymi kierownicy, którzy mnie zwalniali nie chcieli dać mi szansy i dyskryminowali mnie jako pełnowartościowego członka społeczeństwa? Może nigdy nie uzyskam odpowiedzi na te pytania. Cieszę się, że mam teraz swój ośrodek, swoje miejsce. Znalazłem tu ludzi, na których mogę liczyć.



POLSKA

**Kazimierz
Wosiek**

KOMINEK

... gdy skręcamy w boczną drogę, jak w innym świecie. Mimo, że niecałe 10 kilometrów od centrum Olsztyna, cisza aż dzwoni w uszach. Pola, spokój, bociany. Kręta droga w wąwozie, wąska na jeden samochód, obsadzona wierzbami, pięknie zielone pola i te piaszczyste pagórki w tle i te piękne sosny strzeliste. Pierwszy raz wszyscy tu jesteśmy i każdy z nas pomyślał o tym samym: taki ładny domek jak ten za zakrętem, widok na pola i sosny, kominek w środku, ach całe życie tu mieszkać...

BÓL

...trzy osoby w dwóch pokojach, matka z córką, mężczyzna. Czysto i biednie. Nikt nie pracuje, w marcu cały dochód - jaki tu dochód?; dwa miliony. [Dwieście złotych? *No tak, dwieście złotych*]. *Na święta na chleb prawie nie mieliśmy*, płacze mówiąc pani Weronika, 60-letnia kobieta, od 6 -ciu miesięcy przykuta do łóżka. Diagnoza lekarska - lumbago, dyskopatia, ischias. - *W szpitalu naszpikowali mi seriami po kilkadziesiąt zastrzyków przeciwbólowych, kroplówki, wymiotuję od lekarstw, wrzody*. W takim stanie w jakim trafiła do szpitala, w takim wyszła, osłabiona jedynie lekarstwami, chudsza o parę kilo. - *Nie, nie mam pretensji do lekarzy, uczciwie zapytali mnie czy mam 3 miliony na rezonans magnetyczny. Wyślemy panią do Warszawy. Boże, 3 miliony. Obsesyjnie trzyma się tej nadziei, - To by mi pomogło. A tak wypisali mnie po prostu. I tak w domu leżę od 6 miesięcy, nikt, żaden ze sąsiadów ani razu nie był u mnie*.

Do pegeeru przyjechała 20 lat temu. PGR a ona dama z miasta. - *Nikt ze mną nie rozmawiał, dwie córki, - mąż?, zakochałam się, młodość, wiecie państwo, ładna byłam, on milicjant poszedł w świat... szepcze. - Niech córka tego nie słyszy, byłam młoda, ładna, żyć się chciało, pełnia życia, rodzice wyrzucili mnie z domu. Ale przecież córka zna pani życie, dobrze wie, przecież to życie... - Tak życie, och Boże jak ja chcę żyć, chodzić, cieszyć się jeszcze życiem. Tak dłużej nie wytrzymam, oni też mnie mają dosyć, nocami z bólu wyję, wezmę te tabletki i niech będzie spokój. Żal córek i tego, że nic im nie mogę dać*.

Basia 25 - letnia, bezrobotna. - *Nie przedłużono jej umowy o pracę w szpitalu, lubili ją, teraz dostała anemii, leżała tydzień na samych kroplówkach, teraz cała torba jakiś tabletek*. Anemiczna, uśmiechu dawno na twarzy nie było. Twarz jakaś skurczona, brzydka, 25 lat i więcej zmarszczek niż u matki włosów.

Ze zgrzyoty o matkę?, ze zgrzyoty o własną traconą młodość? - *Tu nic już nie ma, jak pracowałam w szpitalu znałam ludzi, tu na wsi jestem sama, kto*

mógł już wyjechał. Miałam chłopaka..., nie nic nie powiem... Nic się nie pytamy.

- Usunęłam, płacz, wychodzi. Wraca, chce powiedzieć o sobie, ale milczymy. I my i one.

Matki jej szkoda, może mieć jej dosyć, jej nocnego wycia, nie mówią tego, ale to czuć. Obie czekają, ale wiedzą, że nic nie powiemy. Tu już niczego nie ma, nawet widok zza okna ponury, brud.

- Wcześniej pracowałam jako kelnerka - zaczyna powoli, cicho, nauczyłam się, obsługiwałam klientów, parę groszy na lewo było, o coś z właścicielem poszło wyrzucił z dnia na dzień. Gdy zagroziłam sądem, zapłacił za pół miesiąca, ale powiedział, że w żadnej knajpie pracy nie znajduję. I tak bym nie znalazła, bo gdzie tu knajpa? Siedzę w domu, nic nie mam, ochoty do pracy też nie. Zresztą gdzie ją szukać? Ze szpitala przynajmniej wypłacili 180 tysięcy, resztę w maju dadzą.

Mieszkanie nie jest ich, pan Józef, lat 48. - Pracował w pegeerze, po likwidacji na bruk - jaki tu bruk?, ale 800 tysięcy zapomogi dali, jakoś żyliśmy. Niech państwo nie myślą, że to mój..., no mój...; ależ nas to nie obchodzi, przecież nie ma zresztą w tym nic złego; nie znacie wsi - nie miałam gdzie mieszkać, znam się z nim od młodości, dobry człowiek, ale on jest taki..., no wiecie, 3 klasy ukończył, jak przychodził piątek, cały pegeer pił, on nie pijący to i nieraz po głowie dostawał. On nic nie umie, niezadany taki, no za głupka go wszyscy mają - wydusza z siebie pani Weronika.

- Chodź, przywitaj się z państwem. Siada bokiem, schowany za drzwiami, nie patrzy na nas, zażenowany? nie lubi, nie chce rozmawiać z ludźmi? Widać, że nie tylko z obcymi. Ze swoimi też nie potrafi rozmawiać.

Ma pan rentę? Patrzy na Weronikę. - On nie pójdzie do żadnego lekarza, wstydzi się, że lekarz napisze mu, no wiecie, że jest, no wiecie... przygłup.

Odzywa się, dziwnym, cichym głosem - Byłem w urzędzie zatrudnienia, jak zamknęli pegeer, dali mi skierowanie na kierowcę ciągnika. Patrzymy na siebie ze zdziwieniem - gdzie Rzym, gdzie Krym - a umie pan jeździć na ciągniku? - Nie, ale oni wszystkim dawali na ciągnik. A ja..., ja... nie umiem, gnój zwałęm tylko, to się panienki w urzędzie pośmiały. Ja też.

- On dobry człowiek - mówi Weronika - szyszek, drewna z lasu przyniesie, w piecu napalimy, w ogródku grzebie cały dzień.

- Pracowałem u takiego jednego, siałem, 40 tysięcy dostałem, ale to było w tamtym roku, teraz nic nie ma. Jak zlikwidowali pegeer dali nam świniaka i trochę groszy. Teraz nie ma z tego już nic.

Dokumenty, świadectwa pracy? - Przedtem gdzieś pracowałem, ale nigdzie nie pojedę, kogo będę szukał. Napisze pan - wrywa mi się - napisze pani w jego imieniu, to przecież się liczy, do renty czy emerytury, trzeba o to

walczyć, to żadna łaska. - *No tak, tak zrobimy...*

- *Teraz to i dobrze mamy, przedtem woda zamarzła, ubikacja na dworze, piec rozsadziło, codziennie 8 kilometrów pieszo do pracy i z powrotem. Trochę w domu poprawiliśmy teraz, przytulnie prawda?, bez żadnej nadziei na pozytywną odpowiedź mówi, stękając pani Weronika.*

- *Ale teraz pegeeru nie ma, nie ma pracy, za mieszkanie nie płacimy, bo i z czego?, tylko za prąd, bo telewizora szkoda wyłączyć; wnuczek go zostawił, idzie do wojska, program do końca oglądam.*

I znowu ból, krzyk i płacz.

- *Druga córka ma już 40 lat, sama niedawno miałam tyle, ale byłam..., no, córka starszej wygląda niż ja teraz. Mieszka na stacji, bez pracy, ma tylko alimenty, jeden syn idzie do wojska, drugi w domu, ukończył 8 klasę, nie miał na autobus do Olsztyna, siedzi w domu. Ale to dobre wnuki, telewizor mi przywiózł i zostawił. Drugi czasem wpadnie. Ale rzadko... Wezmę te tabletki kiedyś i niech...*

CISZA

... jedziemy do pobliskiego Urzędu Gminy. W samochodzie milczymy.

Elu, kogo ci najbardziej żal? Jego. Mnie też...

NADZIEJA

...spodziewaliśmy się urzędnika, paragrafów, nic nie można, rozporządzenia, ustawy. Rozczarowanie, ale jakże miłe. Kierownik Ośrodka Pomocy Społecznej obiecuje większą pomoc, przyśle karetkę, sprawę zna, widać do sprawy podchodzi z sercem. Realia - dostają największą z możliwych pomoc finansową, limit mam już przekroczony o 20 milionów, wiosna, ale już muszę myśleć co będzie w zimie. W gminie z pomocy społecznej korzysta ponad 300 rodzin. Zęby w ścianę...

BO TAKA JEST POLSKA

... po powrocie, idziemy do Ważnego Urzędnika. Znamy go, wiemy, jakie ma wrażliwe serce, ponadto dużo może, ale bardziej szukamy odpowiedzi na pytania. Opowiadamy, pytamy jak to się dzieje - pegeer zlikwidowany, zostaje facet bez dokumentów, bez środków do życia; nikt nie zadbał o świadectwa pracy, o jakąś minimalną egzystencję..., - *To wy k...a nie wiecie w jakiej Polsce żyjecie ! Tak się robiło..., co ja mogę...* Wiemy, Jurku, wiemy, cicho już...

EPILOG

Pomoc w leczeniu była. Czy inna /i jaka?/ pomoc ludziom, którzy z nie swojej winy nie potrafili odnaleźć się w nowej rzeczywistości, bo latami nauczani byli jedynie, że za nich państwo wszystko załatwi, jest możliwa?

Czy można mówić o opiece, która uwzględni intelektualne i emocjonalne przepracowanie przeżywanych niedostatków? Czy można nauczyć dynamicznego podejścia do własnych problemów, szukania szans zamiast popadania w rezygnację, mobilizowania sił indywidualnych i związanych z najbliższym środowiskiem w celu tworzenia lepszego jutra?

Epilog wypadnie chyba pesymistycznie.

[Nominały się jedynie zmieniają, bo jak sobie przypominam, wszyscy operowali milionami (bez radości zresztą), choć wieki było już po denominacji...]

Muszę dodać jeszcze wyjaśnienia..

Kilka lat temu pewne grono osób - znamienitych skądinąd, postanowiło honorować osoby pomagające innym. Za motto wybrano piękne słowa biblijne, rozpropagowane że się tak wyrażę, przez Ojca Świętego Jana Pawła II - „Jeden drugiemu brzemiona noście...”; raz w roku Czcigodna Kapituła przyznawała medal wytypowanym osobom. Inicjatywa była cenna, niestety umarła już śmiercią naturalną. Piszę o tym nie bez żalu, byłem jednym z członków tego komitetu. Ale warto wspomnieć dlaczego idea zgasła. W skład Kapituły wchodził m.in.: były poseł, redaktor naczelny jednego z tygodników, znany adwokat, przedstawiciel stowarzyszenia działającego w obrębie szeroko rozumianej pomocy, jeden z bardziej szanowanych rajców miejskich, moja skromna osoba jako wolontariusz. Przez parę lat, bez większego szumu medialnego - bo taka była umówiona idea, pomimo szacownych postaci, chodziło o autentyczność i bezinteresowność; raz w roku honorowano osoby niosące pomoc drugiemu, bliźniemu. Po latach zabrakło właśnie bezinteresowności. Niektórzy zaczęli dorabiać ideologię i jednocześnie szukać poklasku. Okazało się, że od bezinteresowności bardziej liczy się interes... No cóż, takie jest życie.

Wówczas też, było to gdzieś w połowie lat 90. ubiegłego wieku, pojechałem z przedstawicielką jednej z instytucji na „interwencję”, ktoś zgłosił tragiczną sytuację jednej z rodzin ze środowiska popegeerowskiego.

Dziś zbierając przemyślenia na temat pomocy, przypomniałem sobie moje ówczesne odczucia; spróbowałem je opisać tak jak je wtedy odbierałem. Dodać muszę, że jakiś happy end był. Ważny Urzędnik pomógł co do leczenia. Ale jak wygląda dziś życie tych ludzi, nie mam pojęcia. I może lepiej nie wiedzieć, przecież świata się nie zbawi...

Ludzkie nieszczęścia emanują złą energią, a my boimy się złych energii. Trzeba myśleć pozytywnie, rwać swoje i rwać do przodu. Rozczulanie się nad bliźnimi, więc nierównymi nad innymi, kosztuje więcej niż udział w wykupie losów jakiejś akcji charytatywnej, najlepiej jeszcze w świetle jupiterów telewizyjnych. Uczucia rozklejają człowieka, nadwyrężają jego kondycję i zdolności umysłowe. A nie? Przecież mogą doprowadzić do porażki, a liczy się tylko sukces.

